

Skarbówka tropi **e-handel** | Kobiety odchodzą z **Kościola** | Spalone **Hawaje**
Konkubenci biją | Trucie o **grzybach** | Scenariusze **powyborcze** | Lista **Tuska**

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 35 (3428), 23.08–29.08.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Referendum **horrendum**

**PiS zastawia pułapki.
Jak ich uniknąć?**



ISSN 0032-3500

35 >



9 770032 350305

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

© STUDIO POLITYKI/LESZEK ZYCH

POLITYKA

SALON

NR 15

WNĘTRZA | ARCHITEKTURA | SZTUKA | STYL ŻYCIA



WYDANIE SPECYJNE NR 3/2023 CENA 16,99 zł (w tym 8% VAT) INDEKS: 381-055

LOFTY
DO MIESZKANIA
I PRACY

KULTURA NA LATO

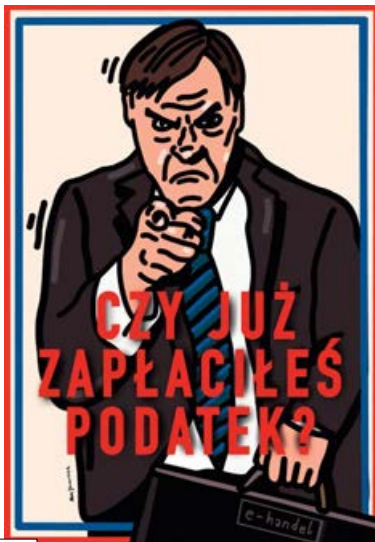
GRAND TOUR
CZTERY STOLICE
PIĘCIU MISTRZÓW
SZEŚĆ STULECI

TONY CRAGG
W CSW TORUŃ
TEJ WYSTAWY ZAZDROŚCI
NAM EUROPA

MIASTA DLA PSZCZÓŁ
DZIKIE OGRODY
I PASIEKI NA DACHACH
BIUROWCÓW

Do kupienia w dobrych kioskach i na sklep.polityka.pl

SALON *pismo o tym, co nas tworzy*



15 Łowienie podatników



24 Wierne niepokorne



43 Program: Pogrom Promów

Tematy tygodnia

- 12 Ewa Siedlecka
Po co władzy referendum
- 15 Adam Grzeszak
Skarbowka bierze się za e-handel

Polityka

- 18 Rafał Kalukin
Partie listy piszą – sprawdzamy kandydatów opozycji



- 21 Cezary Michalski
Co może Konfederacja

Społeczeństwo

- 24 Joanna Podgórska
Kobiety odwracają się od Kościoła
- 26 Rozmowa z Justyną Dźbik-Kluge o „Ślubach (nie)posłuszeństwa”
- 28 Krzysztof Potaczała
Grzyby wyborcze
- 32 Martyna Bunda
Konkubent kat
- 35 Rozmowa z Jarosławem Sowizdraniukiem
o tym, co różni ratownika medycznego od lekarza i czy pogotowie to bagno



Rynek

- 40 Adam Grzeszak
Polityka na rosyjskim autogazie
- 43 Ryszarda Socha
Jak PiS buduje promy

Świat

- 46 Rozmowa z Antonem Drobowyczem o tym, jak się bić na wojnie kulturowej z Rosją
- 49 Mariusz Zawadzki USA HAWAJE
Pożar i złodzieje ziemi



- 52 Artur Domosławski MEKSYK
Claudia Sheinbaum: prezydentka w kraju macho?
- 54 Piotr Buras
Imigranci – pragmatyzm i moralność

Nauka/projektpulsar.pl

- 56 Andrzej Hołdys
Jak się chronić przed wielką wodą
- 59 Łukasz Tychoniec
Radioteleskop z Atacamy

Esej

- 62 Wiesław Władyka
Jak młodzi widzą przyszłość

Historia

- 64 Andrzej Krajewski
Pieniądze dla cara
- 68 Grzegorz Majchrzak
Sierpień 1980: jak Miształ szedł po Wałęsę

Kultura

- 74 Janusz Wróblewski
Archiwum Kieślowskiego
- 78 Aleksandra Żelazińska
Czytanie ma w sieci branie
- 81 Rozmowa z Łukaszem M. Maciejewskim, współscenarzystą filmu „Ukryta sieć”
- 84 Olaf Szewczyk
„Cyberpunk 2077: Bez przypadku” – jak gra stała się powieścią
- 86 MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego

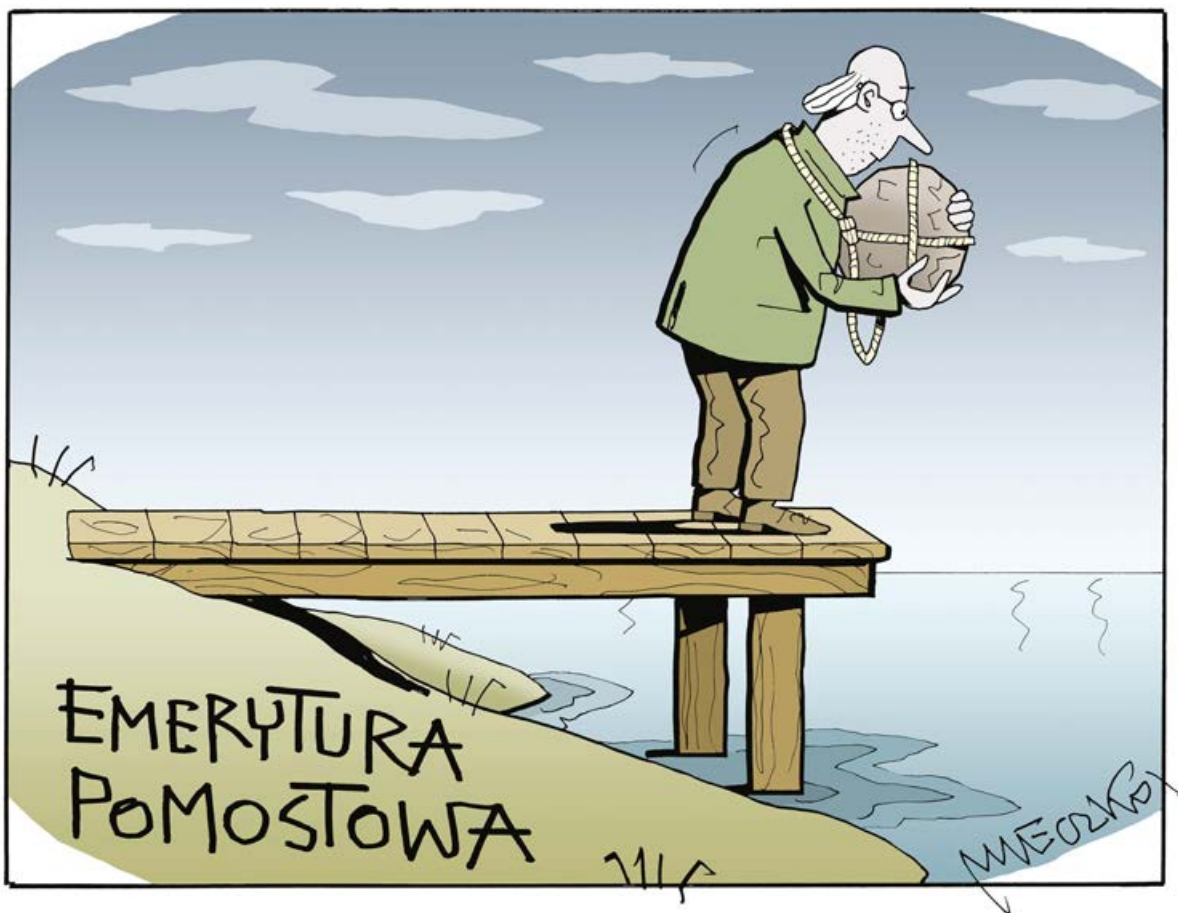


Ludzie i style

- 92–97 • **Męski krąg**
- Memy referendalne
 - Mieć rizz • Meble miejskie
 - Bob na głowie
 - Turystyka pustynna
 - Na pomidorowo

Stałe rubryki

- 4 Mleczko • 6 Przypisy
- 7 Ludzie i wydarzenia • 70 Afisz
- 87 Sulej • 88 Chutnik i Plebanek • 89 Wicha
- 90 Do i od redakcji • 98 Polityka i obyczaje



Z ŻYCIA SFER

W obozie zdrady

Jak się dowiadujemy, do ostatniej chwili rozważano dodanie do referendum dwóch jeszcze pytań: „Czy jesteś za zmianą nazw wszystkich ulic Jana Pawła II w Polsce na Marksa i Engelsa?” oraz „Czy akceptujesz zwierzchnictwo Manfreda Webera nad konstytucyjnymi organami władzy w Polsce i nad wolą narodu wyrażoną w referendum?”. Organizatorzy plebiscytu uznali jednak, że zbyt duża liczba pytań może się okazać nadmiernym obciążeniem umysłowym dla jego uczestników.

Znamy więc już wszystkie pytania referendalne, a dzięki umiejętnej prezentacji graficznej znamy też odpowiedzi. Można by spokojnie czekać na nieuchronnie zbliżające się święto demokracji, gdyby nie jeszcze jedno palące pytanie. Czy historycznemu plebiscytowi, który pod względem celów i znaczenia można porównać tylko do pamiętnego referendum z 1946 r., nie zaszkodzią knowania opozycji? W czterdziestym szóstym omal do tego nie doszło.

Postanowiliśmy zakraść się do obozu zdrady narodowej, by zorientować się w panujących tam nastrojach. Niestety, nie odbiegają one od tego, czego można było oczekiwać. Przede wszystkim na każdym kroku rzuca się w oczy dążenie do wyprzedaży majątku narodowego. Żadna ze spotkanych przez nas osób nie wydawała się przejęta tym, że stanowi on dorobek wielu pokoleń.

Na każdym kroku widać też, że każdy, na ile tylko może, stara się podnieść wiek emerytalny. Celują w tym emeryci, kierujący się obawą, że jeśli wszyscy przejdą na emeryturę, nie będzie kto miał

na nich pracować. Tę samolubną, egoistyczną motywację pozostawimy bez komentarza.

Zwraca uwagę niezwykle silne w obozie zdrady parcie do przymusowej relokacji uciekinierów na teren Polski. W zasłyszanych rozmowach często wyrażane było przekonanie, że dobrze byłoby wykorzystać w tym celu biurokratyczny mechanizm, skonstruowany przez brukselskich eurokratów. Podkreślano, że zalew naszego kraju przez ludzi o obcej nam kulturze posłuży podmywaniu podstaw naszej kultury narodowej. Rozmawiający dzielili się opinią, że jest to dla nich główny cel.

W obozie zdrady widać wiele osób noszących teczkę, torby czy plecaki. Istnieją mocne podstawy do podejrzeń, że kryją się w nich narzędzia, mające posłużyć do demontażu bariery na granicy polsko-białoruskiej. I dzieje się to wszystko w sytuacji, gdy niezbędne jest nie tylko umocnienie tej bariery, ale i wzniesienie zapory ogniowej na granicy zachodniej, w odpowiedzi na agresywną zaporę szykowaną z drugiej strony granicy.

Jak widać, brak jakichkolwiek gwarancji, że członkowie obozu zdrady narodowej udzielą w referendum odpowiedzi prawidłowych, chociaż w materiałach informacyjnych zaznaczone one zostały wyraźnym ptaszkiem. W tej sytuacji absolutnie słuszną wydaje się sugestia zlikwidowania tego obozu. Tylko w ten sposób zapewnić można przebieg referendum zgodny z oczekiwaniami prawdziwych patriotów i z postawionymi ptaszkami.

REDAKTOR ZASTĘPCZY JP

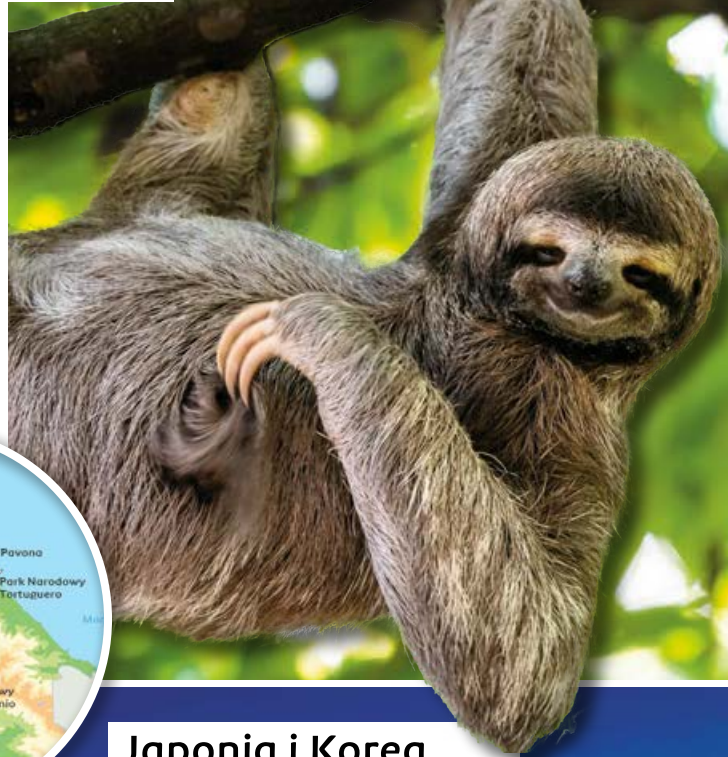
Dzika przyroda Kostaryki

Wybierz się z nami w podróż po Kostaryce, by odkryć przepiękną przyrodę kuszącą bujnymi lasami deszczowymi, wulkanami i niezwykłymi zwierzętami.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do San José. **Dz. 2** San José. Zwiedzanie miasta i Muzeum Złota, plantacja kawy. **Dz. 3** San José – Tortuguero. Rejs przez dżunglę do lodge w lesie deszczowym. Miasto Tortuguero i ośrodek żółwi. **Dz. 4** Tortuguero. Rejs kanałem w Parku Narodowym Tortuguero. Po południu czas wolny. **Dz. 5** Tortuguero – La Fortuna. Rezerwat Tirimbina i wycieczka pod znakiem czekolady. **Dz. 6** La Fortuna. Wodospad i obiad na farmie rodzinnej u Aguinaldo i Felicidad. **Dz. 7** La Fortuna. Wiszące mosty w lesie deszczowym. Kąpiel w gorących źródłach. **Dz. 8** La Fortuna – Manuel Antonio. Safari z krokodylami w Deltie rzeki Tárcoles. **Dz. 9** Manuel Antonio. Wędrówka po Parku Narodowym Manuel Antonio. Po południu czas wolny. **Dz. 10** Manuel Antonio. Relaksujący dzień nad Oceanem Spokojnym. **Dz. 11** Manuel Antonio – San José. Relaks nad Oceanem Spokojnym. Wylot z San José do Warszawy. **Dz. 12** Przylot do Warszawy.

12 dni | Wyloty z Warszawy 15/02, 16/11 2024, 08/02, 09/11 2025

od **18.998,-**



Paryż i rejs po Sekwanie do Normandii

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Paryża. Zwiedzanie miasta, zaokrętownie i wyptynięcie w rejs. **Dz. 2** Przyptynięcie do Rouen i możliwość zwiedzania miasta z przewodnikiem (opcjonalnie). **Dz. 3** Le Havre. Pieszka wycieczka po mieście portowym u ujścia Sekwany i możliwość wycieczki do urokliwego Honfleur. **Dz. 4** Caudebec-en-Caux. Możliwość opcjonalnej wycieczki szlakiem klasztorów z wizytą w imponujących klasztorach Jumièges i St. Martin de Boscherville. **Dz. 5** Vernon. Wycieczka do Giverny, zwiedzanie domu Moneta wraz ogrodem i stawem ze słynnymi liliami (dodatkowo płatne). **Dz. 6** Conflans-Sainte-Honorine. Pieszka wycieczka po mieście i możliwość wizyty w zamku Château de Chantilly. Wieczór w paryskim kabarecie. (dodatkowo płatne). **Dz. 7** Paryż. Wycieczka po kosmopolitycznym Paryżu, w programie największe atrakcje – Wieża Eiffła i Pola Elizejskie (opcjonalnie). **Dz. 8** Przylot do Polski.

8 dni | Wylot z Warszawy 25/05 2024

9.998,-



Japonia i Korea Południowa – azjatyckie tygrysy

Wspaniała podróż do Seulu, Kioto oraz Tokio, gdzie nowoczesność, tradycja, piękna przyroda i urokliwe świątynie tworzą niepowtarzalną mieszankę kulturową.



16 dni | Wylot z Warszawy 02/04 2024

24.998,-

UWAGA!
Zmiana adresu biura

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107 | Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL32

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Cudzysłów



Jerzy Baczyński

Znów kolejne słowo, które trzeba brać w cudzysłów. „Referendum” zarządzane przez PiS jest tak jawnie wpisane w kampanię wyborczą tej partii, że ośmiesza samą ideę demokracji bezpośredniej, pokazuje, jak łatwo nią manipulować. Nie chodzi o to, że PiS złamał prawo, lecz że po raz któryś je sponiewierał. Przepisy dotyczące referendum są ogólne, nieprecyzyjne, pozwalają „zasięgnąć opinii obywateli” w sprawie ważnych umów międzynarodowych, zmian w konstytucji oraz „w sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa”. I na to powołuje się PiS. W badaniach, które pod kierunkiem prof. Radosława Markowskiego przeprowadził Uniwersytet SWPS (zakończono je w maju tego roku), żaden z tematów referendalnych nie znalazł się na liście 14 zagrożeń i wyzwań wskazywanych przez Polaków. Obywatele najbardziej niepokoją się wojną w Ukrainie, kryzysem klimatycznym, inflacją, stanem służby zdrowia, a nie wydumaną wyprzedają majątku czy nielegalną migracją, która mocno niepokoiła ledwie 3 proc. ankietowanych. Ale w demokracji istotna jest nie tylko litera prawa – PiS, mając większość sejmową i prezydenta, mógł legalnie zadać jeszcze głupsze i bardziej tendencyjne pytania – ważna jest też praktyka, ustrojowy standard.

W Polsce po 1989 r. odbyło się tylko pięć referendum, w tym zatwierdzające nową konstytucję oraz nasze członkostwo w Unii. Chociaż rządziły najróżniejsze opcje, politycy nie sięgali po ten instrument, ani w sprawach naprawdę ważnych i spornych (jak np. aborcja), ani w bieżących rozgrywkach. Jedyna taka próba, jaką podjął po przegranej pierwszej turze wyborów w 2015 r. prezydent Bronisław Komorowski (ogłaszając referendum w sprawie jednomandatowych okręgów wyborczych), zakończyła się klęską polityczną, wizerunkową i frekwencyjną; głosowało 7 proc. uprawnionych. Nikt przed PiS nie spróbował użyć referendum w kampanii i wyborach parlamentarnych. Zapewne nie dlatego, że wszyscy wcześniej byli idiotami, ale że istniała niepisana umowa, aby nie kombinować przy samych wyborach, nie robić numerów, które w przyszłości ktoś zrobi tobie. Po tym, co uczynił PiS (pisze o tym szerzej Ewa Siedlecka na s. 12), otwierając sobie m.in. drogę do nieograniczonego finansowania kampanii wyborczej, każda następna ekipa już jest zaproszona do referendalnego odwetu. Tak oto PiS wydrążył z sensu kolejną demokratyczną instytucję.

Wopublikowanych nowych sondażach ledwie jedna czwarta wyborców popiera pomysł „referendum”; ponad połowa jest przeciw. To raczej gwarantuje, że mimo utrudnień dla bojkotu, frekwencja będzie za niska, aby nawet formalnie uznać to głosowanie za ważne (cokolwiek by to miało znaczyć). Tym bardziej zdumiewa, że wielu „niezależnych komentatorów”, których my nazywamy symetrykami, zwyczajowo uznało pomysł Kaczyńskiego nie tylko za świetny kampanijnie, ale też wartościowy dla demokracji, „bo obywatele dostali prawo głosu”. Mariusz Janicki i Wiesław Władysławka właśnie wydają książkę „Symetriści” (można ją zamówić w przed-sprzedazy na: sklep.polityka.pl, a 6 września będzie dostępna

w kioskach z POLITYKĄ oraz w księgarniach), w której opisują fenomen swoistego zacczadzenia PiS-em dużej grupy inteligencji, gotowej traktować partię Kaczyńskiego „tak samo jak inne”, w praktyce – z nieukrywaniem podziwem, fascynacją i zrozumieniem. Awantura, jaka wynikła wokół zaplanowanego, ale odwołanego „Panelu symetryków” na olsztyńskim Campusie Rafała Trzaskowskiego (więcej s. 7) potwierdza, że hasła „nie straszcie PiS-em”, „PO nie jest lepsza”, „Tusk i Kaczyński to jeden Belzebub” (cytat) wciąż są żywe, bez względu na to, co Kaczyński robi z prawem i demokracją; a robi cyrk.

Jeszcze przed paroma tygodniami bulwersowała opozycję, media i naszych sojuszników afery lex Tusk. To był prawniczy potworek, Frankenstein zsyty po to, aby „dopaść i uduścić” konkurentów politycznych, w tym zwłaszcza tego głównego. Podobno pod presją Amerykanów PiS sprawę odpuszcza, ale nowym wcieleniem lex Tusk jest owo „referendum”. Wszystkie pytania służą tu nakręcaniu kampanii przeciw Tuski. Kolejne wystąpienia liderów PiS mają ten sam motyw: odczłowieczenie tej postaci, stworzenie konstruktów – cytują Jarosława Kaczyńskiego – „zła spersonifikowanego”, czyli tłumacząc dosłownie – diabła wcielonego. Trwa właśnie kosztowna akcja billboardowa, gdzie pod zdjęciami Tuska krzyczą napisy: Zepsuł wszystko! Uciek!, Zrobi to znowu! Odbywa się rekonstrukcja kampanii z 2015 r., gdzie PiS atakuje „rządy Tuska” za doprowadzenie Polski do ruiny, a Polaków do nędzy, oskarża o ściąganie arabskich imigrantów, podwyższenie wieku emerytalnego, darwinizm społeczny. Na przewodniczącego PO codziennie wylewane są kubły pomoy: „ryzy”, to był tylko prezesowski dowcipas, pacholkiem Berlina i Moskwy jest w TVP już od lat, ale teraz doszły naprawdę groźne zawołania: „Donald Tusk to największe zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski”, „zdrajca narodu”, przywódca „potężnego obozu zdrady narodowej”.

W Unii Europejskiej żaden szef opozycji ani jego wyborcy nie byli tak nazywani, to była dotychczas domena ponurych wschodnich satrapii. Wielu komentatorów psychologizuje, uważa, że Kaczyński ma obsesję Tuska, traci nad sobą kontrolę, stetryczał, może nawet popadł w paranoję i to, co wygaduje, trzeba brać w cudzysłów, ale to raczej wygląda na polityczny plan. Wstępne uzasadnienie do działań nadzwyczajnych: przed wyborami, w trakcie i po nich.

Pprzedstawiamy w tym numerze parę prawdopodobnych dziś scenariuszy powyborczych (artykuł Cezarego Michalskiego na s. 21). Jeśli chodzi o PiS, rozciągają się one od przejścia posłów Konfederacji aż po stan wyjątkowy i ewentualną delegalizację „obozu zdrady narodowej”. Fakt, że PiS niemal zaprzestał ataków na prawicowego rywala, czyli Konfederację, może sugerować, że albo już obie formacje nieformalnie się dogadały, albo PiS jest pewien, że zbuduje na truchle Konfy nową Zjednoczoną Prawicę. Opozycja ma szansę pokrzyżować takie kombinacje tylko w przypadku uzyskania wyniku lepszego niż dają jej obecne sondaże, zachowania spójności i politycznego pragmatyzmu. Ogłaszane właśnie listy opozycyjnych kandydatów do Sejmu – ważny moment kampanii – są dobrą prognozą i na poprawę wyniku wyborczego (o listach piszemy na s. 18), i na późniejszą współpracę. Jest teoria, że PiS atakując personalnie Tuska, ustawia go w ten sposób w centrum opozycji, co pośrednio ma osłabiać Lewicę i Trzecią Drogę i spychać je pod próg wyborczy. Jest w tym trochę racji. Jednak prezentowany publicznie przez wszystkich liderów demokratycznej opozycji i dobrze poukładany Pakt Senacki wygląda też na emocjonalny i sondażowy Pakt Stabilizacyjny. Zapowiada, że w dalszej części kampanii nie powinno już być tak ostrych wzajemnych ataków jak wcześniej.

Przydałby się jeszcze, jak proponuje Lewica, jakiś ogólny Pakt Sejmowy, minimum koordynacji członków przyszłej koalicji. Na dziś – najpilniejsze byłoby ustalenie wspólnego stanowiska wobec „referendum”, także wzajemna pomoc w kontroli wydatków kampanijnych PiS, a potem samego przebiegu głosowań. W bliskiej przyszłości – chodziłoby o wspólną odpowiedź na powyborcze manewry władzy. W dalszej – jednak o program rządzenia. „Referendum” jest sygnałem, że nawet PiS nie wyklucza zwycięstwa opozycji.

Gdzie jest rejestr?

Zarejestrowane komitety wyborcze już zbierają podpisy poparcia pod listami do Sejmu i Senatu. Trwa wyścig, kto pierwszy zarejestruje listy – jak powiedział przewodniczący klubu KO Borys Budka: „To ważne, by już na pierwszym etapie pokazać siłę”. Będzie to pewnie miało efekt psychologiczny, ale może też sprowadzić na komitet kłopoty.

Zarejestrowało się już (do czasu zamknięcia tego numeru) **35** komitetów wyborczych: dwa koalicyjne, **25** partyjnych i **8** komitetów wyborców (w tym dwa: Krzysztofa Kwiatkowskiego i Andrzeja Dziuby w ramach Paktu Senackiego). Żeby teraz zarejestrować listę poparcia do Sejmu, muszą w danym okręgu wyborczym zebrać **5 tys.** podpisów, do Senatu – **2 tys.** Komitet, który zarejestruje listy w co najmniej połowie okręgów wyborczych, pozostałe listy może zgłaszać bez podpisów. Więc komitety rywalizują, kto prędzej.

Tymczasem może się okazać, że PKW zakwestionuje część podpisów. Ciągłe nie działa bowiem Centralny Rejestr Wyborców, mimo że prezydent ogłosił wybory 8 sierpnia, a powstanie Rejestru władza zapowiada



od ponad roku. Ma on zastąpić rejestry prowadzone dotąd przez gminy i być wygodniejszy dla wyborców. Tyle że ciągle go nie ma, więc wyborcy nie mogą sprawdzić, jaki adres mają przypisany w Rejestrze. Od tego adresu zależy, czy mogą skutecznie poprzeć listę w danym okręgu. Jeśli adres podany na liście poparcia będzie inny niż ten, który widnieje w Rejestrze, podpis będzie nieważny.

Komitety zwykle zbierają podpisy „z górką”, ale jeśli Okręgowa Komisja Wyborcza sprawdza bardzo wnikliwie, może się okazać, że „górka” nie wystarczy. OKW

ma na sprawdzenie listy w danym okręgu 3 dni. Jeśli po weryfikacji zostanie za mało podpisów – trzeba dozbierać. Można się też odwołać do PKW, a potem do Izby Kontroli Nadzwyczajnej SN. A czas ucieka: listy trzeba zarejestrować do 39. dnia przed dniem wyborów (czyli do 7 września). W wyborach parlamentarnych w 2011 r. z powodu niezarejestrowania na czas list odpadła Nowa Prawica Janusza Korwin-Mikkego. Jej działacze złożyli listy w terminie, ale – jak twierdzili – OKW przetrzymała je przy sprawdzaniu i termin rejestracji listy ogólnokrajowej minął.

Centralny Rejestr Wyborców ma umożliwić wyborcom online samodzielną zmianę okręgu wyborczego. Warto się zastanowić, gdzie się zagłosuje. To nie tylko kwestia wygody, ale też wpływu na wynik wyborów. Wiadomo np. że jedne partie mają większe poparcie w dużych miastach, inne – na prowincji. Jeśli więc chcemy wesprzeć konkretną partię tam, gdzie jest stosunkowo słaba, można się zarejestrować w tym okręgu. Np. gdyby wszystkie „słoiki”, zamiast głosować w wielkich miastach, zagłosowały w swojej rodzinnej miejscowości, prawdopodobnie zmieniłoby to mapę poparcia dla partii. (ES)

Panel niezgody

To od początku nie był dobry pomysł – co zresztą znacznie dosadniej komentowali politycy PO, kiedy tylko organizatorzy Campusu Polska Przyszłości obwieścili, że tematem jednego z paneli podczas tegorocznej edycji będzie symetryzm, a rozmawiać o nim będą symetryści z... symetrystami (Meller, Sroczynski, Wróbel, Sitnicka). Bez żadnej kontry czy zdania odrębnego. Zawrzało także w sieci. Oburzyli się szczególnie Silni Razem, aktywna w mediach społecznościowych grupa przeciwników PiS, która wyraźnie ma dość przekonywania przez część dziennikarzy, że nic złego się nie dzieje, a polityka obecnych rządzących mieści się w standardach demokratycznego państwa prawa. Silni Razem są bezkompromisowi i często nie przebiegają w słowach. Odrzucają symetrystyczne projekcje, wedle których PiS jest partią jak każda inna, zaś mówienie o autokracji świadczy co najmniej o przewrażliwieniu.



Nie chcą też słuchać, że są „wściekłymi kundelkami”, „trollami” i „hejterami”, a tak zostali potraktowani m.in. przez Grzegorza Sroczynskiego i Marcina Mellerę w jednej z niedawnych audycji radiowych. „i Silni” to głównie zwolennicy Platformy. Stąd też wielu platformersów nie rozumiało, po co organizatorzy Campusu postanowili prowokować własnych wyborców i organizować panel, na którym symetryści bez żadnej polemiki i kontry będą krytykować i poniżać opozycję, a do tego przekonują, że nie należy straszyć PiS-em.

– Sławek traktuje Campus jako swój życiowy projekt. Buduje go jak własną firmę – tak bliski współpracownik Donalda Tuska tłumaczy **posła Nitrasa**, współtwórcę wakacyjnego eventu dla młodych pod patronatem Rafała Trzaskowskiego (25–31 sierpnia, Olsztyn). Inny z naszych rozmówców, także poirytowany całą sprawą, dodaje: – *Na kilka tygodni przed wyborami na taką imprezę zaprasza się ludzi, którzy na nas pluą?! Jeszcze bym to rozumiał, gdyby tam planowano jakieś starcie na argumenty, zaproszono*

do dyskusji także publicystów, którzy są krytyczni wobec symetryzmu, ale nie, na to nikt nie wpadł – słyszymy.

Krytykowany przez kolegów poseł Nitras zadzwonił więc do Marcina Mellerę i próbował przekonać go, aby zmienił skład panelu – konkretnie: zrezygnował z udziału Sroczynskiego. Meller się nie zgodził i decyzję nagłośnił w mediach społecznościowych. Spotkanie odwołano. I znów rozpetęła się burza. Symetryści w swoim stylu rzucili się na Platformę: oskarżając ją o ograniczanie wolności słowa, pisowskie standardy, i strasząc, że gdyby przejęła władzę, traktowałyby media podobnie jak PiS – a nawet gorzej („Będzie Budapest w Warszawie, ale nie zrobi go PiS”). Niektórzy z zaproszonych na Campus w geście poparcia zrezygnowali z uczestnictwa (m.in. Maciej Orłoś, Adam Leszczyński, działacze inicjatywy Wschód); awanturę, rzecz jasna, wykorzystały rządowe media.

W Platformie wywołało to spore zdenerwowanie, bo trwa kampania, zbieranie podpisów pod listami kandydatów, a tego typu afery, nawet jeśli „tylko w medialnej bańce”, to „niepotrzebna wpadka”. Działacze liczą jednak, że włączenie się w kampanię Rafała Trzaskowskiego i bogaty program Campusu – zwieńczony wystąpieniem Donalda Tuska – skutecznie zatrą pamięć o niepotrzebnej aferze z symetrystami. Choć ci akurat łatwiej wybaczą PiS-owi. (MLV)

Pan Czaputowicz przejrzał na oczy

Radosław Sikorski

Kiedyś dziennikarz, potem m.in. szef MON, MSZ oraz marszałek Sejmu. Obecnie w PE.



Zgiełk początku kampanii zagłuszyły wywiady, jakich udzielił niedawno były minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz, a szkoda, aby przeszły niezapamiętane. Najpierw w rozmowie z Polsat News powiedział, że niektóre państwa są silne jak lwy, inne przebiegłe jak lisy, a jeszcze inne jak hieny i szakale. Polskę pod rządami Zjednoczonej Prawicy zaliczył do tej ostatniej grupy. Swoim niedawnym kolegom z rządu zarzucił „polityczne szmalcownictwo”, w jakie „być może niedługo się wpisujemy”.

Powodem oburzenia Czaputowicza jest wyraźny antyukraiński zwrot ekipy rządzącej. Przypomnijmy – minister w Kancelarii Prezydenta Marcin Przydacz zaczął publicznie narzekać, że Ukraina okazuje Polsce niedostateczną wdzięczność za udzieloną pomoc. Wypowiedź Przydacza wywołała reakcję strony ukraińskiej, która wezwała na rozmowę polskiego ambasadora. Strona polska w odpowiedzi wezwała ambasadora Ukrainy. Bez wątplenia są Polacy, którym słowa prezydenckiego współpracownika się spodobały, bo PiS próbuje odebrać głosy Konfederacji, a sam Przydacz podobno startuje do Sejmu. I tak dla interesu partii rządzącej i interesu średniego szczebla urzędnika możemy stracić kapitał sympatii i możliwość strategicznego sojuszu z Ukrainą.

W „Rzeczpospolitej” Czaputowicz poszedł dalej. Powiedział, że rząd, który miał bronić suwerenności, suwerenność osłabił. Jego zdaniem Morawiecki zasłużył sobie w Brukseli na pomnik, ponieważ tak mocno popchnął Unię w kierunku federalizacji. Były minister przyznał, że „straciłmy poparcie w regionie”, a Czechy, Słowacja i Austria prowadzą

swoją politykę „poza Polską”. Orzekł, że Trybunał Konstytucyjny „nie działa” i stwierdził, że „ten stan Trybunału Konstytucyjnego był powodem zaskarżenia przez Komisję Europejską legalności tego ciała do Trybunału Sprawiedliwości UE”. Wreszcie ogłosił „bankructwo polskiej polityki europejskiej” i zarzucił byłym kolegom, że „często nie rozumieją konsekwencji swoich działań” i „kierują się korzyściami krótkoterminowymi, związanymi z procesem wyborczym, a nie kwestiami strategicznymi”.

Czaputowicz potwierdził to, co opozycja mówi od lat, że działania tej ekipy na arenie międzynarodowej to dużo hałasu, mało efektów. Zapowiedzi skutecznej polityki europejskiej, skończyły się przegranymi procesami przed TSUE, stratą setek milionów złotych z tytułu kar i setek miliardów z tytułu wstrzymanych pieniędzy na KPO. Zapowiedzi walki o dobre imię Polski na świecie oraz promocję polskiej historii skończyły się pogorszoną reputacją. Były też: zapowiedzi walki z „niemiecką dominacją” i jednoczesne zabieganie o inwestycje niemieckich firm w Polsce, zapowiedzi „uzdrowienia” TK i sądownictwa, a w rezultacie ich paraliz i kompromitacja; zapowiedzi uzyskania od Berlina reparacji wojennych i ani złotówki z tego tytułu na koncie. A także: ambicje przewodzenia regionowi i pogorszenie relacji ze wszystkimi sąsiadami.

Jestem ostatnim, który krytykowałby kogoś za to, że przejrzał na oczy co do natury PiS. Każdy ma jakąś granicę kompromisu. Timing ma jednak znaczenie, bo Kaczyńskiemu z roku na rok się pogarsza. Do pierwszych rządów PiS nie wstyd było wejść takim postaciom jak Stefan Meller, Zbigniew Religa czy Zyta Gilowska. A to, jak głupią politykę zagraniczną prowadzi rząd Zjednoczonej Prawicy, wiadomo było, zanim Czaputowicz do niego trafił. Były minister tkwił w nim nawet wtedy, gdy Kaczyński nazwał go „eksperymentem” i stało się jasne, że nie ma żadnych wpływów. Poniewczasie się zorientował, że nie jest partnerem politycznym, lecz zakładnikiem obsesji Kaczyńskiego. Ale zerwał z nim, dopiero gdy został na lodzie. Przy czym nie przychodzi do głowy żadne osiągnięcie, które można by zapisać po stronie zasług. Eksperyment okazał się obopólnie nieudany.

Mundury i garnitury do poprawki

O tym, że jesteśmy za PiS-u bezpieczni jak nigdy, usłyszeliśmy już tysiące razy i jeszcze wielokrotnie usłyszymy, zanim przyjdzie nam to i wiele innych spraw ocenić przy wyborczej urnie. Ale **Andrzej Duda** już uznał, że system bezpieczeństwa narodowego wymaga pilnych poprawek w bardzo wielu obszarach: od struktur dowodzenia wojskiem, przez zwiększenie zdolności do reagowania na prowokacje – bez przechodzenia w stan wojny – po rzecz pozornie oczywistą, czyli wymuszenie stałej czujności i komunikacji władz w razie zagrożenia. Jak mówił: „w czasie ćwiczeń w tajnych miejscach” wychodziło, że obecne procedury się nie sprawdzają. Dowody Polacy widzieli sami. Ostatnio: przy okazji rakiety w Przewodowie, pocisku pod Bydgoszczą czy



śmigłowców w Białowieży. A wcześniej: gdy masowy napływ migrantów, a także pandemia wymusiły zaangażowanie wojska we wsparcie niewydolnego aparatu cywilnego. To również rachunek sumienia z zaległości i zaniedbań władzy.

O dowództwie sił połączonych, które zastąpić ma generalne i operacyjne, rozmowy między MON a prezydenckim Biurem Bezpieczeństwa Narodowego trwają już od sześciu lat. Od trzech prezydent żąda doprecyzowania relacji najwyższych organów i treści najtajniejszych dokumentów, „na czas W”. Trzeba było realnej wojny, na szczęście poza granicami Polski, i quasi-konfliktu przenikającego przez nie, by „mundury i garnitury” uzgodniły zmiany. Firmowany przez Dudę projekt to owoc negocjacji nowego szefa BBN Jacka Siewiery z okopanym w MON Mariuszem Błaszczakiem. Kasuje nielubiany w wojsku schemat autorstwa gen. Stanisława Kozięja i prezydenta Bronisława Komorowskiego. Likwiduje dwa najwyższe dowództwa,

tworzy z nich jedno nowe i odtwarza sztaby rodzajów sił zbrojnych, dziś zredukowane do inspektoratów.

Wszystko to ma wzmocnić oficera na szczycie hierarchii, czyli szefa Sztabu Generalnego. W przyszłym roku znowu wskaże go prezydent po drugiej kadencji Rajmunda Andrzejczaka. Wcześniej zaczęła się karuzela kadrowa. Pełnomocnicy od likwidacji i tworzenia struktur zaczęły pracę, nowi szefowie dowództw będą zabiegać o stanowiska. Kilkuset oficerów straci nadzieję, inni dostaną szansę. Czemu to pachnie? Nową wymianą kadr, pod ogromną presją zewnętrznego zagrożenia. Czy Polska może sobie pozwolić na takie zamieszanie? Czy będzie bezpieczna, jeśli nie zmieni systemu? Czas wydaje się najgorszy z możliwych, trwająca kampania wyborcza nie sprzyja spokojnej analizie projektu. Projekt jest jednak tak spóźniony, że i tak nie ma szans na uchwalenie w tej kadencji. W przyszłej będzie zaś początkiem walki kończącej urzędowanie prezydenta o „swoją” reformę wojska. (MS)

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki **POLITYKI**

Wrześniowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl
Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Matka zdekomunizowana



Z tarczy najwyższego kijowskiego pomnika zniknęło godło państwa sowieckiego i zostało zastąpione ukraińskim tryzubem. Operację wykonano w ostatnich tygodniach, by zdążyć na przypadające 24 sierpnia obchody dnia niepodległości. Wymiana kosztowała równowartość ponad 3 mln zł, pochodzących ze zrzutek osób prywatnych i firm. Przy okazji pomnik zmienił nazwę na bardziej

patriotyczną – uniwersalna, internacjonalistyczna Matka Ojczyzna stała się **Matką Ukrainą**.

Znak na tarczy uchował się tak długo, bo pomnik był chroniony jako dzieło sztuki, miejsce pamięci ofiar drugiej wojny oraz punkt odniesienia dla tych, którzy sentymentem darzyli okres radziecki. Jednak w ostatnich trzech dekadach kontekst się zmieniał. Na podstawie przepisów

o dekomunizacji, zrównujących symbole radzieckie z nazistowskimi, zmieniono ponad 50 tys. nazw ulic i miejscowości, a z setek cokołów pospadały Leniny. Bitwa na pamięć toczy się także podczas obecnej wojny. Armia rosyjska zajmuje się niszczeniem symboliki ukraińskiej, zrywa tryzuby, trątuje upamiętnienia wielkiego głodu z lat 30., w Borodiance pod Kijowem przestrzeliła głowę popiersia poety Tarasa Szewczenki. Z drugiej strony od lutego zeszłego roku Ukraińcy rozmontowali blisko 200 sowieckich pomników, teraz przyszedł czas na retus Matki Ukrainy.

Postawiono ją w 1981 r., w epoce Leonida Breżniewa, z pochodzenia Ukraińca. Już wtedy krytykowano wybór kosztownej stali nierdzewnej, której zaczynało brakować w krztuszącej się sowieckiej gospodarce. Po rozpadzie ZSRR do listy wyzwań dopisano płomień wiecznego ognia, który rocznie pochłaniał 400 m sześć. gazu ziemnego. Także miecz wysokiego na 102 m pomnika (licząc z podstawą) wystawał ponad krzyże wież pobliskiej Ławry Peczerskiej, głównego ośrodka prawosławia w mieście. Z oboma problemami sobie poradzono: ogień zapala się tylko przy wyjątkowych okazjach, a miecz skrócono o 6 m. Ale nadal kijowska Matka jest wyższa od nowojorskiej Statui Wolności (z podstawą 93 m) i dwóch innych sowieckich Matek, też występujących z mieczami: 20-metrowej, aluminiowej Matki Gruzji i 51-metrowej, miedzianej Matki Armenii.

Przyszłość piłki jest kobietą

Zakończone w niedzielę mistrzostwa świata były przełomowe pod każdym względem, nie tylko sportowym. Sama dyscyplina zyskała nowe gwiazdy, jak angielska napastniczka Lauren James, jedna z najlepszych w przegranym 0:1 finale z Hiszpanią, w rodzimym Londynie uznawana za przewyższającą talentem wielu zawodowców z ligi męskiej. Powiększyła się światowa elita, bo zarówno Hiszpanki, jak i Angielki w finale grały po raz pierwszy, a współgospodynie turnieju, Australijki, choć tym razem zajęły miejsce tuż za podium, zapowiedziały wygranie kolejnego mundialu.

Nigdy też kobiecy futbol nie znaczył tak wiele poza boiskiem. Marsz do strefy medalowej *Matildas*, jak nazywa się australijską kadrę, wprowadził mieszkańców w ekstazę. Przegrany 3:1 z Anglią półfinał zgromadził największą w historii kraju telewizyjną widownię – w szczycie mecz śledziło 11 mln osób. Prawie milion oglądało transmisję na platformie 7plus, co z kolei było rekordem dla serwisów streamingowych na antypodach. Inne bariery padły na trybunach: liczba sprzedanych biletów wyniosła prawie 2 mln, a na żywo mecze średnio oglądało 29 tys. kibiców. W kobiecej piłce rośnie wszystko, i to jak na drożdżach – od wpływów z reklam, przez ceny praw do transmisji, po liczby sprzedanych koszulek. Kobięcy mundial opłaca się zresztą wszystkim, co jest anomalią przy organizacji wielkich imprez sportowych. Jak informuje portal The Conversation, współgospodarstwo (z Nową Zelandią) najlepszych piłkarek świata, połączone z sukcesem *Matildas* dało australijskiej gospodarce zastrzyk w wysokości 7,6 mld dol. (prawie 20 mld zł).



Nie oznacza to jednak, że w futbolu kobiecym wszystko jest już tak, jak być powinno. Zawodniczki narzekają, że producenci sprzętu wciąż nie dostosowali go w zadowalającym stopniu do potrzeb kobiecego ciała. Krytykują zwłaszcza złe buty, co według nich przyczyniło się do fali poważnych kontuzji zerwania więzadeł krzyżowych w kolanie na początku turnieju. Mary Earps, bramkarka Anglii i jedna z bohaterek finału (obroniła rzut karny), publicznie skrytykowała Nike za decyzję o niesprzedawaniu bluz bramkarskich w oficjalnym sklepie firmy. A Luis Rubiales, prezes hiszpańskiej federacji, wręczając złote medale w niedzielę, pocałował w usta – bez jej zgody – jedną ze swoich piłkarek, **Jenni Hermoso** (w środku). Kobięcy futbol zrobił wielki krok do przodu. Teraz czas, żeby reszta świata zaczęła nadążyć.

Nadchodzi Milei

Ubiegłotygodniowe wybory prezydenckie w Argentynie zakończyły się dość niespodziewanym triumfem libertarianina i społecznego konserwatywy **Javiera Mileia**, który zdobył 30,1 proc. głosów.



we właściwych wyborach, które odbędą się 22 października. Zwycięstwo Mileia potwierdza rosnącą pozycję prawicy w argentyńskiej polityce oraz ogromne społeczne niezadowolenie z sytuacji ekonomicznej w kraju. Inflacja wynosi tam 115 proc., a zadłużenie kraju wobec Międzynarodowego Funduszu Walutowego przekroczyło 44 mld dol.

Startujący jako reprezentant koalicji La Libertad Avanza („Wolność Nadchodzi”) triumfował aż w 16 z 24 prowincji, pokonując kandydatów centroprawicowej formacji Juntos por el Cambio („Razem dla Zmiany”, JxC), którą poparło 28,2 proc. wyborców, oraz przedstawicieli lewicowej listy UxP („Zjednoczeni dla Ojczyzny”), reprezentującej środowiska peronistyczne (27,7 proc.). To spore zaskoczenie, bo przedwyborcze sondaże zgodnie plasowały Mileia dopiero na trzecim miejscu. Prawybyory są dobrym barometrem nastrojów w argentyńskim elektoracie, bo udział w nich jest obowiązkowy zarówno dla kandydatów, jak i dla wyborców (tych od 18. do 70. roku życia). Nawet ci, którzy wewnątrz własnych ugrupowań nie mają rywali do nominacji, muszą uczestniczyć w głosowaniu – gdyby zdobyli mniej niż 1,5 proc. głosów, straciliby prawo do startu

Mający ultraliberalne poglądy gospodarcze Milei chce te problemy rozwiązać między innymi poprzez zamknięcie banku centralnego, zastąpienie krajowej waluty – peso – amerykańskim dolarem i oddanie zarządzania finansami państwa w ręce firm z sektora prywatnego. W kwestiach światopoglądowych opowiada się natomiast za cofnięciem legalizacji aborcji wprowadzonej w grudniu 2020 r. Chce też zamknąć ministerstwo ds. kobiet, walczyć z „globalną ofensywą neomarksistowską” i budować koalicje z podobnymi mu przywódcami z innych krajów. Blisko współpracuje z liderem hiszpańskiej skrajnie prawicowej partii Vox, Santiago Abascal, a na liście jego politycznych idoli są też Donald Trump i Jair Bolsonaro. Argentyna jest głęboko podzielona i mocno zdestabilizowana – najbliższe tygodnie te trendy tylko pogłębia.

Ziolo po niemiecku

Jeszcze w tym roku Niemcy zalegalizują marihuanę. Brzmi rewolucyjnie, ale dalej są już tylko gwiazdki i zastrzeżenia. W zeszłym tygodniu koalicyjny rząd socjalistów, Zielonych i liberałów przyjął projekt ustawy, która zezwoli dorosłym obywatelom na posiadanie (do 25 g) i uprawę konopi indyjskich, ale... tylko we własnym domu (nie w ogrodzie), i tylko do trzech sadzonek. Legalna będzie uprawa tylko na własny użytek, ale... możliwe będzie dzielenie się ze znajomymi – tylko we własnym domu, i tylko nieodpłatnie. Chyba że amatorzy ziola stowarzyszą się w specjalnych klubach konopnych, wówczas będą mogli wspólnie uprawiać marihuanę i się nią dzielić.

Same rośliny będą musiały być stosownie zabezpieczone przed osobami nieuprawnionymi, czyli m.in. przed dziećmi. A sąsiedzi muszą być zabezpieczeni przed ich zapachem, który jest intensywny nie tylko przy paleniu, ale również przy kwitnięciu. Całkowicie zabroniona będzie uprawa ziola na terenie koszar wojskowych.

I w końcu będzie można sprowadzać nasion z innych państw Unii.

Protesty wobec zaproponowanych rozwiązań zgłosiły już chadecka opozycja, stowarzyszenia policjantów, pracowników wymiaru sprawiedliwości i służby zdrowia.

Projekt ustawy musi jeszcze zatwierdzić parlament, ale to wydaje się formalnością, choć możliwe są niewielkie zmiany, jak np. ograniczenie możliwości spożycia przed jazdą samochodem. Rząd przekonuje, że liberalizacja prawa dotyczącego marihuany jest potrzebna, aby ograniczyć czarny rynek ziola i korzyści, jakie czerpie z niego przestępczość zorganizowana. Pozwoli też na lepszą kontrolę jakości marihuany. Jeśli ustawa wejdzie w życie, Niemcy dołączą do ponad 40 państw świata, które w różnym stopniu zalegalizowały marihuanę. W Europie do tego grona należą m.in. Holandia, Hiszpania i Portugalia. W Polsce uprawianie czy posiadanie marihuany jest nielegalne, choć dopuszcza się do handlu i spożycia produkty pochodzenia konopnego, w których zawartość substancji psychoaktywnej THC nie przekracza 0,3 proc.



Kielce

Pociąg do literatury

III Festiwal Herlinga-Grudzińskiego
Kielce, 1-11.09.2023



W programie:

- **Spotkania autorskie:**
Ewa Ewart
Ewa Winnicka
Grażyna Plebanek
Jan Mencwel
Jerzy Baczyński
Jerzy Jarniewicz
Kazimierz Nózka
Magdalena Grzebałkowska
Marek Krajewski
Piotr Socha
Przemysław Kossakowski
Wojciech Mikołuszko
Zygmunt Miłoszewski
- **Spektakl z udziałem Doroty Segdy i Jacka Romanowskiego**
- **Warsztaty dla małych i dużych**
- **Śniadanie na trawie**
- **Salon poetycki**
- **Debaty**
- **Spacery literackie**
- **Targi Książki**
- **i wiele innych atrakcji**



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury oraz Miasta Kielce.

Szczegóły na stronie
www.mbp.kielce.pl



KIELCE
EUROPEJSKA
STOLICA
KULTURY
2029
KANDYDAT

NIE dla referendum

Władza, która przez osiem lat pytała ludzi o zdanie jedynie za pomocą opłacanych z naszych podatków sondaży, postanowiła zorganizować referendum, jak zwykle używając demokratycznej instytucji do psucia demokracji.

O

EWA SIEDLECKA

Od ośmiu lat władza PiS nie godziła się na wysłuchania obywatelskie w Sejmie, nie posyłała swoich ustaw do konsultacji społecznych, odrzucała opinie organizacji eksperckich, nie pytała o zdanie zainteresowanych i w ogóle w relacjach ze społeczeństwem używała albo przekupstwa, albo siły, a nie dialogu. Aż tu nagle referendum. To kolejna instytucja demokratyczna, którą władza wydrążyła z treści. I nawet zaczyna przyznawać, że demokracja jako forma ustroju coraz mniej jej się podoba. Prezes Jarosław Kaczyński na niedawnym pikniku przedwyborczym oswajał „miękki autorytaryzm”, mówiąc, że to ustrój, gdzie „władza jest odporna na to, co wynika z woli społeczeństwa, bo jest wobec społeczeństwa autonomiczna, nie podlega procesom wyborczym, ale to nie oznacza, że w państwie autorytarnym nie może być względnie niezależnego życia społeczeństwa”. Ten cytat to najlepsze wprowadzenie do zarządzonego referendum.

Uchwalone właśnie pytania ośmieszają ideę referendum jako instytucję demokracji bezpośredniej. Przed głosowaniem nad nimi w Sejmie minister edukacji Przemysław Czarnek zapowiadał: „My was demokracji bezpośredniej nauczymy”. I pochwalił się broszurą o demokracji bezpośredniej (autorstwa ugrupowania Pawła Kukiza), która od przyszedłego roku szkolnego ma być rozprowadzana w szkołach przez kuratoria oświaty.

Pytania niekonstytucyjne

Referendum ogólnokrajowe można przeprowadzić jedynie „w sprawach o szczególnym znaczeniu dla państwa” – tak stanowi art. 125 konstytucji. A więc



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

pytania niedotyczące spraw o szczególnym znaczeniu są niekonstytucyjne. Ale nie ma żadnej procedury oceny pytań referendalnych. Prawo nic nie mówi o tym, czy, kto i według jakich kryteriów ma to oceniać. Niewątpliwie jednak kryterium powinien być zdrowy rozsądek. A oceniającymi siłą rzeczy będą obywatelki i obywatele, którzy wezmą udział lub nie w tym referendum. Oceniając pytanie zadane przez władzę pytania zdroworozsądkowo, widać, że nie potraktowano społeczeństwa serio.

Pierwsze pytanie w ogóle nie ma sensu: „Czy popierasz wyprzedaż majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?”. Kto w pełni władz umysłowych popierałby „wyprzedaż” narodowego majątku (synonimy: przehandlować, opchnąć, opędzlować, opylić, wyzbyć się, przefrymarzyć), i to ze stratą dla siebie?

Pytanie drugie: „Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn?”, ma niewątpliwie „szczególne znaczenie dla państwa”, ale okoliczności jego zadania – gdy żadna z partii nie proponuje podniesienia wieku emerytalnego – pokazują, że odpowiedź nie ma znaczenia dla władzy, która je wymyśliła. Że jest prowokacją dającą jej okazję wykorzystania kampanii referendalnej w kampanii wyborczej. Do przypomnienia, że rząd PO i PSL podniósł wiek emerytalny, a PiS pospieszył z odsieczą.

Podobnie z pytaniem trzecim: „Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?”. Także ono nie odzwierciedla planów ani rządu, ani opozycji i ma służyć kampanii wyborczej PiS. Ale może mieć katastrofalne skutki: kiedy po świecie rozniesie się wieść, że w Polsce rozważa się likwidację płotu, może to nagonić klientów przemytnikom ludzi i sprowadzić jeszcze większą liczbę osób usiłujących przedostać się przez granicę z Białorusią.

Ostatnie pytanie: „Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?”, jest w istocie dezinformacją, bo takiego mechanizmu nie ma i nie jest przygotowywany. Pada sformułowanie „biurokracja brukselska” bez wyjaśnienia, o jakie ciało chodzi. Pytanie, w którym przywołuje się byt nieokreślony, nieznaną wyborcom, nie może być uznane za dotyczące „spraw o szczególnym znaczeniu dla państwa”. A wyodrębnienie spośród

migrantów tych z „Bliskiego Wschodu i Afryki” łamie konstytucyjną zasadę równego traktowania, zakaz dyskryminacji i ma charakter rasistowski – czyli jest wprost sprzeczne z konstytucją.

Władza, która organizuje referendum zaprzeczając ideę referendum czy wręcz kompromitując tę instytucję, działa przeciwko demokracji, co może być podstawą do postawienia członków rządu przed Trybunałem Stanu. Choć z drugiej strony zdaje się to nieskuteczne, bo rząd powoła się na wolę Sejmu, który referendum uchwalił. A posłów za głosowanie nad niekonstytucyjnym prawem karać nie można. Inaczej po każdym stwierdzeniu niekonstytucyjności przepisu przez Trybunał Konstytucyjny należałoby karać wszystkich, którzy za nim głosowali.

Po co ta hucpa?

Referendum daje obecnej władzy przewagę finansową i propagandową. Treść pytań pozwoli jej wykorzystywać je we własnym przekazie wyborczym. Rząd PiS będzie mógł się więc promować także za pieniądze przeznaczone na promocję referendum. Kampanię referendalną mogą też sponsorować rozmaite powołane i obsadzone przez PiS, a korzystające z publicznych pieniędzy, fundacje, fundusze czy „instytuty”, bo przepisy referendalne nie ograniczają rodzaju podmiotów, które mogą finansować kampanię referendalną. Prawo nie limituje też wydatków na tę kampanię w przeciwieństwie do wydatków na kampanię wyborczą.

Kolejnym celem ogłoszenia przez PiS referendum razem z wyborami może być zniechęcenie do pójścia do urn potencjalnych, choć niezbyt zaangażowanych, wyborców niePiS, nikt nie lubi bowiem, gdy się z niego robi idiotę, a tak mogą się czuć ludzie zmuszeni odpowiadać na absurdalne pytania. Choć nie ma gwarancji, że zrobiona w balona nie poczuje się także część wyborców PiS. Jedni i drudzy mogą z tego powodu zostać w domach.

Dodatковым bonusem dla władzy może być odebranie głosu obywatelkom i obywatelom Polski zamieszkałym za granicą, których głosy liczą się do wyborów w Warszawie. Komisje wyborcze działające za granicą mają bowiem tylko 24 godziny na policzenie głosów. Jeśli nie policzą ich co do jednego, wszystkie przepadają. To stary przepis, na oko niekonstytucyjny, ale nikt go do tej pory nie skarżył do Trybunału Konstytucyjnego. Teraz, gdy z inicjatywy PiS zmieniono zasady liczenia głosów (komisja wyborcza nie może się dzielić na zespoły, wszystko trzeba liczyć wspólnie), ten przepis rażąco dyskryminuje

głosujących poza krajem – tak się składa, że najczęściej wyborców opozycji. Do tego PiS dodaje teraz referendum, a w nim aż cztery pytania. Odpowiedź na każde trzeba zliczyć osobno i jeszcze zdążyć policzyć poparcie dla każdego z kandydatów w wyborach do Sejmu i Senatu. Pytanie, czy w dużych skupiskach Polonii to zadanie jest w ogóle wykonalne?

Państwowa Komisja Wyborcza zapewnia, że problemu nie będzie, bo za granicą zrobi się więcej okręgów wyborczych. Nie wyjaśnia jednak, skąd wziąć do nich dodatkowych ludzi: członków komisji, mężów zaufania, obserwatorów?

Jeśli część głosów z zagranicy przepadnie, będą protesty wyborcze. I to uzasadnione, bo fakt, że państwo nie potrafi sprawnie zorganizować wyborów, nie usprawiedliwia odebrania prawa do głosowania.

Takie protesty mogą zresztą być władzy na rękę, jeśli wynik wyborów jej nie usatysfakcjonuje. Pamiętamy bardzo głośną kampanię o oszukanych wyborach samorządowych w 2014 r., gdzie PSL zrobił zaskakująco dobry wynik dzięki temu, że karta do głosowania miała formę książeczki, a zaczynała się od PSL. Były marsze protestacyjne, a nawet okupacja siedziby PKW podczas liczenia głosów. Uczestniczyli w niej m.in. dzisiejsi posłowie niezjednoczonej prawicy: Grzegorz Braun, Przemysław Wipler, Janusz Korwin-Mikke, Robert Winnicki i Krzysztof Bosak z Ruchu Narodowego. To sytuacja nieporównywalna z atakiem zwolenników Donalda Trumpa na Kapitol, ale pokazuje potencjalne zagrożenie kwestionowania wyborów.

Referendalna hucpa PiS wzbudza oburzenie. Ludzie chcą zbojkotować referendum i w ten sposób pokazać władzy, co o niej myślą. Tyle że to nie takie proste, bo władza wymyśliła szereg pułapek. Pierwszą z nich zastawiła na opozycję – tak polityczną, jak obywatelską – postawiła w roli przeciwnika demokracji bezpośredniej tych, którzy namawiają do bojkotu referendum, czym dowodzą, że jeśli przejmą władzę, nie będą słuchać głosu społeczeństwa, ale decydować ponad jego głowami. Stara sztuczka PiS: wmawianie innym własnych grzechów. Pozostałe pułapki wynikają z równoczesnego głosowania wyborczego i referendalnego: *głosowanie w referendum będzie nie tylko w tym samym czasie co wybory do parlamentu (prawo pozwala na to od lat, ale nie było wykorzystywane), ale też w tych samych lokalach; *oba głosowania prowadzi ta sama komisja wyborcza; *będą kwitowane na tym samym druku: spisie wyborców; *głosy trafią do tej samej urny. ►



Warszawiacy uczestniczący w referendum ludowym, 1946 r.

► Wszystkie okoliczności wręcz wymuszają udział w rządowym referendum. Politycy obozu władzy już triumfują, że spodziewają się frekwencji w referendum na podobnym poziomie, co w wyborach parlamentarnych, czyli ok. 60 proc. Byłoby to drugie w historii III RP ważne referendum ogólnokrajowe. Władza mogłaby głosić, że to dopiero jej rządy potrafiły wzbudzić w obywatelach zaufanie do demokratycznych procedur, i że to dopiero z nią społeczeństwo zdecydowało się dialogować. Trudno się więc dziwić oburzeniu antyPiS i wezwaniom do bojkotu referendum.

Jak skutecznie bojkotować

Szef PKW Sylwester Marciniak mówi, że nie mamy obowiązku pobrać wszystkich trzech kart do głosowania: w wyborach do Sejmu, do Senatu i referendalnej. Wystarczy grzecznie podziękować za którąś, a komisja powinna to odnotować. Pytanie, czy będzie gdzie? Wzór spisu wyborców przygotowuje – we współpracy z PKW – minister cyfryzacji. Już go ogłosił: nosi datę 3 sierpnia. Przewidziano w nim tylko jedną rubrykę na podpis pobierającego trzy karty. Jest jednak też rubryka „uwagi”, i to w niej członek komisji wyborczej powinien zrobić dopisek, jeśli któregoś z kart wyborca nie weźmie. Ale trzeba dopilnować, żeby odnotował. – *Najlepiej wstrzymać się z pokwitowaniem wzięcia kart wyborczych do czasu, aż członek komisji napisze adnotację. Jeśli nie będzie chciał tego zrobić, możemy sami, kwitując odbiór kart wyborczych, dopisać obok podpisu: „bez referendum”* – radzi była szefowa Krajowego Biura Wyborczego Beata Tokaj. Dodaje, że odmowę członka komisji można zgłosić przewodniczącemu komisji lub jego zastępcy, prosząc o interwencję. Można też zgłosić problem mężowi zaufania. On nie może interweniować, ale odnotuje incydent i dopilnuje, żeby w sprawozdaniu komisji nie policzono tego głosu do frekwencji w referendum.

Jeśli nie chcemy nabijać tej frekwencji (do ważności referendum trzeba uczestnictwa ponad 50 proc. uprawnionych),

nie można wrzucać pustej, przedartej czy opatrzonej komentarzem karty referendalnej do urny. Taki głos będzie nieważny, ale zostanie policzony do liczby uczestników referendum.

Jedyny skuteczny sposób bojkotu referendum to odmowa pobrania karty z pytaniami i dopilnowanie, by odpowiedni dopisek o tym był przy naszym nazwisku. Inna sprawa, że dopisek „bez referendum” będzie jednocześnie dla władzy informacją, że najprawdopodobniej nie poparliśmy jej w wyborach parlamentarnych. A więc naruszona będzie tajemnica głosowania. Dla wyborców w dużych miastach to zapewne żaden problem, ale może to być trudne dla mieszkających w miejscowościach, gdzie wszyscy się znają. Jeśli więc ktoś chce zapewnić sobie anonimowość, może przenieść się z głosowaniem do innej miejscowości czy miasta. Musi jednak złożyć w wybranym miejscu wniosek o dopisanie do spisu wyborców (do „spisu”, nie do „rejestr”, bo dopisanie do „rejestr” oznacza przeniesienie się z głosowaniem gdzie indziej na stałe). Można to zrobić osobiście, w gminie, lub online, na platformie ePUAP lub przez profil zaufany.

Niektórzy obawiają się, że pozostawienie niewypełnionej karty w komisji umożliwi fałszerstwo: ktoś ją wypełni, wrzuci do urny i w ten sposób podbije referendalną frekwencję. Stąd pojawiają się rady, by kartę referendalną po prostu zabrać ze sobą do domu. Jednak byłoby to złamanie prawa, podobnie jak zniszczenie karty.

Od pilnowania, by do oszustwa nie doszło, są mężowie zaufania i społeczni obserwatorzy. Powinni oni odnotowywać każdy fakt odmowy pobrania karty referendalnej, a podczas liczenia głosów sprawdzać, czy niewypełnionych kart jest tyle, ile było odmów ich pobrania.

Nerwy na wybory

Ale mężowie zaufania i obserwatorzy będą skuteczni, jeśli będą w każdej komisji. Rekrutację chętnych przeprowadzają poszczególne komitety wyborcze,

a także Obywatelska Kontrola Wyborów (OKW) – inicjatywa KOD działająca od 2018 r. Komitety wyborcze i aktywiści OKW współpracują ze sobą w ramach projektu „Wybory bez picu”, łącząc bazy danych o obserwatorach i mężach zaufania, żeby obsadzić wszystkie komisje w kraju i za granicą. W tej chwili do OKW zgłosiło się 17 tys. chętnych obserwatorów na 27 tys. obwodowych komisji wyborczych. Braki są przede wszystkim w komisjach na prowincji. A tych może być więcej, bo z inicjatywy PiS uchwalono możliwość stworzenia dodatkowych w małych miejscowościach (jak mówił prezes Kaczyński, „kościelnych”).

Żeby zgłosić chęć bycia obserwatorem czy mężem zaufania, należy wejść na stronę internetową OKW (okw.info.pl) i wypełnić formularz zgłoszenia. OKW szkoli chętnych z prawa i praktyki wyborczej. – *Skoro jednocześnie ma być też referendum, to dołożymy do szkolenia także informacje o problemach, które mogą z tego wyniknąć, np. że powinni odnotowywać każdy przypadek odmowy pobrania karty referendalnej i monitorować, czy i jak jest odnotowywany* – mówi działająca w OKW Ewelina Pytel, przewodnicząca zarządu małopolskiego regionu KOD. – *Obserwatorzy mogą tylko notować, ale szkolimy też członków komisji, więc będziemy ich uczyć, żeby robili przy nazwiskach wyborców adnotacje, jeśli nie wezmą karty referendalnej* – dodaje. Jej zdaniem w związku z ogłoszonym bojkotem referendum raczej nie należy się spodziewać większej niż zwykle ilości incydentów podczas głosowania.

Ale może być różnie. Warto więc pamiętać, że ważniejsze od bojkotu referendum jest głosowanie w wyborach parlamentarnych. Okazując obywatelski sprzeciw dla referendalnej manipulacji, można zgubić proporcje. Jeśli ten sprzeciw stanie się zarzewiem konfliktów w lokalach wyborczych, niezadowolony z wyniku wyborów parlamentarnych PiS może wykorzystać to jako argument, że wybory są „oszukane”. To z kolei może być pretekstem dla PiS, by w razie przegranej nie oddać władzy.

Być może dlatego Donald Tusk na niedawnej Radzie Krajowej PO rozładowywał nastroje, mówiąc: „Uroczyście przed wami nieważniam to referendum. Jest nieważne w najgłębszym tego słowa znaczeniu”. PiS oczywiście go za to zaatakował i wydrwił, ale widać u Tuska przemyślaną strategię: mniej się liczy to, czy bojkot się uda, a bardziej to, aby ludzie poszli na wybory, których wynik jest nieporównanie ważniejszy niż rozstrzygnięcie referendum.

EWA SIEDLECKA

Podglądanie handlowania

Urzędy skarbowe rozsyłają „listy behawioralne” do osób podejrzewanych o prowadzenie nieopodatkowanego handlu na platformach internetowych. Niebawem platformy e-handlu same będą musiały informować skarbowkę o częstych i większych transakcjach. Strach się bać.

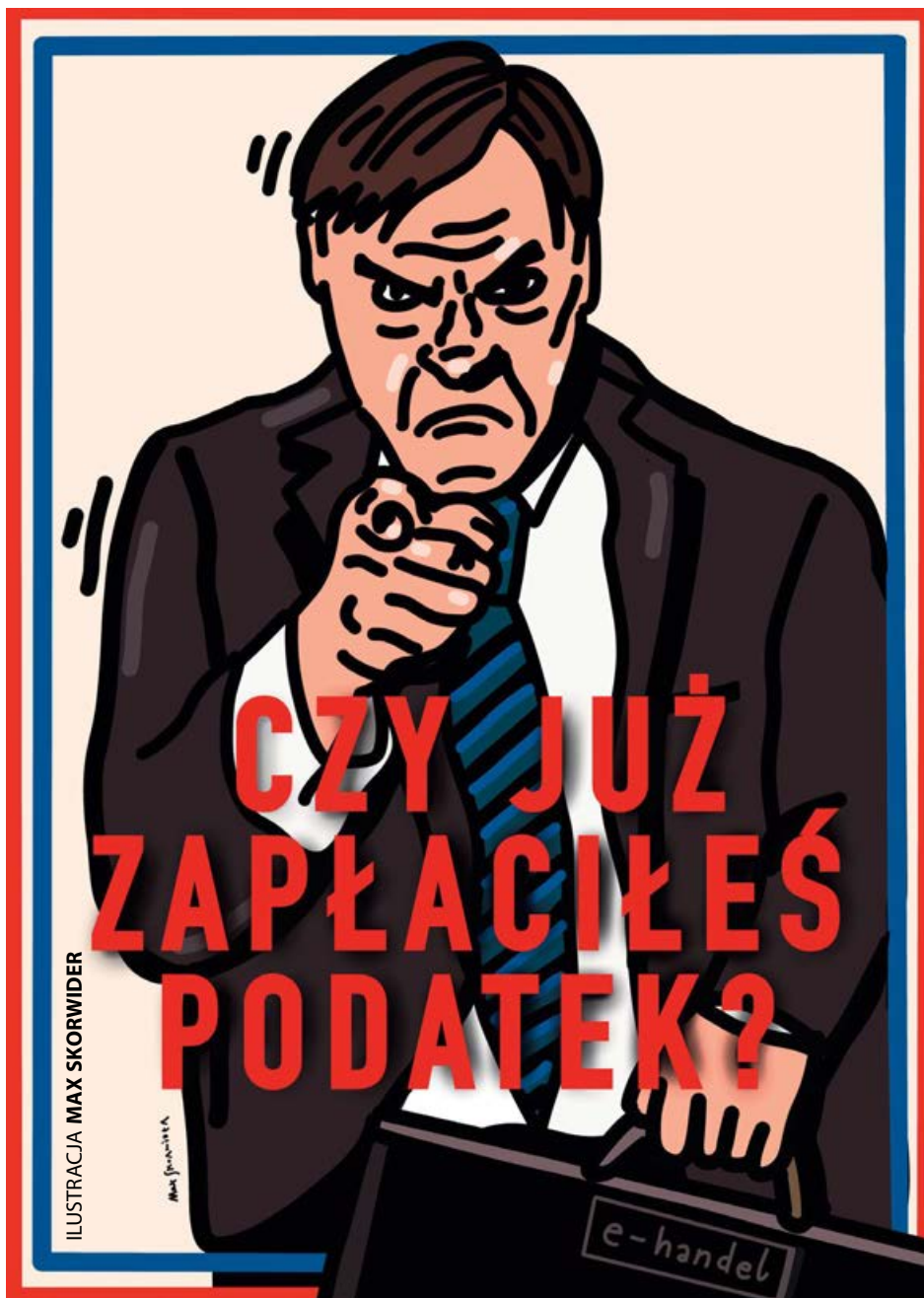
ADAM GRZESZAK

Urząd Skarbowy ma wiedzę o Pana działalności. Powinien Pan zarejestrować działalność gospodarczą i wywiązywać się z obowiązków podatkowych”.

Listy zawierające delikatne ostrzeżenie, że administracja skarbowa dużo wie i może tę wiedzę wykorzystać, otrzymali ostatnio ci, którzy są aktywni na internetowych platformach handlowych i serwisach ogłoszeniowych typu Allegro, OLX, Vinted, Otomoto itd. Ale co konkretnie administracja wie, tego nie zdradza, bo listy nie są typowymi pismami urzędowymi z numerem sprawy, podstawą prawną, wezwaniem do stawienia się itd. To tzw. listy behawioralne, czyli półoficjalna korespondencja mająca sprowadzić adresata na dobrą drogę, czyli drogę płacenia podatków. Zwykle z mniej lub bardziej zawołowaną sugestią, że jak nie, to, drogi adresacie, zajmiemy się tobą inaczej.

Listy behawioralne skarbowka stosuje już od jakiegoś czasu, jednak tym razem wywołało to spory rezonans w sieci, a także w mediach, bo państwo ruszyło do ataku na specyficzny obszar, jakim są internetowe platformy handlowe typu marketplace. To rodzaj internetowego placu targowego, gdzie swoje stoiska ustawiają profesjonalne e-sklepy, ale obok kręci się masa „nareczniaków”, czyli osób prywatnych, które sprzedają pojedyncze rzeczy – jakieś ciuchy wyciągnięte z szafy, meble po babci, przedmioty kolekcjonerskie itd. I właśnie te osoby znalazły się na celowniku Krajowej Administracji Skarbowej (KAS).

„To błąd” – komentuje akcję skarbowki uczestnik internetowego forum. „Żaden błąd. Urzędy skarbowe od paru lat wobec firm stosowały i stosują takie metody. Zamiast od razu wszczynać kontrole podatkowe, najpierw ostrzegają bez konsekwencji. I dla mnie to jest bardzo dobre podejście, żeby od razu nie robić ludziom dramatu z życia” – odpowiada mu inny. Sprawa odbiła się szerokim echem także wśród osób, które poczuły się potencjalnymi adresatami, choć listu nie dostały. – *Sporo kupuje i sprzedaje na Facebooku. Mamy grupę parentingową i co chwila ktoś czegoś szuka albo ktoś chce się czegoś pozbyć, bo dziecko wyrosło. To bardzo wygodne, ale jak skarbowka wszystkich nastroczy, to ludzie będą się bali coś wystawić* ▶



► *do sprzedaży. A trudno rejestrować firmę, żeby sprzedać hulajnogę czy zestaw Lego – tłumaczy Ela, młoda matka.*

„Pojedyncza sprzedaż np. ubranka po dzieciach nie jest obiektem zainteresowania skarbowki” – uspokaja KAS na swoim twitterowym profilu. Jednocześnie zapewnia: „To nieprawda, że urzędy skarbowe wysyłają masowo listy behawioralne do podatników. Owszem, listy mogą być wysyłane np. wtedy, gdy urząd ma uzasadnione podejrzenie, że podatnik prowadzi niezarejestrowaną działalność gospodarczą. Listy behawioralne pozwalają ograniczyć liczbę kontroli. Adresat listu może zgłosić się do urzędu skarbowego, uzyskać tam szczegółowe informacje i pomoc w wyjaśnieniu swojej sytuacji”.

Amatorzy i zawodowcy

Administracja skarbową jest zdania, że w tłumie sprzedających na platformach internetowych ukrywają się zawodowcy, którzy po prostu żyją z handlu, nie płacąc podatków. Czyli działają w szarej strefie. Jak jednak odróżnić amatora, który ma prawo sprzedać pojedyncze używane przedmioty, nie zakładając firmy handlowej i nie płacąc podatku, od takiego, który wystawia setki nowych towarów i obraca tysiącami złotych, unikając opodatkowania? Tu na razie przepisy są niejednoznaczne. Wiadomo jedynie, że można prowadzić niezarejestrowaną działalność gospodarczą, ale pod warunkiem, że miesięczny przychód nie przekroczy połowy minimalnego wynagrodzenia (dziś 1,8 tys. zł). Teoretycznie wszystko, co sprzedaje się w internecie, podlega opodatkowaniu, jeśli jednak sprzedawany jest przedmiot używany, a od jego zakupu minęło pół roku, wówczas sprzedawca podatku nie płaci.

Dlatego skarbowka musi internet trawlować w poszukiwaniu szarostrefowców. To nie jest proste, bo niektórzy świadomi, że działają nie do końca legalnie, dzielą swą aktywność między różne platformy handlowe i media społecznościowe. Na dodatek trzeba takie osoby potem precyzyjnie zidentyfikować, by ustalić, pod jaki adres wysłać list behawioralny. I właśnie to wywołało taki rezonans w sieci. Pojawiło się podejrzenie, że platformy handlowe wskazywały podejrzanych i podały ich adresy. – *KAS prowadzi swoje działania niezależnie, w oparciu o własne informacje. Platformy internetowe mogą przekazać dane sprzedających tylko na indywidualne żądanie organu, w związku z prowadzonym postępowaniem w konkretnej sprawie. Być może konfuzyjne powodują trwające obecnie prace nad wdrożeniem w Polsce unijnej dyrektywy DAC7, która nałoży*

na wszystkie platformy prowadzące działalność w UE pewne obowiązki dotyczące przekazywania danych niektórych użytkowników – wyjaśnia dr Magdalena Piech, dyrektorka ds. regulacyjnych Allegro.

Unijna dyrektywa DAC7 „w sprawie współpracy administracyjnej w dziedzinie opodatkowania” to element budowy unijnego jednolitego rynku cyfrowego, którego warunkiem – zdaniem Komisji Europejskiej – będzie wymiana informacji o dochodach uzyskiwanych przez sprzedawców korzystających z pośrednictwa platform cyfrowych. Problem szarej strefy handlowej i usługowej w sieci staje się coraz poważniejszy, zwłaszcza że w czasie pandemii rozsmakowaliśmy się w e-handlu i znacznie wzrosło jego obroty. Dlatego DAC7 nakłada na platformy obowiązek informowania o sprzedawcach, a na krajowe organy podatkowe państw UE wzajemnej wymiany tych informacji. Dotyczy to także państw trzecich, w tym sygnatariuszy wielostronnego porozumienia w sprawie automatycznej wymiany informacji o dochodach uzyskiwanych za pośrednictwem platform cyfrowych. W tych warunkach trudno się będzie ukryć, nawet jeśli ktoś będzie chciał skorzystać z marketplace Facebooka, Amazona czy eBay.

– *W sieci można znaleźć informacje, że dyrektywa DAC7 już obowiązuje, bo Polska była zobowiązana do jej przyjęcia do końca 2022 r. W rzeczywistości jednak implementacja postępuje powoli i ustawa z przepisami wykonawczymi jeszcze nie została przyjęta przez rząd. Nie wiemy więc jeszcze, jaki przyjmie ostateczny kształt, ale uważamy, że powinna być zbliżona do wymogów dyrektywy. Zwłaszcza wobec początkowych, niepokojących zapowiedzi, że polski prawodawca wyjdzie poza standard wynikający z dyrektywy. Obawiamy się, że przepisy mogą zostać uchwalone dopiero pod koniec roku, co spowoduje, że przedsiębiorcy będą mieć bardzo mało czasu na ich wdrożenie* – wyjaśnia dr Piech z Allegro. Platformy handlowe boją się, że ustawodawca nie zostawi im wiele czasu na przygotowanie się do raportowania o sprzedających, a DAC7 zakłada, że powinny udostępnić dane za 2023 r.

30 transakcji na rok

Idą jednak wybory, więc to odwołanie sprawy nie jest przypadkowe. Akcja skarbowki z listami behawioralnymi sprawiła, że w sieci zaczęły krążyć informacje, że PiS nie tylko chce wszystko wiedzieć o e-handlu, ale planuje wprowadzić nowy podatek od transakcji internetowych. Sprawa zrobiła się dla władzy trudna, zwłaszcza że zainteresowała się nią już Konfederacja,

przeciwna wszelkim podatkom. Konfederaci na sztandarach mają już walkę z e-fakturami (pod hasłem „inwigilacja+”), więc chętnie dorzucą sprawę monitoringu handlu internetowego i dyrektywy DAC7.

Dyrektywa wprowadza rozgraniczenie pomiędzy handlem okazjonalnym a profesjonalnym, wymagającym prowadzenia działalności gospodarczej i płacenia podatków. „DAC7 nie nakłada na użytkowników serwisów ogłoszeniowych żadnych dodatkowych zobowiązań podatkowych. W przypadku OLX-a jej przepisy będą dotyczyły tylko osób dokonujących transakcji z wykorzystaniem usługi Przesyłki OLX, które realizują 30 lub więcej transakcji sprzedaży w roku i/lub których łączne wynagrodzenie uzyskane ze sprzedaży dokonanej na platformie przekroczy w roku kwotę 2 tys. euro” – czytamy w oświadczeniu, jakie przekazała nam Grupa OLX.

– *30 transakcji w ciągu roku to nie jest dużo. Podobnie jak granica 2 tys. euro. Ktoś, kto sprzeda używanego laptopa i telefon, już może przekroczyć dopuszczalną sumę* – uważa Bartosz Ferenc, specjalista w dziedzinie e-handlu, prezes spółki Sembot. Sam – jak przyznaje – popiera walkę z szarą strefą w e-handlu, która stanowi formę nieuczciwej konkurencji wobec firm płacących podatki i dających pracę. Uważa jednak, że skala zjawiska została zdeminiowana. – *To już nie jest tak wielki problem jak kiedyś* – przekonuje.

KAS listy pisze

Tomasz Niedźwiecki jest prezesem platformy TakeDrop, ułatwiającej założenie i prowadzenie sklepu internetowego (działa tu 7 tys. e-sklepów). – *Nie lekceważyłbym problemu szarej strefy w e-commerce. Tyśiące nawet niewielkich transakcji i robią się z tego milionowe obroty, ograniczając możliwości rozwoju legalnych biznesów. Dlatego jestem za walką z tym zjawiskiem, także za pomocą listów behawioralnych.*

Listy budzą szczególne emocje. Część doradców podatkowych i prawników jest zdania, że państwo nie powinno straszyć podatników na zasadzie, „kto uczciwy, nie ma się czego obawiać”. Jeśli Krajowa Administracja Skarbową ma wobec konkretnej osoby jakieś zarzuty, to powinna je jasno artykułować. „Przedsiębiorca (czy też osoba fizyczna) otrzyma specjalnie przygotowane upomnienie, odnoszące się do wartości moralnych, dumy osobistej, wizerunku i wzajemności, dodatkowo zrehabilitowane w surowym tonie. Sposób sformułowania pisma wpłynie na tok myślenia odbiorcy, na jego rozumowanie, być może wywoła wyrzuty sumienia. W konsekwencji podatek zostanie opłacony” – tłumaczy

prawnicy z Kancelarii Prawnej Skarbiec. I namawiają: „Podatniku, nie daj się zmanipulować”, bo być może zobowiązanie podatkowe już się przedawniło.

Listy behawioralne to nie jest wynalazek KAS. Przywieźli je do Polski w 2015 r. eksperci Banku Światowego. Eksperyment, jaki przeprowadzili, miał sprawdzić, czy metodami ekonomii behawioralnej uda się zwiększyć ściągalność podatków. Pierwszy objął 150 tys. osób i polegał na rozesłaniu listów do tych, którzy nie rozliczyli w terminie rocznego podatku PIT. Trafiła do nich kilka losowo wybranych typów korespondencji rozsyłanej listami zwykłymi lub poleconymi. Jedne – miękkie – odwoływały się do etyki, obowiązku obywatelskiego, tłumaczyły znaczenie wpływów podatkowych dla gminy adresata. Drugie – twarde – kładły nacisk na konsekwencje, jakie mogą go spotkać w związku z niewykonaniem obowiązku podatkowego. Efekty finansowe przerosły oczekiwania.

Zaczęto sprawdzać, co na kogo podziało. Jak reagowali mężczyźni, jak kobiety, młodzi, starzy, mieszkańcy miast i wsi. Wniosek był taki, że skuteczniej działał list „twardy”, niezależnie, czy wysłany pocztą zwykłą czy poleconą. W 2017 r. behawiorysty z BŚ powtórzyli badanie w skali globalnej, prowadząc je w Polsce, Indonezji, Kosowie, Łotwie, Gwatemalii i Kostaryce. Eksperymentowano z większą liczbą listów różnej treści. I znów z niezłymi rezultatami podatkowymi. W efekcie KAS zakochała się w listach behawioralnych i wprowadziła je do swej rutynowej praktyki.

– *Eksperyment Banku Światowego jest ciekawym badaniem dotyczącym możliwości wykorzystania mechanizmów wpływu społecznego w relacjach państwa z obywatelami. Nie tylko ze względu na skalę, ale także profesjonalną metodologię. Wyniki pokazały, że różne grupy społeczne różnie reagują na skierowany do nich komunikat, więc państwo musi odpowiednio dostosowywać typ przekazu do konkretnych odbiorców* – komentuje dr Paweł Wójcik, psycholog zachowań konsumenckich z Wydziału Zarządzania UW. Jego zdaniem rutynowe traktowanie dziś przez urzędników KAS listów behawioralnych na zasadzie nalotu dywanowego jest zaprzeczeniem idei, jaka przyświecała badaczom BŚ.

Małpa z brzytwą

– *Listy behawioralne? Jeśli działają i skłaniają do płacenia podatków, to nie widzę problemu. Podatki trzeba płacić* – komentuje prof. Robert Gwiazdowski, adwokat i doradca podatkowy. – *Problem widzę gdzie indziej: w coraz większej władzy, jaką dajemy urzędnikom podatkowym. Nie tylko,*

jeśli chodzi o handel w internecie, ale także poza nim. Dostęp do naszych informacji za sprawą Aplikacji Krytycznych [spółka Skarbu Państwa przygotowująca narzędzia cyfrowe dla KAS i Ministerstwa Finansów] jest niebezpieczny. To jak dawanie małpie brzytwy do ręki, jeśli byle urzędnik będzie wiedział nie tylko, co i gdzie sprzedaje, ale także, co, gdzie i kiedy kupuje.

Niepokoju nie kryje też Wojciech Klicki z Fundacji Panoptykon, organizacji pozarządowej zajmującej się ochroną podstawowych wolności przed zagrożeniami, jakie niesie rozwój współczesnych technik nadzoru nad społeczeństwem. – *KAS chce o nas coraz więcej wiedzieć, także o tym, co robimy w internecie. Coraz chętniej występuje po dane internetowe (adres IP komputera). Jeśli w 2018 r. KAS wystąpiła 76 razy o taki dostęp, to w ub.r. było to już 1586 przypadków* – zwraca uwagę ekspert. – *Drugi problem to możliwość blokowania przez KAS kont bankowych. Wprawdzie musi na to wydać zgodę sąd, ale nie zdarzyło się, by odmówił. Rzecznik praw obywatelskich zwracał uwagę na zbyt dużą łatwość i uznaniowość, jaką ma administracja podatkowa w tej dziedzinie.*

Skarbowka pod pewnymi względami ma dziś większe kompetencje niż prokuratura. Ma możliwość domagania się wglądu do rachunku właściwie w każdym momencie, kiedy uzna to za stosowne. Prawem takim dysponuje nie tylko szef KAS, ale nawet zwykły naczelnik urzędu skarbowego. Przy tym podatnik nie musi nawet o niczym wiedzieć. To, co wcześniej dotyczyło tylko przedsiębiorców, teraz zostało rozciągnięte na osoby fizyczne.

Od roku skarbowka może domagać się dostępu do naszych prywatnych kont. Nie ma też obowiązku wcześniejszego postawienia zarzutów takiej osobie. W przypadku kont firmowych KAS ma też prawo do ich blokowania nawet do trzech miesięcy na podstawie wskaźnika ryzyka ustalonego przez algorytm. Choć taka blokada może doprowadzić do bankructwa, algorytm jest tajny, więc nie wiadomo, dlaczego przedsiębiorca został odcięty od pieniędzy.

Kolejne uprawnienia, jakie otrzymuje KAS, sprawiają, że administracja skarbowca staje się potężną bronią w rękach państwa i polityków. I choć wszystko odbywa się pod hasłem walki z szarą strefą i dążeniem do poprawy ściągalności podatków, ta broń jest groźna dla obywateli, bo można ją wykorzystać w celach politycznych. Staje się takim skarbowym Pegasusem. Były minister zdrowia Adam Niedzielski pokazał niedawno, jaki użytek można zrobić np. z dostępu do bazy e-recept.

ADAM GRZESZAK



III Festiwal Wiatru 15-24 września 2023 r.

15 IX
g. 18.00

Premiera spektaklu
pt. „Syrenka Ariel”
(Kielecki Teatr Tańca)

16 IX
g. 17.00

Spektakl
„Pod adresem marzeń”
(Teatr Lalki i Aktora „Kubuś”)

16 IX
g. 16.00
17 IX
g. 11.00

16 IX
g. 17.00

„Zwiewny Wieczór
ze Sztuką i Modą”
(Dworzec Autobusowy)

Piknik Rodzinny „Wiatr w żagle”,
Parada Motocyklowa
oraz Regaty Żeglarskie
(Przystań przy Zalewie Kieleckim)

23 IX
g. 12-16

Zgłoszenia
do 11 IX

„Wiecz(trz)ne Kielce”
Ogólnopolski Konkurs
Fotograficzny

Wietrzna Gra
(Geonatura Kielce)

17-24
IX

21 IX

„Wietrzny dzień”
na Uniwersytecie
Jana Kochanowskiego

„Kielecka Mapa Wiatru”
(Politechnika Świętokrzyska)

Wystawy

Warsztaty

oraz wiele innych atrakcji



Partie listy piszą

Z **Michałem Kołodziejczakiem** w roli egzotycznego sojusznika i nieco odmłodzoną partią, za to bez Romana Giertycha. Listy wyborcze Koalicji Obywatelskiej na pierwszy rzut oka mogą zaskakiwać, chociaż są jak najbardziej w stylu **Donalda Tuska**. Kto jednak nie ryzykuje, ten nie pije później szampana.



RAFAŁ KALUKIN

Fasada jest koalicyjna, ale w gruncie rzeczy to autorska lista Donalda Tuska. Szef Platformy panował niepodzielnie nad procesem jej układania, biorąc sobie oficjalne instancje partyjne co najwyżej na konsultanta. Na wstępie pozbierał od szefów organizacji wojewódzkich ich personalne typy, ale potem już robił z nimi, co chciał. Członkowie zarządu partii poznali ostateczny kształt dopiero na ubiegłotygodniowym posiedzeniu zatwierdzającym listy. Jedni wychodzili bardziej usatysfakcjonowani, inni mniej, ale nikomu nie przyszło do głowy protestować.

Podobnie byli zresztą zaskoczeni doproszeniem AgroUnii. Rozmowy z Michałem Kołodziejczakiem toczyły się bowiem w dyskrecji i Tusk nie ryzykował sondowania nastrojów na zapleczu. W Platformie panuje jednak przekonanie, że szef wie, co robi.

Platformersi z dłuższym stażem dają do zrozumienia, że takiego zawierzenia woli szefa nie było nawet w czasach rządzenia. Bo też autorytet byłego premiera po paru sezonach w światowej polityce dodatkowo urósł. Z kolei flauta epoki międzytuskowej utwierdziła partię w przekonaniu, że projekt ma sens jedynie pod kuratelą ojca założyciela. To swoista wspólnota losu: kiepski wynik wyborczy może ostatecznie zakończyć karierę polityczną Tuska, ale nikt w Platformie nie może też mieć pewności, że partia przetrwa ostateczne odejście przywódcy.

Nie powinno więc dziwić, że nieszablonowana zagrywka z AgroUnią została przyjęta niemalże stoicko. Chociaż to ze strony Tuska krok nieco desperacki. W pewnym sensie upichcił swoim wyborcom *ersatz* wielkiego bloku, którego sam przecież nie

zdołał dopiąć. Swoje też zrobiła sondażowa stagnacja, niedająca się od wielu tygodni niczym przełamać. Sytuacja aż się prosiła o to, żeby wyjść poza rutynę i czymś zaskoczyć. Tyle że w koopcacji AgroUnii trudno się doszukiwać taktycznej głębi. Po prostu była do wzięcia po fiasku rozmów Kołodziejczaka z Trzecią Drogą.

AgroUnia to partner wielce ryzykowny. O niejasnym profilu i korzeniach, obciążony kontaktami ze skrajną prawicą, ciągnący za sobą niestrawny dla bardziej progresywnych wyborców lobbystyczny ogon branży futerkowej. Z niewątpliwie umiającym robić wokół siebie szum młodym liderem, ale mimo wszystko śladowym poparciem. Z drugiej strony akurat oddanie Kołodziejczakowi jedynki w Koninie wydaje się racjonalne, tym bardziej że to platformerski ugor bez naturalnego lidera i silnych struktur. Oprócz niego wystartuje jeszcze paru innych agrounitów, chociaż wydaje się, że raczej bez szans na mandaty (może poza kandydatem na czwartym miejscu w Rzeszowie). Platformersi zapewniają, że ekipa Kołodziejczaka została prześwietlona przez partyjny „wywiad” i nie powinno w kampanii wypłynąć nic kompromitującego na ich temat. Ale czy to wystarczająca rękojmia?

Mimo wszystko nowy partner może się przydać. Wkrótce kończą się żniwa i rolnicy będą mieć więcej czasu na śledzenie kampanii. I to głównie do nich, jak również do szeroko pojętego środowiska wiejskiego, ma trafiać ruchliwy Kołodziejczak ze swoim przekazem o wsi w ruinie pod rządami PiS. Oczywiście pod warunkiem, że jego alians z wielkomiejskimi liberałami nie zachwiał wiarygodnością „drugiego Leppera”, czego pierwsze symptomy ujawniły się niemal od razu po jego wejściu na listy KO.



A czy zaakceptują go etosowi zwolennicy Platformy? Na razie nic nie wskazuje, żeby mieli problem z Kołodziejczakiem. Są już wprawieni w przyjmowaniu taktycznych manewrów Tuska, szczególnie kolejnych socjalnych obietnic, które przecież wracają do góry nogami liberalną tożsamość formacji, a także większość potocznych wyobrażeń o dewastującym gospodarce pirowskim rozdawnictwie. Tyle że jest to akceptacja warunkowana nadzieją na wygranie wyborów.

Roman z AgroUnią jest zatem dodatkowym rozciągnięciem i tak już napiętej tożsamościowej gumy. Wykracza nawet poza patchworkową formułę PO, która powstała przecież z połączenia dawnych liberałów z KLD i UW oraz umiarkowanych konserwatystów z AWS. W 2007 r. Tusk rozbudował prawie skrzydło, wyciągając z PiS Radka Sikorskiego. Cztery lata później zainwestował w lewe, podbierając SLD Bartosza Arłukowicza. Nowe twarze przeważnie jednak wtapiały się w partyjną tkankę i w swoich najlepszych czasach Platforma nie miała problemów ze sterownością.

Już się nie dowiemy, jaka byłaby reakcja wyborców na Romana Giertycha. Kontrowersyjny adwokat nie został dopuszczony do paktu senackiego, chociaż od wielu tygodni o to zabiegał, grożąc rozbijackim startem spoza paktu. Ostatecznie dał jednak za wygraną. Tusk do samego końca miał jednak rozważać poparcie kandydatury Giertycha, którego skądinąd przymierzano również do listy sejmowej. Ten jednak przedobrził w staraniach, uruchomił własne zasoby wpływów w sieci i włączył się w konflikt

dotyczący debaty symetrystów na Campusie, próbując wywieść naciski na samego Tuska (więcej s. 7). I wtedy wyczerpał się limit cierpliwości szefa PO, który kazał odciąć Giertycha od paktu senackiego.

Przy okazji zaiskrzyło też na linii Tusk-Trzaskowski. Poszło o blisko związane z prezydentem Warszawy Sławomira Nitrasa, który wdał się w twitterową pyskówkę z Adamem Abramczykiem, liderem kibicującej Tusкови społeczności #SilniRazem. Zdyscyplinowany przez Tuska groźbą wyrzucenia z listy (a przyznano mu jedynekę w Szczecinie) publicznie przeprosił influencera, co wzburzyło środowisko Trzaskowskiego.

Tusk najwyraźniej chciał jednak uniknąć konfliktu z Trzaskowskim w najgorętszej fazie kampanii. W ramach rekompensaty poprzesuwał więc jego ludzi w górę list. Najbardziej się pewnie z tego ucieszył średnio rozpoznawalny Paweł Olszewski, który w Bydgoszczy zepchnął z pierwszego miejsca Krzysztofa Brejzę. W Łodzi jedynekę otrzymał z kolei Dariusz Joński, a przy okazji rozwiązano problem nadmiaru bogactwa w tym mieście, przesuwając Katarzynę Lubnauer – również z drużyny Trzaskowskiego – do Warszawy. Jej czwarte miejsce w stolicy to gwarancja mandatu. Jedynekę w Gdyni utrzymała Barbara Nowacka, ale to był akurat pewniak. Podobnie jak Nitras w Szczecinie pomimo chwilowego zamieszania.

Tworzenie list jest procesem kunsztownym, gdyż trzeba godzić wyborczy pragmatyzm z interesami koteryjnymi oraz ludzkimi ambicjami. Przede wszystkim należy zoptymalizować partyjne zasoby: porozdzielać najbardziej wyraziste postaci pomiędzy okręgi, żeby ciągnęły listy. Popularny polityk na pierwszym miejscu jest w stanie zdobywać głosy dodatkowych wyborców o nieutralnych preferencjach, co później procentuje przy podziale mandatów. Czasem bywa i tak, że lider listy ściąga większość poparcia, a na jego plecach wchodzi kandydaci z bardzo odległych nieraz miejsc i cieszący się symbolicznym poparciem.

Ale w dużych formacjach – takich jak KO – łakomym kąskiem są również drugie, trzecie, a czasem nawet jeszcze niższe miejsca. Potocznie określane mianem „biorących”, co jednak zależy od poparcia na poziomie lokalnym, gdyż mandaty dzielone są w okręgach. Okręgi są zresztą bardzo zróżnicowane pod względem wielkości; w Warszawie jest do wzięcia aż 20 mandatów, a w Częstochowie – raptem pięć. Przedmiotem ostrej rywalizacji bywa również ostatnie miejsce, wręcz idealne dla politycznych singli, ale w jakimś sensie charakterystycznych. W Gdańsku upodobał je sobie Jarosław Wałęsa, chociaż były zakusy, żeby mu je odebrać. W sprawę zaangażował się nawet Lech Wałęsa, który miał wydzwaniać do Tuska i szantażować go możliwością swojego startu z listy... PSL. Nie wiadomo, czy lider PO potraktował to poważnie, ale syn solidarnościowej legendy ostatecznie dopiął swego.

Dobrze skonstruowana lista powinna jednak zawierać jak najszerzy wachlarz nazwisk – tak żeby przypominała półkę w bogato zaopatrzonym supermarkecie. Zdarzają się bowiem wyborcy wymagający, którzy w wyborze kandydatów kierują się preferencjami ideowymi bądź kulturowymi. Warto więc zadbać o obecność przedstawicieli różnych nurtów oraz szeroki przekrój wiekowy. Mile widziani są również lokalni aktywiści, znane osobistości spoza świata polityki, w formacjach bardziej progresywnych konieczny jest oczywiście parytet dla kobiet.

A jednocześnie budowanie list staje się w rękach lidera narzędziem utrwalania władzy. To w końcu etap wyłaniania się nowych hierarchii, którymi później przez całą kadencję dobrze jest harmonijnie zarządzać. ►

► **Tuskowi z zasady obce są kadrowe rewolucje, niemniej kurs na odmłodzenie partii jest tym razem czytelny.** Część starych twarzy poprzesuwał nieco w dół, inne wypchnął do Senatu. Przede wszystkim odwiecznego antagonistę Grzegorza Schetynę, ale też kojarzonego z nim Rafała Grupińskiego. Ten ostatni zresztą przesunął się do paktu senackiego w towarzystwie swojego krajana Waldy Dzikowskiego, gdyż trzeba było zrobić miejsce na sejmowej liście w Poznaniu dla szefa Nowoczesnej Adama Szłapki (skądinąd bliskiego Trzaskowskiemu) oraz do-tychczasowego senatora Marcina Bosackiego.

We Wrocławiu analogiczny kurs z Senatu na listę sejmową obrał Bogdan Zdrojewski, tyle że – jak wielu zasłużonych – musiał się zadowolić odleglejszym czwartym miejscem. Jedyneką dosyć nieoczekiwanie w dawnym mateczniku Schetyny przypadła obecnej senatorce prof. Alicji Chybickiej. Za to w pakcie senackim w ostatnim momencie zakotwiczyła Małgorzata Kidawa-Błońska, chociaż w jej przypadku nie można mówić o zsyłce. Tym ruchem Tusk najpewniej rozwiązał sobie problem marszałka Tomasza Grodzkiego, którego „odziedziczył” jeszcze po Schetyńcu, ale osobiście niezbyt ceniał. Teraz Kidawa ma zostać nową marszałkinią.

Niektóre nazwiska całkiem wypadły z obiegu. To zwłaszcza przypadek kolejnego ze schetynowców Sławomira Neumana oraz mającego problem z prawem, a przed laty wpływowego Cezarego Grabarczyka. Z drugiej strony wraca do krajowej polityki po czterech latach na brukselskim wicemarcie Bartosz Arłukowicz, który otworzył listę koszałańską.

Nie znalazły szerokiego ujścia ambicje samorządowców z ruchu „TAK! Dla Polski”, nawet jeśli jego lider Jacek Karnowski dostał biorącą dwójkę w Gdańsku. Poza prezydentem Sopotu startują jednak pojedyncze postaci z dalszego planu, na co wpłynęła ogólna niechęć Tuska do instalowania sobie w klubie na polu autonomicznego środowiska. Ale też krąg chętnych do przesiadki w politykę krajową wbrew buńczucznyemu zapowiedziom Karnowskiego sukcesywnie się wykruszał. Na uwagę zasługują za to promocja lubuskiej marszałkini Elżbiety Polak, która zepchnęła na drugie miejsce tamtejszego partyjnego barona Waldemara Ślugockiego.

Najbliższe otoczenie Tuska z mitycznego „piątego piętra” partyjnej siedziby przy ul. Wiejskiej oczywiście nie miało powodów do obaw. Zrzuceniu wcześniej na spadochronie do Kielc Bartłomiej Sienkiewicz powraca do rodzinnego Krakowa, oczywiście na jedynkę. Sekretarz generalny PO Marcin Kierwiński ponownie otwiera listę w Płocku, a szef klubu Borys Budka – w Katowicach. Warszawski „obwarzanek” to tradycyjnie rewir rzecznika Platformy Jana Grabca, a były szef MON Tomasz Siemoniak tym razem wystartuje w Opolu.

Szczególnie ważnym narzędziem w rękach Tuska okazał się w tym roku „suwak”, który zastosowano z niespotykaną w KO konsekwencją. Głównie cierpieli z tego powodu zazwyczaj trzęsący partyjnymi strukturami mężczyźni; przywykli do okupowania szczytów list, a teraz seryjnie spychani w dół. Tuskowi wyraźnie jednak zależało na porozbijaniu lokalnych układów, do czego poprawnościowa reguła wydawała się wręcz stworzona. Dzięki „suwakowi” obdarowano potencjalnie biorącymi miejscami najszerszą jak dotąd reprezentację kobiet, często młodych, bez doświadczenia w polityce, niekiedy nawet spoza platformerskich struktur. Z perspektywy lidera to same korzyści, bo merytoryczna jakość klubu raczej nie ucierpi, a przy okazji Tusk kupuje sobie lojalność potencjalnie obfitego grona politycznych debutantek, które będą pamiętać, komu zawdzięczają awans.

Nie zabrakło wreszcie tradycyjnej wisienki na platformerskim torcie, czyli widowiskowych transferów spoza polityki. Wiadomo,

że przynajmniej jedna nowa osobistość ze świata sportu na listach PO być musi; w tych wyborach padło na byłego trenera skoczków narciarskich Apoloniusza Tajnera. Większe zainteresowanie skupił jednak Bogusław Wołoszański, którego obdarowano jedynką w Piotrkowie Trybunalskim. Reklamowany jako młot na startującego w tym okręgu Antoniego Macierewicza, co w świetle agenturalnego epizodu w biografii dziennikarza było dosyć przewrotne. Nawet jeśli to tylko pikantna błahostka, a nie poważny życiorysowy hak. Skądinąd Wołoszańskiemu było też kiedyś po drodze z Jarosławem Kaczyńskim: za młodu obaj uczestniczyli w osławionym seminarium u prof. Stanisława Ehrlicha.

Wygląda na to, że struktura przyszłego klubu KO będzie raczej rozproszona. Koalicyjna formuła sama w sobie już temu sprzyja, a oficjalni partnerzy PO – czyli Nowoczesna, Inicjatywa Polska oraz Zieloni – są zbyt słabi, żeby aspirować do wewnętrznej autonomii. A do tego klub w jeszcze większym stopniu niż do tej pory nasycony zostanie politycznymi uchodźcami z innych partii. Do takich polityków, jak Paweł Kowal albo Grzegorz Napieralski, być może dołączą teraz kolejni: Andrzej Rozenek, Gabriela Morawska-Stanecka, Karolina Pawliczak (wszyscy z przeszłością w Lewicy), Hanna Gil-Piątek (po epizodzie w Lewicy i u Hołowni) oraz eksgowinowiec Michał Wypij. Bez zaplecza i konkretnego przydziału pisany im jest los politycznych singli, którymi stosunkowo łatwo będzie Tuskwowi zarządzać. Jedyneką w miarę zwartą wewnętrzną grupą pozostaną więc poplecznicy Trzaskowskiego. O tyle jednak dla Tuska bezpieczną, że prezydent Warszawy wyraźnie nie chce konfrontować się z liderem i cierpliwie czeka na wybory prezydenckie.

Mając sterowny klub, Tusk powiększy sobie pole manewru po wyborach. Co o tyle istotne, że ich wynik wydaje się niepewny, zwiastując chaos, być może uniemożliwiający wyłonienie nowej większości. Z perspektywą kolejnych wyborów już na początku przyszłego roku. Tylko że wtedy partia stanie przed dylematem, czy szklanka jest do połowy pełna, czy jednak bardziej pusta. Jeżeli Tusk uzna, że dogrywkę można wygrać, zapewne ogłosi po 15 października, że za nami dopiero pierwsza bitwa, ale wojna nadal trwa. Wtedy kontrolując klub, z pewnością uda mu się spacyfikować ewentualne tendencje rozliczeniowe. Co innego, jeśli dojdzie do wniosku, że widoki na ostateczne zwycięstwo są jednak marne. Czy podejmie wówczas ryzyko dalszego przedwzrostu, stawiając na szali cały swój autorytet? A może jednak odejdzie, zostawiając z tym problemem Trzaskowskiego? Na te pytania dziś nie ma odpowiedzi. Tyle wiadomo, że były premier pozabezpieczał sobie rozmaite opcje.

Wiele oczywiście zależeć będzie od wyniku pozostałych opozycyjnych ugrupowań. Lewica też już odkryła karty, chociaż na listach nie było wielkich niespodzianek. Chwilowy zamęt wywołała zapowiedź wystawienia prof. Jana Hartmana, tyle że znany m.in. z łamów POLITYKI filozof spalił swoją kandydaturę raptownym wpisem w mediach społecznościowych, w którym upomniał się o obywatelskie prawa przestępców, także skazanych za pedofilię. Logikę wywodu przysłonił prowokacyjny kontekst, wywołał panikę w szeregach Lewicy i w efekcie Hartman został wycofany. Ale taka jest metoda Włodzimierza Czarastego na te wybory: heblować kandydatów, unikać kontrowersji, wygaszać wewnętrzne napięcia i nie krzyżować szpady z innymi ugrupowaniami na opozycji. Czyli jechać możliwie najciszej, żeby dojechać do kolejnej kadencji. Na razie najslabszym opozycyjnym ogniwem wciąż pozostaje Trzecia Droga z koalicyjnym prognozą 8 proc. Jej listy ciągle jeszcze czekają na publikację. Podobnie jak listy PiS.

RAFAŁ KALUKIN

Gry (z) Konfederacją

Jeżeli niespełna dwa miesiące, jakie pozostały do 15 października, nie zmienią wyraźnie wyborczego krajobrazu, to po wyborach rozpocznie się batalia, jakiej polska polityka jeszcze nie widziała. Swoje szanse będzie miał Kaczyński, ale także Tusk.

Obiektem zabiegów stanie się Konfederacja.

CEZARY MICHALSKI

Jeśli Tusk pokona Kaczyńskiego, KO zbierze więcej głosów niż PiS, a demokratyczna opozycja (KO, Trzecia Droga, Lewica) będzie miała większość w Senacie i Sejmie, wówczas Konfederacja, podobnie jak PiS, znajdzie się na opozycji i rozpocznie się nowa polityczna era. Realizm każe się jednak liczyć także z wynikiem bardziej podobnym do dzisiejszych sondaży. Wówczas ani Kaczyński, ani demokratyczna opozycja nie będą miały w nowym Sejmie większości. I to Konfederacja stanie się języczkiem u wagi. Partia z programem będącym listą memów. Partia pokłóconych i konkurujących ze sobą liderów. Młodych „antysystemowych” wyborców, w rzeczywistości łatwiejszych do zmanipulowania niż jakakolwiek inna grupa społeczna. Kto tę partię po wyborach rozegra, będzie rządził Polską.

Obecne sondażowe wyniki Konfederacji dają jej 50–60 posłów w przyszłym Sejmie. Jeśli Konfederacja dowiezie taki wynik do wyborów, stanie się znieuważonym i pożądanym partnerem politycznych gier. Z pozoru to Kaczyńskiemu łatwiej stworzyć koalicję z Konfederacją, a scenariusz czyniący z Konfederacji partnera opozycji demokratycznej wydaje się niemożliwy. Ale tylko z pozoru.

Koalicja jest jedną z demokratycznych strategii sprawowania władzy. Ponieważ jednak Jarosław Kaczyński nie jest demokratycznym politykiem, to nie toleruje koalicji, nie akceptuje dzielenia się władzą, nie przestrzega żadnych koalicyjnych umów. Jeśli jest do aliansu zmuszony – tak jak podczas swoich pierwszych rządów w latach 2006–07 – od pierwszego dnia niszczy partnerów. W latach 2006–07 służby, w tej ich części, która była tworzona i kontrolowana przez PiS, zajmowały się bardziej Lepperem i Giertychem niż Platformą Obywatelską, PSL czy lewicą. Efektem tych działań było częściowe rozbiście Samoobrony i Ligi Polskich Rodzin.



Konfederacja zwykle była niedaleko od PiS. Na fot. Janusz Korwin-Mikke i Jarosław Kaczyński.

Wyjęcie z obu „koalicyjnych” klubów parlamentarnych sporej grupy posłów, których jednak nie starczyło do zbudowania samodzielnej większości. Ceną tej porażki były dla Kaczyńskiego przedterminowe wybory i utrata władzy.

Inną strategię budowania większości Kaczyński przyjął po 2019 r., kiedy

zaczęło mu brakować w Sejmie głosów do bezpiecznego przepychania kolejnych niekonstytucyjnych ustaw, a odrzucanie poprawek przejętego przez opozycję Senatu stało się prawie niemożliwe. Ponieważ brakowało mu kilkunastu, a nie kilkudziesięciu głosów, przy udziale Morawieckiego, Bielana, Kamińskiego, ►

► Sasina, wykorzystując mieszankę szantażu i politycznej korupcji, zaczął budować „śmięciową koalicję”, która pozwoliła rządowi Morawieckiego bezpiecznie dotrzeć do końca kadencji.

Rozbicie po drodze Porozumienia Jarosława Gowina było powtórką z rozrywki, farsowym powtórzeniem prób zniszczenia Samoobrony i LPR. Podobne próby Kaczyński podejmował wobec partii Ziobry. Musiał być jednak ostrożniejszy, gdyż wypchnięcie do opozycji blisko 20 posłów było nadmiernym politycznym ryzykiem. Ziobro stracił pojedynczych ludzi, jednak utrzymał kontrolę nad własną formacją. Ale prawdziwy cios Kaczyński przygotowuje przy okazji pisania list: ma nadzieję zredukować w przyszłym Sejmie stan posiadania Ziobry, co mocno utrudni obecnemu ministrowi sprawiedliwości własne powyborcze gry z Konfederacją.

W pesymistycznym scenariuszu październikowych wyborów, jeśli Zjednoczona Prawica i Konfederacja uzyskają choćby minimalną większość w nowym Sejmie, rozstrzygająca dla Kaczyńskiego stanie się proporcja posłów pomiędzy jednym i drugim segmentem prawicy. Jeśli Zjednoczona Prawica zdobyłaby 200 mandatów, a Konfederacja 30, Jarosław Kaczyński wybierze powtórkę ze „śmięciowej koalicji”, próbując wyłuskiwać pojedynczych konfederatów, ale także zaszantażowanych lub przekupionych posłów z różnych klubów opozycji demokratycznej, aby zbudować samodzielny większość. Jest to jego wymarzony scenariusz, co w swoich sugestjach potwierdzają niektórzy politycy PiS.

Jeśli jednak wynik Zjednoczonej Prawicy i Konfederacji będzie bardziej zbliżony do dzisiejszych sondaży, obóz Kaczyńskiego będzie miał 180 posłów lub niewiele więcej, a stan posiadania Konfederacji będzie się zbliżał do 60 posłów, to próby pojedynczego „kupowania” posłów staną się dla prezesa PiS zbyt ryzykowne. Wybierze wariant „koalicji” według modelu z 2006–07 r.

Paradoksalnie od tego, czy Konfederacja wytrzyma pierwsze uderzenie Kaczyńskiego, zależy to, czy kolejne cztery lata Polacy spędzą pod jego rządami. Jarosław Kaczyński prawdziwej koalicji z Konfederacją nie zawiaże. Albo ją „zaczaruje”, a potem spróbuje rozbić, albo zacznie ją demontować od razu.

Dziś dla Kaczyńskiego Konfederacja to nie partia, ale zbieranina. Prezes PiS rozpocznie zatem powyborcze rozmowy z Konfederacją od charakterystycznej dla niego fazy „uspiania”, podobnie



© JAKUB KAMINSKI/EAST NEWS

PiS zna metody, żeby przyszłego koalicjanta podzielić i przejąć. Na fot. Ryszard Terlecki, Marek Suski, Krzysztof Bosak.

jak w latach 2006–07 zaczynał pracować z Lepperem czy Giertychem. Osobiste spotkania, zainteresowanie programem, który „oczywiście przeczytał”. Propozycja Ministerstwa Finansów dla Mentzena i Ministerstwa Skarbu także dla kogoś z Konfederacji. Bez zwracania uwagi na programowe różnice. W najgorszym razie Kaczyński, z właściwą sobie dezynwolturą wobec instytucji państwa, „wydraży” oddane konfederatom ministerstwa, przekazując realne kompetencje decyzyjne do urzędów stworzonych ad hoc przy kancelarii kontrolowanego przez PiS premiera. Nie będzie oczywiście realnego dopuszczenia Konfederatów do resortów siłowych czy prokuratury. Kaczyński wpuści tam (znów wzorem „koalicji” z Samoobroną i LPR) pojedynczych ludzi na poziomie wiceministra czy dyrektora departamentu, ale tak, aby otorbić ich i wyizolować, by nie mieli żadnego wglądu w działania służb, które od początku zajmą się Konfederatami, przygotowując plan B, czyli rozbić i zniszczenie koalicjanta.

Jeśli Kaczyńskiemu faktycznie zabraknie do samodzielnej większości 50–60 posłów, jego uderzenie w Konfederację będzie ostrzejsze, na miarę afery gruntowej, czyli zorganizowanej przez posłusznego Kaczyńskiemu Mariusza Kamińskiego prowokacji, za pomocą której próbował zniszczyć Leppera i Samoobronę. A i tak nie ma gwarancji, że niszcząc koalicjanta na taką skalę, Kaczyńskiemu

wystarczy czasu, żeby nie stracić sejmowej większości. Nawet wyrywanie pojedynczych posłów PSL, Hołowni, Lewicy, a może również KO, będzie tylko marginesem gry na zniszczenie Konfederacji.

Najważniejszym kluczem do pozyskania pojedynczych konfederatów stanie się „pokazanie im prawdziwego życia”. To znaczy zaproponowanie udziału w łupach na poziomie, o którym ci młodzi działacze nie mają pojęcia: stanowiska w spółkach Skarbu Państwa czy miliony złotych transferowane do kieszeni zarówno czołowych i pomniejszych konfederatów, jak też do ich rodzin, politycznych klientów, zaprzyjaźnionych organizacji. Po to, by ich uzależnić od tych fruktów, ale także, by zastawić na nich pułapki.

Uzależnienie politycznych amatorów od budżetowych milionów przyda się Kaczyńskiemu w przypadku prób wyjścia Konfederacji z koalicji. Szczególnie politycy drugiego czy trzeciego rzędu będą rozgoryczeni zerwaniem „tak pięknie rozpoczętej przyjaźni”. Z kolei liderów Konfederacji Kaczyński będzie rozgrywał przeciwko sobie, a także zastawiał na nich pułapki właśnie w rodzaju afery gruntowej.

W czasie pierwszych 30 dni Kaczyński będzie musiał się zdecydować, czy proces przejmowania konfederatów ma szansę na tyle, aby złożyć z nimi rząd (dla niego będący przez cały czas rządem tymczasowym). W przypadku sukcesu wstępnych rozmów uchwali razem z nimi budżet

na 2024 r., co przy rzadkich posiedzeniach rządu pozwoli mu w miarę wygodnie kontrolować państwo przez kolejny rok. Wypychając w tym czasie Konfederację na polityczne zaplecze i przygotowując przejścia pojedynczych posłów i rozbić całości.

Jeśli jednak Konfederacja w ciągu pierwszych 30 lub 60 dni (tyle może dać Kaczyńskiemu Duda) okaże się dla prezesa PiS zbyt twardym orzechem do zgryzienia, wówczas wyznaczony przez PiS premier nie prześle do Dudy ani budżetu, ani propozycji rządu, przygotowując się do przedterminowych wyborów, które mogą przy takim scenariuszu nastąpić już w marcu, a nawet lutym. W tym czasie rozpocznie się zupełnie już bezpardonowy atak zarówno na Konfederację, jak też na partię demokratycznej opozycji. Na takim poziomie brutalności, który sami ludzie PiS nazywają w kuluarach polityki eksterminacji. Kaczyński uważa, że początek 2024 r. przyniesie zupełnie nową sytuację, bo miliony rodzin dostaną swoje pierwsze 800 plus, a tak czy inaczej skonstruowana komisja do badania wpływów rosyjskich pozwoli prezentować Polakom spreparowane dokumenty, kompromitujące zarówno Tuska i jego otoczenie, jak też konfederatów.

Jako ostatni zawór bezpieczeństwa pozostaje stan wyjątkowy. W czasie wyborów w Polsce, a także w gorącym powyborczym okresie, Putin nie zostawi w spokoju wschodniej granicy naszego kraju. Będzie bardzo świadomie dozwalał prowokacje, zainteresowany poziomem destabilizacji polskiej polityki, jaki dzięki nim zdoła wywołać. W zależności od sondaży i politycznej sytuacji w nowym Sejmie Kaczyński może wykorzystać te prowokacje jako alibi do wprowadzenia stanu wyjątkowego, co pozwoli mu wybrać najbardziej dla siebie wygodny polityczny scenariusz, w tym także termin wyborów.

W międzyczasie Kaczyński sam stanie się Konfederacją. On i Morawiecki będą się z Mentzenem, Bosakiem, a nawet Braunem licytować na twardość prawnicowego języka. Szczególnie w takich obszarach, jak stosunek do Unii czy kolejne symboliczne akcje antyimigracyjne. Już wcześniej Kaczyński przejął język niszczonych przez siebie Samoobrony i LPR. Później w identyczny sposób licytował się na prawicowość z Ziobrą. Ofiarą tej licytacji padły polskie kobiety, bo jednym z najważniejszych atutów Kaczyńskiego stało się zaostrenie prawa antyaborcyjnego.

Na dziś wszystkie deklaracje ludzi Konfederacji – lub ludzi świeżo do Konfederacji

dołączających – na temat symetryzmu wobec PiS i PO czy wręcz obrotowości, jeśli chodzi o możliwe powyborcze sojusze, mają za zadanie jedynie podbudowanie pozycji Konfederacji. Wzmocnienie jej zarówno w kampanii (skoro Konfederacja próbuje pozyskiwać wyborców z obszaru młodych symetrystów, antysystemowców oraz ludzi rozczarowanych PiS lub PO), jak też w powyborczych negocjacjach z Kaczyńskim.

Taką funkcję miała np. niedawna deklaracja Przemysława Wiplera, który nie wykluczył stworzenia po wyborach koalicji z PO. Wipler był w przeszłości i w PiS, i w „antysystemowej” prawicy spod znaku Janusza Korwin-Mikkego. Po 2015 r. zbudował sobie mocną lobbystyczną pozycję na zapleczu Zjednoczonej Prawicy, a kiedy Kaczyński zaczął go od pieniędzy i nieformalnych wpływów odcinać, on na krótko „wyjął” mu z klubu kilkoro posłów. Po wyborach Przemysław Wipler chce przy użyciu Konfederacji stoczyć z Kaczyńskim wojnę o własną polityczną i biznesową suwerenność. Oczywiście jego planem A pozostaje koalicja z PiS, ale taka, która pozwoli jemu samemu i Konfederacji zachować wobec Kaczyńskiego pełną niezależność. Jednak w przypadku, gdyby Kaczyński zaczął jego i Konfederację niszczyć, Wipler faktycznie zdolny jest do absolutnej obrotowości.

Demokratyczna opozycja powinna uważać ze zbyt jednoznacznym uwiarygodnianiem tej gry. Tym bardziej że towarzyszą jej (i będą towarzyszyć) inspirowane przez PiS sugestie symetrystów, a także powtarzane przez ludzi z antyliberalnego skrzydła Lewicy insynuacje o „obrotowości Tuska wobec konfederatów”, „cynizmie Tuska wobec konfederatów”. Mają one zaszkodzić Platformie Obywatelskiej w ważnym dla niej inteligenckim i centrolewicowym elektoracie.

Konfederacja może jednak pomóc odsunąć od władzy Kaczyńskiego w wyniku błędów samego prezesa PiS, będących do pewnego stopnia powtórzeniem i zradyzalizowaniem jego błędów z lat 2006–07. Scenariusz opozycji jest bowiem całkowicie zależny od przebiegu konfliktu pomiędzy Kaczyńskim i Konfederacją. Dopiero Konfederacja, której uda się przeżyć operację kupowania, zastraszenia i rozbijania jej klubu, a jednocześnie przyciśnięta do ściany i zagrożona frontalnymi atakami ludzi Kaczyńskiego, może być partnerem jakichkolwiek gier prowadzących do odsunięcia PiS od władzy.

Kiedy Kaczyński dojdzie do wniosku, że Konfederacja nie da się rozbić ze skutkiem dającym mu większość, PiS zacznie przygotowania do przedterminowych wyborów, nawet o tym nie informując. Kluczowym elementem tych przygotowań stanie się operacja niszczenia Konfederacji poprzez jej kompromitację (pojawią się nagrania, sterowane przecieki) i „kryminalizację” (zwłaszcza rodziny Mentzena). Podobny poziom agresji skierowany w ciągu tej nieprzerwanej kampanii wyborczej przeciwko PO i innym ugrupowaniom demokratycznej opozycji zbliży wszystkie niepisowskie kluby i pokaże wyborcom, że odsunięcie Kaczyńskiego od władzy jest ustrojową koniecznością.

W najbardziej radykalnej wersji tego scenariusza wszystkie ugrupowania poza PiS zgadzają się na utworzenie rządu technicznego, bez udziału polityków, złożonego z ekspertów wszystkich środowisk, od prawa do lewa. Celem takiego rządu, który istniałby około roku, do przedterminowych wyborów, byłaby efektywna „depisyzacja” państwa. Odebranie ludziom Kaczyńskiego państwowych mediów, spółek Skarbu Państwa, służb, czyli narzędzi, które dziś dają mu miążdzącą przewagę nad każdym innym ugrupowaniem.

Możliwym początkiem drogi prowadzącej do wspólnego odsunięcia Kaczyńskiego od władzy jest sytuacja, w której już na pierwszym posiedzeniu Sejmu udaje się wybrać marszałka spoza PiS, np. z PSL, bo tylko takiego kandydata mogliby zaakceptować konfederaci.

Przy całym wizerunkowym i politycznym ryzyku związanym z tym scenariuszem demokratyczna opozycja może wówczas pokazać swoim wyborcom realny polityczny sukces, jakim będzie odsunięcie Kaczyńskiego od władzy, w tym od służb i TVP. Natomiast Konfederacja może mieć uzasadnioną nadzieję, że do kolejnych wyborów to ona stanie się reprezentantem osieroconego przez Kaczyńskiego prawicowego elektoratu. PiS może konsekwentnej „depisyzacji” państwa jako zwarta formacja nie przeżyć. Ludzie, których Kaczyński trzyma przy sobie dzięki pieniądзом, stanowiskom i gwarancjom absolutnej bezkarności, opuszczą go, kiedy bliskość Kaczyńskiego stanie się dla nich źródłem zagrożenia.

Zastąpienie PiS przez Konfederację jest ogromnym politycznym ryzykiem. Jednak Mentzen, Bosak czy Wipler nie będą przed kolejnymi wyborami dysponować całym polskim państwem, tak jak dziś dysponuje nim partia Kaczyńskiego.

CEZARY MICHALSKI

Wierne niepokorne

O polskim Kościele mawia się czasem: żeńsko-katolicki. Ale ten trend wygasa. Kobiety odwracają się od Kościoła.

JOANNA PODGÓRSKA



ILUSTRACJA MARTA FREJ

W Polsce to kobiety są bardziej zaangażowane w sprawy wiary i praktyk religijnych – takie wnioski od lat płyną z badań. To one „robią frekwencję” w kościelnych ławkach. „Wystarczy rozejrzeć się po kościele w czasie

niedzielnej mszy św. albo np. nabożeństwa różańcowego. Przeważają kobiety. W grupach parafialnych i modlitewnych, ruchach i stowarzyszeniach katolickich – także głównie kobiety. Wśród katechetów – także większość kobiet. Podobnie jest w gronie świeckich studentów teologii” – pisze Wiesława Dąbrowska-Macura na portalu wiara.pl. Hierarchia to dostrzeża. Abp. Stanisław Gądecki już w 2008 r. apelował: „Czas na Kościół mężczyzn. (...) Potrzebujemy mężczyzn śmiałych, szukających wielkości, musimy zrobić to, co Chrystus: obiecać im cierpienie, ciężkie próby i trud”. Remedium miały być ruchy religijno-paramilitarne, ale to wciąż kościelny margines.

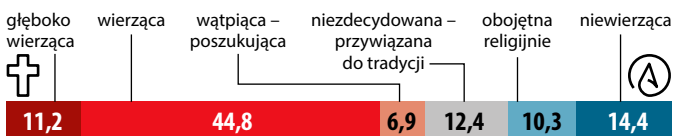
Jak mówił POLITYCE ks. prof. Andrzej Draguła, w Polsce i krajach śródziemnomorskich katolicyzm jest bardzo kobiecy. A być może chrześcijaństwo w ogóle jest religią, która kulturowo bardziej odpowiada kobietom niż mężczyznom. Judaizm i islam są w pewnym sensie męskie. Te religie zobowiązują do modlitwy mężczyzn, a kobiecie pozostawiają religijność domową: ważną, ale inną. W katolicyzmie religijność rytualna jest realizowana w większości przez kobiety.

Bunt i złość

Bez wątplenia sprzyja temu silny kult maryjny. Stereotypowo kobieca jest kościelna estetyka, pełna złocień, kwiatków i koronek. Stereotypowo kobiecie – zajęcia, których Kościół oczekuje od świeckich: opieka nad biednymi, chorymi i troska o codzienne funkcjonowanie parafii: sprzątanie, dbałość o wygląd kościelnych wnętrz. Jednak

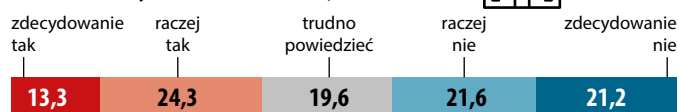
Deklaracja wiary

Jaki Pani deklaruje stosunek do wiary religijnej? (w proc.)



Więź z Kościołem

Czy deklaruje Pani więź z Kościołem rzymskokatolickim? (w proc.)



ŹRÓDŁO: PRZEGLĄD RELIGIOZNAWCZY

kościelni przywódcy nie dostrzegają, że te stereotypy tracą właśnie datę ważności. We wszystkich dziedzinach życia kobiety zyskują równe prawa, a Kościół pozostaje najbardziej sfeminizowaną instytucją, zarządzaną wyłącznie przez mężczyzn. W Polsce widać to w sposób szczególny. Ile lat można deliberować o dopuszczeniu ministrantek do ołtarza? Ile lat upominać się o to, by do hierarchów dotarł głos kobiet i został potraktowany poważnie? Dlatego wiele z nich, zamiast walczyć z wiatrakami, odwraca się od Kościoła.

Najszybciej laicyzują się te najmłodsze. Bez wątplenia momentem przełomowym były uliczne protesty Strajku Kobiet przeciwko zaostrzeniu prawa aborcyjnego. Nie tylko one wyszły wtedy na ulice, ale dla młodych było to doświadczenie pokoleniowe. Z danych CBOS wynika, że w jakiejś formie protestów brała udział prawie połowa z nich. Kościelne dywagacje o „kobiecy geniuszu” czy „cnotach niewieścich” brzmią dla nich jak abstrakcyjny bełkot. Odbieranie prawa do decydowania o własnym ciele i życiu budzą bunt i złość.

I ta złość nie ominie także katoliczek. W rozmowie z ks. Kazimierzem Sową (książka „Niewierni wierni”) Zuzanna Radzik, teolożka związana z „Tygodnikiem Powszechnym”, wspomina, że w 2016 r. poczucie zagrożenia, że biskupi i prawicowe władze doprowadzą do zaostrzenia prawa, było już realne, ale wiele katoliczek miało dylemat, czy wychodzić na ulice razem z radykalnymi feministkami.

„My – kobiety, także katoliczki – zdałyśmy sobie sprawę, że jesteśmy w jakimś klinczu, gdzie ze strony katolickiej jest tylko jedno oficjalne stanowisko wobec zmiany prawa, bardzo mocno artykułowane przez biskupów i niektóre środowiska świeckie. Nikt nie bierze pod uwagę, że można mieć inne zdanie. Chciałyśmy wyrazić swój dystans, ale bałyśmy się oskarżenia, że skoro tak, to nie jesteśmy już katoliczkami”.

Wówczas – jak opowiada Radzik – decyzję o pójściu na Czarny Protest każda

z nich podejmowała indywidualnie. W 2020 r., po szoku związanym z decyzją Trybunału Przemyskiego, takich dylematów już nie było. „Sam protest z 2020 r. oparty był na buncie, że musi się skończyć czas, kiedy nikt nas nie słucha, nas – kobiet. I to był dominujący motyw w naszej obecności na protestach” – opowiada.

Dystans młodych

Problem kobiet z Kościołem sięga jednak głębiej niż Czarne Protesty. I to pęknięcie dostrzegają nawet ortodoksyjne katoliczki, które nie kwestionują stanowiska Kościoła w kwestii zaostrzenia prawa aborcyjnego. Na stronie „Gościa Niedzielnego” Alina Petrowa-Wasilewicz, po rytualnych zapewnieniach o wdzięczności za to, że „starsi w Kościele” umacniają kobiety w ich powołaniu i przypominają o najważniejszych wartościach, pisze: „Jednak broniąc słusznej sprawy, bardzo wielu z nich nie uwzględnia dzisiejszych realiów – że kobiety są coraz lepiej wykształcone, tak dobrze, że obecnie w Polsce wśród osób z wyższym wykształceniem więcej jest kobiet niż mężczyzn. I że kobiety pracują zawodowo. Odkryły jakieś swoje talenty, korzystają z nowych możliwości. Nigdy nie słyszałam kazania o tym, jak łączyć obie te role – żony, matki i pracownicy. Ta kategoria kobiet jakby nie istniała w świadomości księży”.

Kłopot Polek z Kościołem widać także w statystykach. Ks. dr Remigiusz Szauer na łamach „Przeгляdu Religioznawczego” opublikował artykuł „Kobiety (nie)pokorne. O nowych wymiarach postaw kobiet wobec religii i Kościoła w Polsce na przykładzie badań na Pomorzu”. Ks. dr Szauer przeprowadził te badania w latach 2019–21. Wniosek jest jednoznaczny – im młodsze uczestniczki badania, tym większy dystans do wiary i praktyk religijnych. W przypadku niewiary badanych w wieku 18–40 lat istotną rolę odgrywały motywy antyklerykalne czy antykościelne.

Jako głęboko wierzące deklaruje się ponad 22 proc. kobiet w wieku 61–70 lat, ale wśród młodszych to jedynie 5,6 proc.

(grupa wiekowa 18–25 lat), czy nawet 4,8 proc. (grupa 26–40 lat). Obojętnych religijnie w grupie najstarszej jest niewiele ponad 0,5 proc., w młodszych – blisko 18 proc. Jako niewierzące określa się 1,4 proc. najstarszych Polek, a w grupie najmłodszej to już 26,5 proc. Podobnie ma się kwestia praktyk religijnych – uczestnictwo w nich jest najniższe wśród najmłodszych respondentek. Ks. dr Szauer tłumaczy to większą wrażliwością na kwestie instytucjonalnego przymusu i wzrostem postaw kontestacyjnych.

Młode kobiety są także mocno zdystansowane do maryjności. Pokazują to odpowiedzi na pytania o maryjne dogmaty. W dziewicze poczęcie Jezusa wierzy ponad 70 proc. najstarszych respondentek, podczas gdy w młodszych grupach wierzy w to niewiele ponad 20 proc. „Może to wskazywać na brak inspiracji wzorcami maryjnymi przekazywanymi przez Kościół. Jak podkreślają respondentki, maryjność prezentowana przez Kościół nawiązuje do stereotypowych wzorców roli kobiety, uwydatniając jej rolę służebną, milcząca – to przede wszystkim piastunka domowego ogniska i gospodyni. W tym kontekście zawodowe aspiracje kobiety oraz jej zaradność społeczna pozostają drugorzędne, a zamiast tego – według respondentek – pojawiają się takie cechy pełnionej roli, jak: poświęcenie, oddanie mężowi i dzieciom czy porzucenie ambicji na rzecz wierności domowym obowiązkom i cierpiętnictwa.

Na podstawie omówionych wyników można wyciągnąć wniosek, że przekazywany przez Kościół wzorzec kulturowy, oparty na tak interpretowanej maryjności, staje się w świadomości respondentek zaprzeczeniem obrazu kobiety przedsiębiorczej i samodzielnej, promując obraz kobiety podporządkowanej i zależnej od mężczyzny, co tym samym rodzi dystans u badanych” – pisze ks. dr Szauer.

Jego badania pokazują także korelację stosunku do Kościoła i wieku badanych. Na pytanie o deklarowaną ►

► więz z Kościołem odpowiedź „zdecydowanie tak” wybrało 28,5 proc. kobiet z najstarszej grupy i jedynie 7 proc. z najmłodszej. „Zdecydowanie nie” – to w grupie najstarszej niecałe 7 proc. odpowiedzi, a w najmłodszej – ponad 31 proc. Te wyniki powinny zapalić czerwoną lampkę w świadomości hierarchów kościelnych także dlatego, że religijność w Polsce dziedziczona jest po matce. To kobiety odpowiadają za międzypokoleniowy transfer wiary. A to oznacza, że proces sekularyzacji będzie gwałtownie przyspieszał.

Pustoszeją zakony

Kilka miesięcy temu „Głos Pomorza” doniósł o likwidacji – po 77 latach – domu zakonnego niepokalanek w Szczecinku. Nie było innego wyjścia – zostały w nim tylko cztery siostry. I nie jest to sytuacja odosobniona. Wiele mówi się i pisze o kryzysie powołań do seminariów duchownych i zakonów męskich, ale w wielu zakonach żeńskich sytuacja jest jeszcze gorsza. To kolejny objaw pęknięcia w związku Polek z Kościołem.

Jeszcze w 2000 r. na 428 zmarłych sióstr przypadało 541 kobiet rozpoczynających nowicjat. Już od 2007 r. liczba zmarłych znacznie przekracza jednak liczbę nowiczuszek. Spadek jest gwałtowny – w 2010 r. było ich 207, a w 2018 już tylko 110. Niektóre zgromadzenia od lat nie mają powołań wcale, a najmłodsze pokolenie stanowią w nich 40-latk. Na obraz kryzysu nakładają się jeszcze odejścia sióstr z zakonów, o których głośno się nie mówi. Jak wynika z danych publikowanych na stronie zakony-zenskie.pl, rocznie klasztory opuszcza od 40 do 80 sióstr po ślubach wieczystych. „Dlaczego odchodzą?” – zastanawia się Tomasz Terlikowski w książce „Wygasanie. Zmierzch mojego Kościoła”. I wylicza przyczyny: brak zrozumienia dla ich aspiracji, przemoc psychiczna pod pozorami religijnego posłuszeństwa i fakt, że w świecie równości coraz trudniej być w służbie i składać ze swego życia ofiarę.

Papież Franciszek powiedział: „Kościół jest kobiecy, jest kobietą”. Jednak jeśli chodzi o pozycję kobiet w światowym Kościele, zmienia się niewiele i bardzo powoli. W Kościele polskim nie zmienia się właściwie nic. I jeśli hierarchowie nie przemyślą tej kwestii, rozwód Polek z Kościołem może się stać faktem. Pytanie, czy na te przemyślenia nie jest już za późno.

JOANNA PODGÓRSKA



JOANNA PODGÓRSKA: – **Mówi się, że dla zakonników najtrudniejsze są śluby czystości, a dla zakonnice – posłuszeństwa. Czy dlatego, że ono już się nie wpisuje w mentalność współczesnej kobiety?**

JUSTYNA DŻBIK-KLUGE: – Chciałabym tak myśleć, ale mogę tylko przypuszczać. To, że najtrudniejsze są śluby posłuszeństwa, słyszałam kilkakrotnie od samych sióstr. Kluczowe jest, jak rozumiemy posłuszeństwo. Czy tak, jak Izabela Mościcka, czyli była już siostra Nazaria, która zbuntowała się i po prawie 20 latach odeszła z zakonu? Czy jak siostry, które deklarują posłuszeństwo Bogu, w zakonie są z wyboru i akceptują jego reguły? Mam wrażenie, że w ostatnich latach sporo się zmieniło. Zakonnice rozumieją wagę swojej obecności w Kościele i coraz śmielej są obecne na sferze publicznej.

Zasada jest taka, że przez matkę przełożoną przemawia wola boska. Tylko co wtedy, gdy matka przełożona ma spaczoną psychikę?

W mojej książce mówi na ten temat m.in. psycholożka Justyna Dąbrowska, opisując funkcjonowanie grup zamkniętych i hermetycznych wspólnot. A zakon jest taką strukturą. Możemy na niego spojrzeć jak na korporację, a na jego przełożoną – jak na szefową. Jeśli ona ma ze sobą problem, np. jest zakompleksiona albo sfrustrowana, to problem ma cała firma. Zadaniem matki przełożonej jest rozemnać się, która siostra ma jakie talenty – i według tego rozdzielać zadania. Jeśli matka przełożona ma nadmierną potrzebę władzy czy kontroli, zaczyna się problem. A zła atmosfera może sprzyjać różnym formom przemocy. Oczywiście nie można generalizować i twierdzić, że tak się dzieje we wszystkich zakonach. To też się zmieniło, bo zakonnice są dziś otwarte na psychologię. Mają swoje telefony zaufania. Coraz częściej w zakonach są także siostry psycholożki.

Mimo to siostra Nazaria porównuje zakon do przemocowej rodziny. Nawet jeśli przemoc fizyczna zdarza się

Siostry odchodzą

Rozmowa z Justyną Dżbik-Kluge, autorką książki „Śluby (nie)posłuszeństwa”.

rzadko, to psychiczna i ekonomiczna jest na porządku dziennym. Jedna z pani rozmówczyń opisuje, że matkę przełożoną trzeba prosić o pieniądze np. na zimowe buty i nie dyskutować, jeśli dostanie się na to 150 zł.

W pierwszym odruchu – zgoda, siostry nie mają swoich pieniędzy i o wszystko muszą prosić. Ale inne moje rozmówczynie tłumaczyły, że idąc do zakonu, akceptują te reguły. Składają przecież także śluby ubóstwa. Godzą się na to, że zarobione pieniądze oddają do wspólnej kasy. Wyrzeczenie to element drogi, którą wybrały. W zakonie powinny mieć zapewniony wikt, opierunek i zabezpieczenie podstawowych potrzeb. Nie muszą się o to martwić. To znów zadanie matki przełożonej, która tą wspólną kasą dysponuje.

A jeśli siostra chce iść na studia, a od przełożonej słyszy: nie, bo nie? To też forma przemocy.

To już nie te czasy. Na pewno znajdziemy zakon, w którym nie wszystkie siostry są wykształcone, ale generalnie większość ma otwartą drogę na studia wyższe, bo jest to im potrzebne do pracy; choćby w instytucjach, które prowadzą: żłobkach, przedszkolach, szkołach, domach opieki.

Jedna z pani rozmówczyń mówi: „wolność to przyznanie racji przełożonej”. Tej definicji młode kobiety raczej nie zaakceptują.

Być może dlatego w zakonach jest ich tak mało. Ja w rozmowach z siostrami nie ukrywałam, że jestem osobą niewierzącą i mam swoją definicję wolności. Ale starałam się je zrozumieć i uwierzyć, gdy mówiły, że w ramach wolności zawierają się przede wszystkim Bogu, a w drugiej kolejności przełożonej. Poznałam w zakonie dziewczynę po trzydziestce, które miały partnerów, pracę, kredyty – powiedzielibyśmy normalne życie – i zdecydowały się założyć habit. W rozmowach z nimi próbowałam znaleźć jakieś zadry, pęknięcia, coś, czego im brakuje z dawnego życia. Tłumaczyły mi, że to wcześniej cały czas im czegoś brakowało i dopiero teraz to znalazły. A właściwie same stworzyły.



Kielce

REKLAMA

Mam na myśli zakonnice w nowo powstałej Wspólnocie Karmel Ducha Świętego. Założyły ją pięć siostr, które odeszły z zakonu karmelitanek.

Tylko że to wyjątkowa forma życia zakonnego. Bardzo współczesna – wspólnota jako przeciwwaga dla świata konsumpcji, samotności i duchowej pustki. Może tak będzie wyglądała przyszłość zakonów żeńskich?

Czas pokaże. One jeszcze nie mają formalnej struktury. Złożyły dokumenty do kurii, a biskup wysłał ich prośbę o zatwierdzenie zgromadzenia do Watykanu. Czekają. Ile to potrwa? Nikt nie wie.

Siostry, z którymi pani rozmawiała, musiały uzyskać na to zgodę przełożonej?

Oczywiście, bez takiej zgody nie mogą wypowiadać się publicznie. Jedna z zakonnic, która nie chciała się w książce ujawnić, powiedziała mi: „Wiesz, że nie rozmawiasz z tymi siostrami, z którymi chcesz, ale z tymi, które ci wystawiają”. Ale siostry z Karmelu Ducha Świętego tłumaczyły z kolei, że zakon to jedność i powinien mówić jednym głosem. Zakonnica nie jest po to, by się lansować czy odgrywać rolę jakiejś osobowości. Ich rytmu dnia nie powinny wyznaczać media społecznościowe, ale modlitwa. Może matka przełożona jest też po to, żeby siostrami – mówiąc kolokwialnie – nie odbiła sodówka.

Dużo było tych odmów rozmowy?

Dużo. Ponad 20 na pewno. Szłam tropem tych bardziej otwartych siostr, które można odnaleźć także w mediach społecznościowych, ale nawet spośród nich wiele mi odmówiło. Z tymi, które się zgodziły, trzeba było przełamywać pierwsze lody, ale jak to się już udało, przyjmowały mnie całym sercem. Podczas wizyty w klauzurowym klasztorze benedyktynek w Żarnowcu, której trochę się obawiałam, czułam się, jakbym przyjechała do babci na ciasto i herbatę. W naszym myśleniu o zakonach funkcjonuje mnóstwo stereotypów. Mój znajomy, człowiek bardzo wierzący, powiedział, że zakonnice są dla niego łącznikiem z Bogiem, pokazują, że dialog z nim jest możliwy.

Kryzys powołań może świadczyć o tym, że ten dialog cichnie.

Benedyktynka, 80-letnia siostra Małgorzata Borkowska, która zna historię zakonów od czasów średniowiecznych, mówi tak: Pan Bóg, jak będzie chciał, to sobie powoła, jednych zakonów nie będzie, to będą inne, a kryzysy były zawsze. Nie umiem powiedzieć, co w zakonach powinno się zmienić, żeby się odnalazły w nowych czasach. Dla siostr ważna jest świadomość, że ich głos jest wiernym potrzebny. Wielu woli rozmawiać z zakonnicą niż księdzem. Może głos kobiet, ich wrażliwość, stanie się remedium na kryzys w Kościele.

Ale siostra Dolores, przewodnicząca Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych, mówi w pani książce: „To nie jest czas kobiet, znamy swoje miejsce w Kościele”.

Bo to prawda, siostra Dolores jest bardzo pragmatyczna i ma w sobie pokorę. Nie spodziewałam się usłyszeć, że nadchodzi czas kapłanek. Siostry grają takimi kartami, jakie dostały. Zmiany są powolne, ale są. Siostry z Karmelu Ducha Świętego opowiadały, że jak stworzyły swoją wspólnotę, ludzie pytali je: Jaki ksiądz was założył? Żaden. Same ją założyły. W patriarchalnym myśleniu nie mieści się, że kobiety mogą czymś zarządzać, coś prowadzić, zwłaszcza w Kościele.

Kiedyś, w latach 80., w czasie boomu powołań, młode kobiety szły do klasztoru, bo to np. otwierało im możliwość wyjazdu na misje. Dla dziewczyn z ubogich rodzin mogła to być szansa na edukację czy lepsze życie. Myślę, że dziś idą tam osoby naprawdę wierzące, dla których kontakt z Bogiem jest kwestią kluczową. W pewnym sensie robią to wbrew czasom. Zakony owiane są pewną tajemnicą, a dziś chcemy, żeby wszystko było transparentne. To, co ukryte, budzi podejrzenia. Chcemy też, żeby wszystko działało się szybko i łatwo, a wstąpienie do zakonu to kwestia skomplikowana. Przejście przez etapy poprzedzające ślubu wieczyste trwa kilka lat. A poza tym Kościół ma nadal bardzo wyrazistą twarz mężczyzn, zakonnice podlegają biskupom, papieżowi. Oni mają decydujący głos. Pytanie, czy mężczyznom opłaca się dopuszczanie kobiet do większej władzy?

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

© WOJCIECH OLKUSIŃSKI/EAST NEWS



Justyna Dźbik-Kluge – dziennikarka radiowo-telewizyjna. Zajmuje się tematyką społeczną i kulturalną. W TVP prowadziła m.in. magazyn „Qadrans Qltury”, potem wiele lat pracowała w radiowej Jedynce i Czwórcie oraz w Radiu Euro i Radiu ZET. Autorka kilku książek, w tym „Polacy last minute. Opowieści pilotów wycieczek”, wspomnień z powstania warszawskiego „Jacy byli? Jacy jesteście?” oraz najnowszej, przedstawiającej losy zakonnice „Śluby (nie)posłuszeństwa”.

POLITYKA nr 35 (3428), 23.08–29.08.2023



OSOBNA

JADWIGA TRZCIŃSKA
SZTUKA I ŻYCIE

JADWIGA PRANDOTA TRZCIŃSKA (1933 – 2005).

Niezwykła malarka, wyjątkowa osobowość. Nieznana twórczość jednej z najoryginalniejszych postaci polskiego środowiska artystycznego lat 60-tych XX w.

27 X 2023 – 17 III 2024

WYSTAWA
W



Muzeum
Historii Kielc

Szczegóły na stronie
www.mhki.kielce.eu



Po jakiego grzyba

Jarosław Kaczyński postraszył, że jeśli najbliższe wybory wygra opozycja, zechce sprywatyzować lasy. A wtedy koniec z wyprawami po kurki, prawdziwki i maślaki. Naprawdę?

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Zbiernie grzybów to mocno zakorzeniona tradycja. Potrawy z nich można znaleźć w najstarszych książkach kucharskich: sos z borowików, rydze smażone na maśle, marynowane opieńki.

Przez wieki nic się w tej materii nie zmieniło, za PRL piwnice polskich domów były pełne nie tylko soków i powideł, ale właśnie przetworów z grzybów. Czy ktoś wyobrażał sobie wigilijny barszcz bez dodatku suszonego kozaka lub podgrzybka? Jakie zakrapiane urodziny mogły się obejść bez marynowanych grzybów? Także dzisiaj tysiące Polaków wraz z nastaniem sezonu wyruszają do lasów.

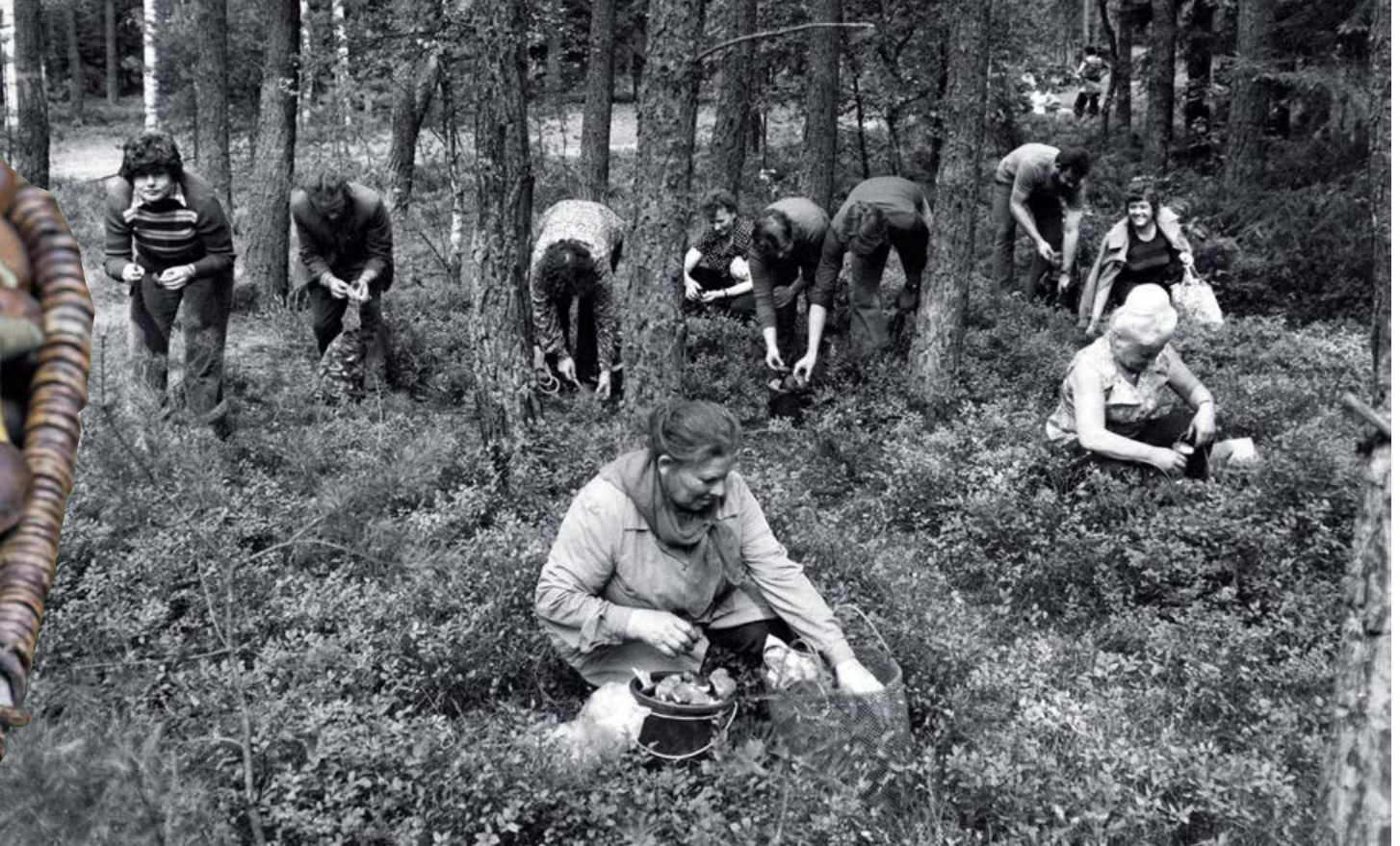
Tam, mimo pewnych zakazów wynikających z przepisów ochrony przyrody lub przeciwpożarowych, ludzie czują się swobodnie. Lasy są państwowe, dostępne dla ogółu. Jeśli ktoś nie wynosi drewna (nawet tego pozornie niepotrzebnego, pozostawiającego po ścinie i wywózce), nie śmieci, nie płoszy dzikiej zwierzyny i nie zrywa chronionych gatunków roślin, może spacerować i zbierać dary natury. Za darmo, dla siebie albo na sprzedaż. Wzdłuż polskich dróg jak kraj długi i szeroki od lata do późnej jesieni przesiadują dzieci, kobiety i mężczyźni, którzy oferują świeżo zebrane grzyby i jagody. Czyżby to miało się zmienić?

Było tak: 7 sierpnia w wywiadzie dla tygodnika „Sieci” wicepremier Jarosław Kaczyński stwierdził, że „Tusk, jeśli wróci do władzy, wyprzeda wszystko. Tego zażądają od niego ci, którzy go tutaj wysłali. (...) Platforma kombinowała wokół różnych ustaw w tej sprawie. A teraz polskie lasy chce przejąć Bruksela. Tusk został tu wysłany, by im to ułatwić”. Było to uzupełnienie tematu, o którym prezes opowiadał dzień wcześniej na pikniku rodzinnym PiS w Chełmie. Podkreślał znaczenie grzybobrania w Polsce i zamiłowanie tysięcy rodaków do tego rodzaju rozrywki. Mówił, że Polska jest oazą wolności w tej materii. W wielu innych

krajach zaś „lasy są w prywatnych rękach albo osób fizycznych (...), albo korporacji i wstęp wzbroniony. Bardzo rzadko można spotkać las, do którego się spokojnie wchodzi”.

Ale nie tylko szef partii rządzącej postraszył grzybiarzy. Minister klimatu Anna Moskwa, zwracając się do przywódcy PO, napisała na Twitterze: „PiS zawsze stoi na straży polskich lasów. Dlatego obronimy lasy przed waszymi dziwnymi zakusami i pomysłami”. A europoseł Patryk Jaki wypomniał: „Partia Tuska niedawno zagłosowała w PE za zmianą traktatów i zabraniam Polsce kompetencji ws. lasów”.





Grzybobrania były często organizowane przez zakłady pracy. Tu lasy zborowskie, wrzesień 1977 r.

Polityk Suwerennej Polski przywołuje unijną propozycję, żeby leśnictwo dopisać do tzw. kompetencji dzielonych. Zmiany miałyby dotyczyć art. 4 traktatu o UE. Przewidują one, że kompetencje dzielone między UE a państwa członkowskie stosuje się m.in. do rynku wewnętrznego, transportu i środowiska. Leśnictwa do tej pory w tym segmencie nie było. Gdyby na tej liście się znalazło, Polska i tak nie straci władzy nad lasami. Rola Unii jest w takich wypadkach wspierająca, nienarzucająca. Nie ma prawnej możliwości, by mogła przejąć polskie lasy i komukolwiek je sprzedać.

Ale w Europie rzeczywiście są różne lokalne ograniczenia dotyczące korzystania z lasów.

Polska nie jest jedynym krajem w Europie, gdzie grzybobrania rozpalają emocje. Podobnie jest w Czechach, gdzie panuje wolność zbierania, a mieszkańcy ostro protestują przeciw odcinaniu ich od grzybów. Ludzie gotują, smażą, marynują, suszą i mrozą, podobnie chętnie jak Polacy, dzieląc się w internecie opisaniami sukcesów.

Przywilej korzystania z darów lasu mają mieszkańcy Skandynawii, łagodne przepisy obowiązują też w Słowenii i Austrii, choć istnieje tam limit zbiorów: 2 kg grzybów dziennie na osobę.

W niektórych regionach Hiszpanii potrzebne jest płatne zezwolenie na zbior runa, ale życie pokazuje, że nierzadko robi się to „na dziko”.

Ale nie wszędzie jest tak łatwo. Francja okazuje się bardziej radykalna. W poszczególnych regionach wprowadzono limity zbioru grzybów (do 2 kg dziennie na osobę), a gdzieś nawet godziny, w których jest to dozwolone. Ponadto przepisy stanowią, że zerwane grzyby mogą być wkładane wyłącznie do wiklinowych koszy, nie zaś do foliowych toreb czy plastikowych wiader. Chodzi o to, by zarodniki mogły wypaść przez szczeliny koszy na ziemię i dalej się rozwijać.

Jeszcze bardziej restrykcyjne przepisy obowiązują we Włoszech, gdzie trzeba mieć wykupioną licencję (limit do 3 kg grzybów). Co więcej, władze niektórych regionów wymagają od zbieraczy odbycia kursu, zdania egzaminu ze znajomości gatunków grzybów – i dopiero wtedy można zdobyć licencję. Z kolei w Holandii i Belgii jest zakaz zbierania grzybów. Za jego złamanie grozi mandat do 4–5 tys. euro.

W Wielkiej Brytanii wciąż obowiązuje prawo z 1878 r. Według niego bez zgody policji nie można wynieść z lasu nawet jednego grzyba. Przepis precyzuje: „Kto narusza posycie leśne, ten narusza rozwój lasu”. Na wyspach większość lasów

jest w rękach prywatnych, ale też sami Brytyjczycy nie są zapalonymi grzybiarzami. Wiele zależy od właściciela lasu, do którego chcemy się wybrać na zbior, jednak trzeba mieć jego zgodę, a grzyby muszą być przeznaczone wyłącznie do własnego użytku.

W Niemczech, gdzie nie można zbierać więcej niż 2 kg dziennie, łamiący przepisy mogą zapłacić od 2,5 do nawet 10 tys. euro kary. Roman Basarab od kilkudziesięciu lat mieszka pod Monachium. Wcześniej w Polsce od dziecka wyprawiał się na grzyby, bo była to świetna zabawa. I już mu tak zostało. – *Dla mnie to przygoda, odpoczynek, obcowanie z naturą. Niemcy chodzą na grzyby, ale nie są to takie wyprawy jak w Polsce. Tam zbieractwo jest o wiele mniej popularne, podobnie jak samo jedzenie grzybów. Jeśli Niemiec chce sobie ugotować zupę grzybową, to chętniej pójdzie na targowisko i tam zaopatrzy się w ulubione gatunki. Kupi runo już oczyszczone, niemal przygotowane do smażenia. Może to rodzaj wygodnictwa, ale też braku tradycji grzybobrania, która w Polsce sięga wielu pokoleń wstecz* – opowiada.

Także w Ukrainie istnieją przepisy regulujące możliwość korzystania z lasów. Jeśli ktoś zbiera hurtowo, na sprzedaż firmom przetwórczym, musi najpierw wykupić zezwolenie. ►



Dzisiaj wzdłuż polskich dróg jak kraj długi i szeroki sprzedaje się świeżo zebrane grzyby.

► To samo dotyczy firm, które zajmują się eksportem grzybów i jagód. Praktyka pokazuje, że w pierwszym przypadku prawo w ogóle nie działa. – *Ludność wiejska zbiera na własne potrzeby, ale też sprzedaje większym odbiorcom, chociaż nie ma to licencji* – mówi dr Oksana Maryskewycz, emerytowana pracownica Instytutu Ekologii Karpat we Lwowie. – *Coroczne grzybowe i jagodowe żniwa są dla tutejszych rodzin sposobem na dorobienie do marnych pensji, a dla wielu możliwością jakiegokolwiek zarobku. To dlatego w miasteczkach i miastach zachodniej Ukrainy roi się od sprzedawców grzybów i jagód. Nawet jeśli część osób zbiera je w nadmiarze, nikt nie jest w stanie tego sprawdzić. Zwłaszcza teraz, w czasie wojny.*

W Polsce też nie brak ludzi, którzy zbierają grzyby na sprzedaż. W ten sposób dorabiają do emerytury albo do zasiłku dla bezrobotnych. – *Były takie lata, że w jednym sezonie sprzedawałem kilkaset kilogramów wszelakich grzybów* – przyznaje pan Kazimierz, kierowca ciężarówki. – *Cel był jeden – pomóc finansowo wnuczce, która zaczynała studia. Błądym świtem jechałem do lasu, po kilku godzinach stałem już z pełnymi koszami na targu, a po południu jechałem na drugą zmianę, do tego samego lasu, i znowu wracałem na pełno. Jest wiele prawdy w powiedzeniu, że jeszcze nigdy nikt nie wybierał wszystkich grzybów. Dużo zależy od umiejętności ich szukania oraz cierpliwości.*

Wielu grzybiarzy-przedsiębiorców nawyki wyrabiało w PRL. Istniało wówczas np. Przedsiębiorstwo Las, dla którego sezonowo pracowały setki, jeśli nie tysiące ludzi. Wraz z nastaniem lata te wyposażone w kosze, kobiałki i zbieraczki masy wyruszały na grzybobranie. W Bieszczadach i Beskidzie Niskim organizowano nawet specjalne bazy namiotowe, w których przez dwa lub więcej tygodni

pomieszkivali ludzie trudniący się zbieractwem. Jeśli byli pracowici, w jeden sezon potrafili zarobić odpowiednik rocznej średniej pensji. Mogli przez ten czas spokojnie żyć. Dwa lub trzy razy w tygodniu w pobliżu takich baz podjeżdżały żuki i stary skrzyniowe, do których ładowano skrzynki wypełnione najróżniejszymi grzybami i jagodami. Las darzył obficie przez długie lata, a niektórzy na zbieractwie dorobili się majątków. Byli też tacy, którzy wszystko, co zarobili, przepijali na hulankach w knajpach. Ci z największą fantazją – co opisywała z oburzeniem prasa – zamawiali taksówkę i kazali wieźć się 100 km dalej do najlepszego hotelu. Tam balowali przez tydzień, aż do ostatniego grosza.

Zbieranie runa to dziś rodzinna rozrywka międzypokoleniowa i atrakcyjna składowa urlopu. – *Obserwuję duże rozwarstwienie grup wiekowych grzybiarzy. Zdecydowanie przeważa układ dziadek/babcia plus wnuczek* – mówi Mateusz Świerczyński z Nadleśnictwa Cisna. – *Najmniej jest nastolatków i osób w wieku dwudziestu, dwudziestu kilku lat.*

Pan Edward z Sanoka, który grzyby zbiera od lat, nie przejął się słowami prezesa PiS o grożącej nam podobno prywatyzacji lasów, ale zastrzega: – *Gdyby w istocie tak się kiedyś stało, pójdę zbierać na dziko, bo nie wyobrażam sobie lata czy jesieni bez wypraw na grzyby, dla samej radości przebywania w lesie i zabawy z przyrodą.* I opowiada: – *Grzyb potrafi przechytrzyć zbieracza. Tak się nieraz ukryje, że człowiek chodzi w kółko jak głupi, a go nie dostrzeże. Ale jak już mu się to uda, ma wielką satysfakcję.*

Pan Stanisław, emerytowany piekarz z Ustrzyk Dolnych, mówi, że i on lubi grzybobranie, nawet jeśli w lesie akurat trudno o runo: – *To bardzo wciągą, jest swego rodzaju zabawą i relaksem. Mam problemy z nogami, podpieram się na co dzień laską, ale w lesie czuję się jakby silniejszy i weselszy.*

Wyjście na grzyby ma coś z ducha masowej, sportowej rywalizacji. Swego czasu gazety chętnie publikowały zdjęcia grzybiarzy ze znalezionymi przez nich gigantycznymi borowikami, o których inni mogli tylko pomarzyć. Dzisiaj ludzie chwają się takimi zbiorami w internecie. Wymieniają poglądy, zamieszczają fotografie i dokładne opisy. Istnieją popularne wśród Polaków witryny, na których na bieżąco aktualizowana jest grzybowa mapa poszczególnych województw – kiedy i gdzie będzie największy wysyp, ile sztuk zebrano w godzinę, jakich gatunków itd.

Bywa i tak, że w konkretnym lesie z roku na rok grzybów jest coraz mniej.

Na przykład w lasach wokół Arłamowa na Pogórzu Przemyskim. Grzybiarze tłumaczą sobie, że być może to skutek prowadzonej tam wycinki i zrywki drzew. Zbigniew Kopczak, szef Nadleśnictwa Bircza, kontruje: – *Zdarza się, że w niektórych obszarach dane gatunki są w odwrocie, ale w ich miejsce pojawiają się inne. Las jest dynamiczny, natura sama reguluje pewne procesy. Grzybów nigdy u nas nie brakowało i chyba nie zabraknie.*

Niektóre regiony znikają z grzybiarskich map, zamieniane w rezerваты. W takich miejscach nie można już zbierać runa. W Polsce od lat toczy się batalia o wydzielenie nowych terenów chronionych, gdzie oś sporu biegnie właśnie przez grzyby. Na Pogórzu Przemyskim wciąż protestują ekolodzy, którzy chcą doprowadzić do utworzenia na tym terenie Turnickiego Parku Narodowego, a jeśli nie, to przynajmniej niewielkiego rezerwatu chroniącego dorodne i najstarsze drzewa. Ścierają się z grzybiarzami, którzy z równym przekonaniem lobują w Nadleśnictwie Bircza, w którego obrębie planowany jest park lub rezerwat, żeby ze względu na dostęp do grzybów rezerwatu nie tworzyć.

Jakie znaczenie ma w Polsce zbieranie runa leśnego, pokazuje przykład z podkarpackich Ustrzyk Dolnych. W 2014 r. przy okazji jarmarku turystycznego zorganizowano dla miejscowych i gości wyjście na grzybobranie. A lokalny artysta wyrzeźbił piłą motorową drewnianą postać grzybiarza z koszem pełnym grzybów. Kilcumetrowy „pomnik” stanął na deptaku w rynku. Dziś, nieco poczerniały, w równym stopniu cieszy, co dziwi, zwłaszcza przyjezdnych. Złośliwcy przystają i pytają: Po jakiego grzyba on tutaj stoi? Można powiedzieć: pomnik grzybowej wolności, której nadal nic nie zagraża.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

„Psy zostawiamy na zewnątrz”
czy „pieski mile widziane”?
W przestrzeni publicznej można
spotkać się z bardzo odmiennymi
zasadami dotyczącymi obecności
czworonogów. Często jest to
kwestia nastawienia właścicieli
lokali, w innych przypadkach
warunki dyktują regulacje prawne.
Są jednak psy, których nie dotyczą
indywidualne preferencje ludzi,
a także ustalenia prawne odnoszące
się do ogółu czworonogów.



„PSY WPUSZCZAMY TYLKO W KAGAŃCU” Nie wszystkie – o szczególnej pozycji psów przewodników

Najlepszy przyjaciel człowieka w życiu niektórych ludzi pełni wyjątkowo ważną funkcję. Osoby niewidome i słabowidzące, dzięki specjalnie przeszkolonym czworonogom mogą z większą łatwością poruszać się w przestrzeni publicznej i bardziej aktywnie uczestniczyć w życiu społecznym. Nie można zapominać, że rola psów przewodników jest zgoła inna niż psów domowych – również tych należących do osób z niepełnosprawnościami.

Pies przewodnik to szczególny przypadek tzw. psów asystujących, czyli towarzyszących osobom z niepełnosprawnościami i wykonujących dla nich specjalne zadania. Przeciętny pies przewodnik przechodzi szkolenie, które trwa około 2 lat i może kosztować nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych. Czworonogi z odpowiednimi umiejętnościami i certyfikatem są ogromnym ułatwieniem dla osób niewidomych i słabowidzących. „Pojawienie się Portera [imię psa przewodnika – przyp. red.] przede wszystkim znacząco przyspieszyło moje chodzenie. Drugi aspekt to wygoda. Niewidomy, który chodzi z laską, musi być bardzo skupiony, nawet przy prostej drodze. Psu wydaję krótką komendę, żeby znalazł przejście i on to robi automatycznie, podprowadza mnie tam bez kłuczenia. Kiedy dostaje komendę, żeby znalazł przystanek, po prostu widzi przystanek i, jak widząca osoba, podprowadza do niego. W autobusie, jeżeli pies widzi wolne miejsce, to mi je znajduje, więc odpada mi szukanie miejsca przy pomocy laski, a najczęściej przy pomocy ludzi. Niezależność bardzo wzrasta” – mówi Jakub Stefańczyk, który na co dzień porusza się z psem przewodnikiem.

Ze względu na rolę psów przewodników, ich przeszkolenie i status prawny należy pamiętać, że tym czworonogom należy się szczególne traktowanie. Osobiste preferencje właścicieli lokali czy ich gości nie mają znaczenia – prawo zapewnia psom przewodnikom wstęp do punktów gastronomicznych, sklepów, ośrodków kulturalnych, w tym kin i teatrów, czy do urzędów, banków i szkół. Co istotne, poza obecnością wyszkolonych czworonogów prawo zapewnia często wyjątkowe warunki ich przebywania w danym miejscu – np. pies przewodnik, w przeciwieństwie do zwykłego, domowego czworonoga, nie musi mieć kagańca w komunikacji miejskiej. Warto pamiętać, że właściciel odpowiada za swojego pupila – również tego ze specjalnym certyfikatem. Pies przewodnik musi mieć wszystkie niezbędne szczepienia i odpowiednie oznaczenia. Ta informacja powinna nieco uspokoić osoby zestresowane obecnością czworonogów w miejscach, w których zwykle ich nie widzujemy – właściciele naprawdę wiedzą, jak obchodzić się ze swoimi pupilami, i ponoszą odpowiedzialność za ich zachowania.

Jak powinniśmy zachowywać się w obecności psów przewodników? Trudno o wyczerpujący spis nakazów i zakazów, ale mówiąc najprościej – nie należy utrudniać im pracy. Głaskanie, wołanie, karmienie czy pozwalanie swojemu czworonogowi na zabawę czy zaczepianie psa przewodnika na pewno nie są wskazane. Utrudnianie właścicielowi przewodnika korzystania z jego pomocy też trudno zaliczyć do dobrych praktyk – uniemożliwienie takim parom wstępu do restauracji czy sklepu jest nie tylko nieeleganckie, ale też niezgodne z prawem.

Tekst powstał przy współpracy z Polskim Związkiem Niewidomych – organizacją członkowską, zrzeszającą ponad 30 tys. osób z dysfunkcjami wzroku, pomagającą osobom niewidomym, słabowidzącym i tracącym wzrok. 280 oddziałów terenowych pozwala dotrzeć do osób z małych i średnich miejscowości. PZN prowadzi działalność informacyjną, doradczą, rehabilitacyjną, szkoleniową i kulturalną.

O ośrodkach rehabilitacyjnych, domach pomocy społecznej, środowiskowych domach samopomocy, warsztatach terapii zajęciowej oraz innych działaniach PZN dowiesz się ze strony: www.pzn.org.pl





Blisko, aż do krwi

Przybywa dzieci katowanych przez konkubentów. A przecież nie musiałyby.

MARTYNA BUNDA

Kmię kolejnego pobitego dziecka miga w mediach co kilkanaście dni. Zbliżenie szpitalnego łóżka, śladów po papierosach gaszonych na dziecięcej skórze, kroplówki wpiętej w żyłę albo gipsu na rączce. I powtarzalny refren: konkubent, rzadziej ojciec. Bo płakało. Bo tak jakoś wyszło.

Tylko od lutego przez portale internetowe przewinęły się zdjęcia 16 dzieci zakatowanych na śmierć albo niemal. Tczew. Dwumiesięczna dziewczynka,

którą uderzano o ściany. Zaraz po niej ośmioletni Kamil, oblewany wrzątkiem, sadzany siłą na gorącym piecu, tłuczony do nieprzytomności. Maltretowany od miesięcy przez ojczyma przy milczącym towarzystwie matki. Trafił do szpitala z licznymi, niegojącymi się złamaniami i nie wybudził się już ze śpiączki farmakologicznej.

Po Kamilu był chłopiec z Krakowa ze złamaną nasadą kości ramieniowej, bo ojczym postanowił w ten sposób wyłudzić odszkodowanie. Że to nie był pierwszy raz, wydało się przy okazji opatrywania złamania. Skalę codziennych tortur matka opisała na Messengerze przyjaciółce.

„Czy ty się dobrze czujesz?!” – odpowiedziała tamta i udostępniła opisy. Tak trafiły na policję.

Jeszcze pisano o chłopcu z Krakowa, a na zdjęciach w portalach migała już trzyletnia Hania z Kłodzka, której ojczym trafił na 17 lat do więzienia za zabójstwo dziecka. Opisy relacjonujące drastyczne szczygły śmierci Hani zwały się niemal w jedną opowieść z historią z Kwidzyna, gdzie siniaki na ciele pięcioletniej dziewczynki zauważyły nauczycielki z przedszkola. Ale do opinii publicznej przedostawał się już kolejny przypadek – z Bydgoszczy. Chłopca uratowała czujność babci i wnikliwość badających go lekarzy. Bo szybko się



ILUSTRACJA IZA KUCHARSKA

okazało, że prócz dziecka także jego matka jest od wielu miesięcy ofiarą znęcania.

Na portalach społecznościowych wyświetlało się wciąż zdjęcie chłopca z Kłodzka, gdy pojawiło się następne – szpitalnego łóżeczka w Centrum Zdrowia Dziecka w Łodzi, gdzie ratowano życie półtorarocznego, pobitego malucha z Tomaszowa Mazowieckiego. Ale na nagłówek już wskakiwał Szczecin. Dopiero zaczął się czerwiec.

Kolejne katowane niemowlę miało półtora roku. Obrażenia, według lekarzy, wskazywały na trwający od miesięcy proces znęcania. Prokuratura niebawem ustaliła, że najmłodsze dziecko nie było jedynym maltretowanym w rodzinie;

także dwaj starsi chłopcy byli nieustannie bici. Ale głośno już robiło się o Pyrzycach. Półtoraroczny Karolek trafił do szpitala w bardzo ciężkim stanie i musiał przejść trepanację czaszki.

Czerwiec to długa lista. Po Pyrzycach jeszcze przypadek z Wejherowa i jedenastolatek, szarpany, popychany, wyszydzały i bity. I Kwidzyn. Trochę młodsze dziecko, analogiczna historia. I Tczew.

Zaczął się lipiec, sierpień. Przez wiadomości na portalach przewinęła się jeszcze czwórka dzieci. A za każdą historią, która została opisana i ujawniona, są dziesiątki nieopowiedzianych. Bo sznurówki zostały zgubione. Bo komputer za długo był zajęty. Bo się nawinęło pod rękę.

Miłość toksyczna

Według policyjnych statystyk przypadków znęcania się nad dziećmi przybywa. W 2022 r. zabrano z domów w ramach pilnych interwencji kryzysowych niemal 600 dzieci. W poprzednich latach było ich o połowę mniej (a liczba kryzysowych interwencji po raz ostatni przekroczyła 500 przed dekadą – gdy dzieci było więcej, bo prokreacją zajmowały się roczniki wyżu demograficznego). Wzrasta też liczba zgłoszeń dokonywanych przez sąsiadów czy nauczycieli. Coraz częściej dotyczą rodzin ukraińskich, które powoli wrastają w tkankę społeczną.

Może działać „efekt Kamilka”. Po głośnej śmierci pobitego dziecka uważność na krzywdę dzieci na jakiś czas wzrasta. Ale na skalę przemocy – każdej, więc również tej wobec najmłodszych – przekłada się kondycja społeczna w ogóle, a wojny, kryzysy, załamania gospodarcze to zawsze wyzwalacz negatywnych procesów. Mamy i wojnę tuż obok, i kryzys. Dzieci są łatwym celem. Nierodzone – jeszcze łatwiejszym.

Gazety piszą: konkubent. Jakby to słowo znów nabierało pejoratywnego znaczenia; pośród przypadków z pierwszej połowy roku przewinął się jeden ojciec, pozostali to partnerzy matek. Ale wrzucanie przypadków zakatowanych dzieci do przegródki z napisem „patologia” zakłamuje obraz. Owszem, jeśli przekroczenie granicy fizycznej przemocy nie stanowi problemu, bo w domu, tym i kolejnym, nigdy takiej granicy nie było, łatwiej o drastyczne scenariusze, ale katowanie dzieci zdarza się nawet w rodzinach zastępczych, które trudno nazwać patologicznymi – między wykształconymi ludźmi, których przygotowanie do funkcji opiekuna znacznie przewyższa polską średnią. Dochodzi do tego w wykształconych, dobrych rodzinach. Rozwód, ponowne związki to dziś częsty element

społecznego pejzażu; wyraźnie ubywa małżeństw, skokowo przybywa związków nieformalnych. Na wsi, pomiędzy kolejnymi spisami powszechnymi i rokiem 2011 i 2021, wzrost wyniósł aż 250 proc.

Tłumaczymy sobie: żeby pobić dziecko, trzeba być psychopatą. Ale i to nie jest prawda. Kiedy katują psychopaci, najczęściej nie ma śladów. A historie o domowym piekle, z konkubentem w roli głównej, zwykle zaczynają się od love story i nadziei. I od wielkiej miłości do dzieci, przynajmniej w deklaracjach.

Anna Motz, badaczka zagadnień przemocy pomiędzy bliskimi, zauważyła patologiczny mechanizm, obecny zwykle w rodzinach, w których dzieci padają ofiarami przemocy. *Toxic couples* – toksyczne pary, czyli bijący mężczyzna, zamrożona w emocjach kobieta, oboje poszukujący za wszelką cenę relacji symbiotycznej, a potem smutny, powtarzalny, wręcz banalny skrypt, powielany aż do chwili, gdy po dziecku zostaje zapikselowane zdjęcie w mediach i stos maskotek na grobie.

Toksyczne pary zwykle są czułe na symbole i idee. Bywają moralnie zaangażowane – w ruchy antyszczepionkowe, patriotyczne czy inne. Dzieci są dla nich ostentacyjnie ważne. Dla matek z toksycznych par są wręcz rodzajem wypełniacza życia. Urodziły, żeby mieć kogoś do kochania – bezwzględnie i bezwarunkowo. Ale nie wystarczyło, więc szukają dalej. Matka Klaudii, niemal zatłuczonej na Śląsku, tuż przed tragedią zarzucała Facebook wyznaniem, że „kocham nad życie” partnera, a dzieci to były „jej skarby, jej wszystko”. Facebooki opiekunów Kamilka, bitego chłopca z Krakowa, zakatowanej Natalki, też były ciężkie od wyznań.

Spękana jedność

To nie są patologie od pokoleń. Jessica Benjamin w książce „Bounds of love” przekonuje, że historia toksycznych par często zaczyna się w patriarchalnych rodzinach, kręcących się wokół ojca, jego potrzeb i nastrojów, w których nie ma miejsca na, przejściowy przecież, okres bezwzględnego zaspokajania potrzeb niemowlęcia. Z tych rodzin wychodzą późniejsi „bijący konkubenci” i „bierne narzeczone”.

Za wielką potrzebą miłości, rozumianej jako sklejenie, brak granic pomiędzy partnerami, stoi niedojrzałość i narcyzm. Nie – narcyzm w tym potocznym, popkulturowym znaczeniu, ale oznaczający niepokonane w odpowiednim czasie progi psychorozwoju. – *Jedną z cech narcyzmu jest nieumiejętność rozpoznania odrębności. Zaakceptowania, że pomiędzy ja a inni istnieją granice* – tłumaczy ►

► Dorota Modrzyńska, wieloletnia terapeutka sprawców przemocy i pracownica domów dziecka. – *Ludzie dobierający się w toksyczne pary szukają właśnie takiego poczucia zlepienia. To zresztą również mechanizm uzależnień. Zwykle na etapie własnego dzieciństwa, z różnych przyczyn, nie mieli szans doświadczyć bezwarunkowej bliskości, a potem poczuć, że chcą się od niego uwolnić, nie mieli więc też szansy przejść pomyślnie tego etapu rozwoju.*

Ale narodzone już dziecko, które miało dać matce poczucie sensu w życiu, z elementu wspólnej układanki z czasem staje się barierą, przeszkodą w dążeniu do kolejnego sklejenia. Partnerka, która nie czyta w myślach partnera, frustruje go. Jedność jakaś spekana – znów frustracja. Agresja – słowna, potem czynna – służy za wentyl. Dziecko jest oczywistą ofiarą. Jest winne, bo jest. Bo przeszkadza. Trudniej przeciągnąć je na swoją stronę, nastawić przeciw matce – jak to się zdarza w rodzinach biologicznych.

A przecież powodów do frustracji jest dużo, coraz więcej – życie je przynosi. Terapeutka dr Katarzyna Fedorowicz mówi o swoich doświadczeniach z agresją, jaką w pokoleniu opiekunów wywołuje na przykład nieoczywistość płciowa dzisiejszych nastolatków. Ich forma buntu przeciwko zastanemu światu, droga, jaką masowo sprzeciwiają się światu „starych”, natrafia na wyjątkowo czuły punkt. Na przykład własną, silnie wypieraną z powodów kulturowych, biseksualność. W przypadku starszych dzieciaków biją więc, żeby je naprawić. Ochronić świat, w który wierzą. Podkreślić własną męskość. Żeby wyrugować z dziecka pewne cechy, bo wierzą, że przez przemoc można to zrobić. Biją w dobrej wierze, tyle że mocniej, niżby chcieli, napędzani frustracją. Każdy powód jest dostatecznie dobry. Weź kij, a pies się znajdzie.

Czasem zdarza się, że w efekcie to nastoletni dzieciak podnosi rękę na ojczyma. W sierpniu 2022 r. do rodzinnej tragedii doszło w Wałbrzychu. Trzynastolatek, po którejś kłótni, wziął nóż i zabił ojczyma. Oraz biologicznego ojca swoich młodszych sióstr. Nie postawiono mu zarzutów. W tym samym czasie nad morzem partnera matki zabił 15-latek z Radomia. Po kłótni, która wybuchła nad ranem w pokoju, gdzie mieszkala rodzina. We wrześniu ojczyma zabił Adam, wzorowy uczeń z Wrocławia; nie mógł znieść znęcania się. Kilkukrotnie uderzył go siekierą w głowę. Gdy przyjechała policja, nie próbował uciekać. Podobnie było w Opolu – 19-letni Mikołaj w trakcie kłótni z ojczymem, który od dawna stosował w domu przemoc, chwycił za nóż. Sam

wezwał policję. Zakwalifikowano jego czyn jako obronę konieczną. Inaczej niż w przypadku Adama. Przed kilkoma tygodniami do sądu wpłynął akt oskarżenia w jego sprawie – grozi mu 25 lat więzienia.

Nauczyć się szarości

Istnieją skuteczne terapie wychodzenia z przemocowych scenariuszy. Dorota Modrzyńska przez lata prowadziła grupę terapeutyczną dla mężczyzn z rozpoznany problemem skłonności do przemocy. Przysyłały ich Miejskie Ośrodki Pomocy Rodzinie albo Ośrodki Pomocy Społecznej, płaciły gminy. Przez rok mężczyźni z różnych środowisk, czasem patologicznych, ojcowie, ojczymowie, konkubenci, mężowie, uczyli się, jak zejść z drogi prowadzącej wprost na pierwsze strony gazet.



Pracowali z końmi. To delikatne zwierzę, którego nie sposób potraktować przemocą i nie da się oszukać. I wypełniali niekorzystne skrypty nowymi doświadczeniami. Pracowali nad swoją narcystyczną potrzebą sklejenia, ale też np. metodą Simingtona, amerykańskiego terapeuty, który w relacjach z więźniami odkrył, że powszechnym doświadczeniem prowadzącym za kraty jest specyficzne rozszczepienie; wszystko dzieli się na czarne albo białe, pierwszym etapem pracy nad sobą jest zasypanie tej dziury, nauczenie się szarości. Podopieczni warsztatów organizowanych na Kaszubach wypełniali je skutecznie; po latach Dorota Modrzyńska wciąż jest w kontakcie z niektórymi z nich.

Program działał, ale się skończył. Ktoś inny wystartował w przetargu, wygrał, ale grupy nie udało się utworzyć. No i nie ma. Dorota Modrzyńska wciąż dostaje zapytania, czy jeszcze kiedyś będzie. Nawet nie od instytucji, ale od ludzi, z przeróżnych środowisk, także od konkubentów czy partnerów, którzy słyszeli, że praca z własną agresją jest możliwa, i chcieliby

inaczej odreagować swoje problemy, ale nie potrafią. Mimo wprowadzenia do systemu wsparcia społecznego wielu sensownych rozwiązań, mimo rewolucji, jaka dokonana się w tej dziedzinie, jak np. wprowadzenie wyspecjalizowanych asystentów rodzin, wobec przemocy, tej, z której chcą wyjść sami zainteresowani, system pozostaje bezradny.

Tym bardziej że czeka cała lista progów do przejścia. Począwszy od mechanizmów *toxic couples*, gdy jedno próbuje poluzować więzi, drugie tym mocniej trzyma. Poprzez cały wachlarz skryptów kulturowych, progów mentalnych. W publicznej narracji głośno wybrzmiała np. historia państwa B. z Krakowa. Skierowani do ośrodka pomocy psychologicznej z powodu problemów synów w szkole, usłyszeli, że ich rodzina powinna pracować nad formą komunikacji – bo to, co robią, jest przemocą. Ojciec i mąż, pan B., oburzył się, że nikt mu nie będzie mówił, jak wychowywać dzieci. Po kolejnych monitach pracowników socjalnych sprawą zajął się sąd, który uznał, że skoro pan B. odmawia pracy z własną agresją, nauczania się innych form komunikacji niż przemoc, dzieci zostaną umieszczone w placówce zastępczej. Bo kiedy zaczyna się od przywiązywania do psiej budy, kończy się znacznie poważniej. Ale wówczas rodzina B. trafiła na sztandary prawnicy – że nikt nie będzie podważał autorytetu ojca rodziny. Opisywała to prawnicza prasa – wzorcową i normalną polską rodzinę, z pracującym na autorytet ojcem, szanującą ów autorytet matką, i oszalały sąd. Państwa B. wziął w obronę osobiście prezydent Andrzej Duda i minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro.

Gdy na pierwsze strony gazet trafiały kolejne pobite dzieci, nikt już nie pamiętał o rodzinie B. Ale na liście progów do przejścia są też dziury w strukturze. – *O tym nie myślimy, ale dzieci, które we wczesnym dzieciństwie doświadczają tortur, często nie wejdą pomyślnie w skład rodziny zastępczej, nawet najlepiej przygotowanej. Będą stosować przemoc, tak jak ją wobec nich stosowano* – mówi Dorota Modrzyńska. – *Będą badać granice i próbować je przelamać.*

One też potrzebują nie tylko specjalistycznej pomocy, lecz także szczególnych warunków. Nawet jeśli dziecko udaje się na czas zabrać od przemocowych opiekunów, to nie oznacza bajki z happy endem. Szczęśliwego zakończenia o uratowanej niewinności. Trzeba znacznie więcej, żeby za jakiś czas maltretowani sami nie zaczęli maltretować.

MARTYNA BUNDA

Rozmowa z ratownikiem i nauczycielem akademickim Jarosławem Sowizdraniukiem o tym, co różni ratownika medycznego od lekarza, czy pogotowie to bagno i czy w tym zawodzie więcej jest adrenaliny czy wypalenia.

Czasem reanimujesz trupa



ILUSTRACJA MARTA FREJ

KATARZYNA KACZOROWSKA: – Dzięki ustawie o zawodzie ratownika medycznego możecie stwierdzać zgon, macie poszerzony dostęp do leków i zwiększoną liczbę wykonywanych procedur. Próbowano przedstawiać te zmiany jako zagrożenie dla zdrowia i życia pacjentów.

JAROSŁAW SOWIZDRANIUK: – Nie zgadzam się z taką oceną. Ratownik medyczny jest doskonale przygotowany do działania w stanach zagrożenia życia, w pozaszpitalnych, trudnych warunkach, kiedy decyzje trzeba podejmować szybko. Uważam, że jesteśmy lepiej przygotowani do takich działań niż większość lekarzy – wyłączam

tu specjalistów medycyny ratunkowej czy anestezjologów.

Skąd ta pewność?

Po prostu pracowałem z wieloma lekarzami, obserwuję ich także na podyplomowych szkoleniach. Ratownik medyczny ma zadanie utrzymać przy życiu człowieka po zatrzymaniu krążenia, w czasie ▶

► zawału serca, po wypadku. I dowieźć go do szpitala, gdzie jest sala operacyjna, oddział intensywnej terapii, specjalistyczny sprzęt, umożliwiający chociażby udrożnienie zatkanej tętnicy przy zatorze. Lekarz zwykle, kiedy trzeba działać niemalże automatycznie, będzie analizował patofizjologię, rozpoznania różnicowe zespołów, które zdarzają się raz na milion przypadków. Do tego zresztą został przygotowany na studiach, które mają mu dać jak najszerzą wiedzę, ale w ratownictwie liczy się czas. Każda minuta takiej analizy to mniejsze szanse pacjenta.

I nie boi się pan zwiększenia uprawnień ratowników?

Nie, ale muszą za tym pójść ustawiczne szkolenia, oficjalne, organizowane co kilka lat przez dysponentów ratownictwa i zakończone egzaminami. Cały czas przecież wprowadzane są nowe leki, sprzęt, są nowe procedury.

Praca ratownika uzależnia czy wypala?

Jedno nie wyklucza drugiego, tym bardziej że większość ratowników jest uzależniona od tej adrenaliny, jaką daje niepewność.

Niepewność?

Wezwanie do bólu brzucha może oznaczać wszystko, od kolki nerkowej, przez ból menstruacyjny, po perforację jelita czy pęknięcie wyrostka robaczkowego. Tu nie ma nudy, bo każdy pacjent jest inny. Ale to jest też zawód, a nie tylko misja. Obarczony dużym wysiłkiem fizycznym i psychicznym. Wchodzimy do cudzych domów, w cudze życie. Widzimy strach, nadzieję, często po zakończonym dyżurze mamy więcej porażek niż sukcesów. Wiemy, że system całej opieki zdrowotnej nie działa. Jeśli dodamy do tego takie, a nie inne finansowanie, pracę w nocy i święta, to możemy zacząć rozmawiać o wypaleniu. To jest właściwie reguła, że starsi koledzy w pogotowiu tym młodszym już na wejściu mówią: To jest najgorszy zawód na świecie, po co tu przyszedłeś?

Choć sami z niego nie rezygnują?

Jeden z moich studentów, kiedy usłyszał pierwszego dnia praktyk: To jest bagno, tylko stracisz czas, zapytał tego starszego stażem zawodowym ratownika: To po co w tym siedzisz? To uderzające, ale frustracja jest przekazywana z pokolenia na pokolenie, bo ja na I roku studiów słyszałem to samo. Byłem zresztą jednym

z pierwszych roczników studiujących ratownictwo i wtedy nikt nie miał pojęcia, co to jest za zawód. Lekarze, z którymi mieliśmy zajęcia, wprost pytali, co my właściwie będziemy robić. Do dzisiaj, choć minęło prawie 20 lat, lekarze i pielęgniarki nie do końca wiedzą, jaki jest zakres kompetencji ratownika medycznego. A samo ratownictwo zmienia się, i to bardzo – chociażby pod względem obecności kobiet, które stanowią dzisiaj nawet 60 proc. studentów na tym dawniej zmaskulinizowanym kierunku. Co jest dobre w moim odczuciu.

Dlaczego?

Bo kobieta i mężczyzna w tym zawodzie różnią się empatią, delikatnością, precyzyjnością działania. Ratownik jest jak rzemieślnik – zrobi wkłucie, przygotuje leki, uratuje, ale to ratowniczką częściej będzie pamiętała o rozmowie z chorym czy jego rodziną, potrzyma za rękę, przekaże dziecko do badania.

Kiedy zaczął pan pracę w pogotowiu, Polska miała za sobą aferę z handlem skórami, jak nazywano pacjentów. Załogi pogotowia zabijały chorych, do których były wzywane. Może dlatego starsi koledzy powtarzają młodszym, że pogotowie to bagno?

Nigdy nie zetknąłem się w jakikolwiek sposób z zabijaniem dla pieniędzy. Gdybym słyszał o czymś takim, widział zabójstwo, reagowałbym natychmiast. Ale rzeczywiście porozumienia między zakładami pogrzebowymi a stacjami pogotowia były wszędzie. Zakładom zależało na tym, by mieć dostęp do informacji i w zamian sponsorowały stacjom pogotowia i ratownikom ubrania, mikrofalówki, telewizory, lodówki... Na początku nie zachęcało to do zbrodni, tak jak w Łodzi.

Widział pan te mikrofalówki?

Tak, choć wiedziałem, że grono osób dostających pieniądze za informacje jest zamknięte. Mam też perspektywę tamtych lat.

To znaczy?

Nie było internetu. Dzisiaj wystarczy wpisać w wyszukiwarce hasło „całodobowy zakład pogrzebowy” i można wybierać. A wtedy sam słyszałem pytanie: Proszę mi powiedzieć, do kogo ja mam zadzwonić? Człowiek w tej rozpaczy, kiedy traci kogoś bliskiego, naprawdę jest zagubiony.

I co pan odpowiadał? Dawał adres i telefon?

Mówiłem, żeby poszukać w gazecie, bo wtedy takie adresy były

drukowane w prasie. Ale wiem, że szczególnie w mniejszych miejscowościach pan Zenek czy pan Staszek wyjmował wizytówkę i mówił: Jak pan pokaże, to jeszcze będzie 10 proc. zniżki. I pewnie miał za to jakąś gratyfikację. O handlu skórami, że odwołam się do tego określenia, jednak nie rozmawialiśmy. To było tabu, od którego chciało się uciekać. I o ile na początku z tych mikrofalówek czy lodówek wszyscy korzystali, o tyle później było to już hermetyczne grono, najwyraźniej ufające tylko sobie.

Pamięta pan swoją pierwszą śmierć?

Pamiętam większość trudnych śmierci. Jedną z tych pierwszych to było wezwanie do młodej kobiety z dwójką małych dzieci. Zaawansowany nowotwór piersi, stan po amputacji, duszności. Mąż chciał, żebyśmy ją ratowali, ale nie było to już możliwe. Wiedzieliśmy z lekarzem, że trzeba odpuścić.

I wytłumaczyliście?

Do dzisiaj się zastanawiam nad tym momentem, kiedy mówimy bliskim, że nadszedł czas domknięcia pewnych spraw i my już nic nie możemy zrobić. Bywa, że reanimujemy człowieka już nieżywego, żeby dać rodzinie poczucie, że ona i my zrobiliśmy wszystko. Myślę jednak, że nawet jak mamy do czynienia z pacjentem w stanie terminalnym, wegetatywnym, a bliscy wiedzą, że on umiera, to te słowa „zabierzcie go, zróbcie coś” są w gruncie rzeczy jakąś formą ucieczki od odpowiedzialności. Zrzucamy tę decyzję za ostatnie chwile na kogoś obcego, w tym wypadku ratownika, który ma zabrać umierającą mamę do szpitala. Tylko że wtedy ona odejdzie w samotności, a nie we własnym łóżku. Uciekamy przed testamentem, pogodzeniem się z tymi, z którymi jesteśmy pokłóceni, odkładamy to, bo wydaje nam się, że odkładamy czas do śmierci. A jak już przyjdzie, to skupiamy się tylko na niej. Nie umiemy dostrzec tego, że największą wartością jest to, że mogliśmy być razem z tym człowiekiem, który odszedł.

Ile czasu zajęło panu uświadomienie sobie tego?

Trochę zajęło. Pierwsza śmierć, jaką w życiu widziałem, to był 50-letni mężczyzna. Umarł pod własną klatką schodową. Szedł, upadł i już nie wstał. Musiałem tego człowieka pozawijać w prześcierała, przekazać do chłodni. Moi rodzice mieli wtedy tyle lat, ile ten człowiek.

I pomyślał pan, że dokładnie tak samo może umrzeć pana ojciec.

Zadzwoń do niego: Cześć tato, jak się czujesz?, co tam u ciebie? – Ale po co dzwonisz? Nigdy nie dzwonisz.



Kilka lat później pojechałem do dziewczynki, która przy traktorze zatrzasnęła drzwi i amputowała sobie palec. Nie jest to zagrożenie życia, nie umarła, palec pewnie przyszyli, ale moja córeczka była wtedy w tym samym wieku i tak samo ruchliwa. Nie mam traktora, zabezpieczyłem jednak wszystkie drzwi w domu.

Wspólnie z Justyną Dźbik-Kluge wydalicie jakiś czas temu książkę „Ratownik. Nie jestem bogiem”.

Dużo w niej zabawnych historii.

Zabawna – z perspektywy czasu, bo wtedy nie było nam do śmiechu – jest historia afery związanej ze zgubieniem... sztucznej szczęki w czasie reanimacji pacjenta. Jak już doszedł do siebie, oskarżył nas o kradzież protezy, którą wyjęliśmy, kiedy go intubowaliśmy. Nie wiem, po co mielibyśmy mu kraść tę szczękę, ale inni koledzy mieli problemy na przykład z powodu zniszczonych aparatów słuchowych, porwanych koszul. Zawsze po reanimacji, którą podejmujemy, by ratować czyjeś życie, więc naprawdę wtedy nikt nie zastanawia się nad złożeniem tej koszuli w kostkę czy odwiezieniem jej do szafy, odłożeniem protezy czy aparatu do pudełka.

Są jeszcze historie rodem z thrillera lub horroru. Tych jest więcej. Jedna z nich dotyczy przyjazdu do zabójstwa.

Wzwanie było krótkie: Ona chyba nie żyje. Pojechaliliśmy w ciemno, bo nikt nie wiedział, co się kryje za tymi słowami. Dotarliśmy do niewielkiej wioski, w chacie, do której weszliśmy, było ciemno. W środku pełno walających się rzeczy, ale i dużo krwi. Na podłodze zobaczyliśmy leżącą dziewczynę. Nieżyjącą już od jakiegoś czasu. I wtedy usłyszeliśmy od mężczyzny, który nas wezwał: Czy możecie mi panowie pomóc włożyć ją do wanny? Chciałbym ją umyć z tej krwi, wykapać.

Baliście się?

Ten człowiek był przerażająco spokojny. Powiedzieliśmy mu, że musimy wypełnić dokumentację, że zaraz mu pomożemy, ale musimy z karetki wziąć papiery. No i spokojnie przeszliśmy do samochodu, żeby nie wywoływać paniki.

Co zrobiliście?

Wzwaliliśmy policję. On nas próbował przekonać, że ta dziewczyna miała żylaki przełyku, pękły i stąd ta krew... Nie sprawdzaliśmy, to zresztą nie nasza kompetencja, bo jeśli jest podejrzenie udziału osób trzecich w zgonie, do akcji wkracza policja, prokuratura, medyk sądowy.

Zatrzymano tego człowieka?

Nie wiem, nie chciałem wiedzieć, co dalej działo się w tej sprawie, wolałem o niej zapomnieć.

Zdarzało się też panu przyjeżdżać do zmarłego w otoczeniu rodziny, nieświadomego tego, że w domu, przy stole, siedzi nieżywa mama.

To było wezwanie: cukrzyca. Zakładaliśmy hipoglikemię, w najgorszym razie śpiączkę cukrzycową. Weszliśmy do mieszkania pełnego antyków, bibelotów. Przy stole siedziała starsza pani, z głową opartą na rękach, pamiętam, że miała zamknięte oczy. Córka tłumaczyła, że mama choruje na cukrzycę i często zdarza jej się, że z nikim nie chce rozmawiać. Tak jak teraz, a nawet nie chciała dać palca do wkucia. Córka opowiadała, jak często wzywają pogotowie do mamy, pokazywała historię choroby, ja usiłowałem podejść do starszej pani i kiedy mi się w końcu udało, to zapytałem oczywiście, jak się czuje. Nie odpowiedziała. No to znów: Przepraszam, chcielibyśmy panią zbadać. Nic, zero odzewu, a zdenerwowana córka rzuciła: Sam pan widzi, że jest uparta jak wół. Pewnie do szpitala też nie będzie chciała jechać. Kiedy jednak dotknąłem starszej pani siedzącej przy stole, było jasne, że nie żyje od kilku godzin.

I co pan zrobił?

Powiedziałem tej rodzinie, że my jej już nie pomożemy. Ktoś zdenerwowany się oburzał, że jak to mama nie żyje, skoro oni rozmawiali z nią przez kilka godzin. No to wytłumaczyłem im, że owszem, mówili do niej, tylko odpowiedzi nie słyszeli. Ta kobieta zapewne poczuła się słabo, usiadła przy stole, oparła głowę o dłoń i wtedy stanęło jej serce. A że siedziała tak kilka godzin, to stężenie pośmiertne i grawitacja zrobiły swoje. Przenieśliśmy ją do łóżka, bo to rzeczywiście dziwna scena – nieżywa osoba siedząca przy stole. Tylko że leżąca też wyglądała dziwnie: z rękoma przy czole i nogami do góry, leżąca w pozycji siedzącej...

Da się pracować w pogotowiu cały czas na pełnych obrotach?

Ja odszedłem, bo chciałem widzieć, jak rosną moje dzieci. Zostałem nauczycielem



akademickim i od 13 lat uczę przyszłych medyków. Prawda jest taka, że ratownicy w ramach 12-godzinnego czy 24-godzinnego dyżuru nie mają żadnej możliwości poradzenia sobie z gromadzącymi się w nich emocjami. Jest reanimacja, potem sprzątanie karetki po zdaniu pacjenta do szpitala i kolejny wyjazd. Do wypadku. Albo do zawału. Są tragedie. Jest agresja, bo pacjent zaatakuje nas pięściami lub nożem. A dyspozytor mówi, że trzeba znowu jechać. Nie ma miejsca na uzalenie się nad sobą, płacz, rozterki, że się nie daje rady, już nie można tego dźwigać.

To jak sobie radzą ratownicy?

Piją, biorą narkotyki, chodzą na siłownię, mają PTSD, depresję?

Wszystko, choć nie wszystko razem. Kończy się dyżur i po drodze jest sklep monopolowy i dwa piwa, tylko dwa, bo „wiesz, gorący dzień”. Są narkotyki, choć mniej niż w początkach mojej pracy, bo uszczelniono procedury, co utrudniło korzystanie z leków przeznaczonych dla pacjentów. Jest siłownia, przypadkowe kontakty seksualne. Każdy ma jakiś sposób radzenia sobie, czasem idąc w ryzykowne zachowania, i mimo że jest w systemie opieki zdrowotnej, ma wiedzę, ignoruje znaki ostrzegawcze. Ludziom rozpadają się rodziny, chorują, a po dyżurze, bez względu na to, jak był ciężki, mówią sobie tylko „cześć”. I rozchodzą się. Strażacy, policjanci mogą liczyć na wsparcie psychologiczne. Ratownikom, jeśli sami o siebie nie zadbają, nikt nie pomoże.

Mój przyjaciel popełnił samobójstwo. Mój student też nie wytrzymał tej presji. Wyszedł na dyżur, doszedł do przystanku, stwierdził, że jednak nie wsiądzie do autobusu, wszedł na wieżowiec i skończył. Wiedziała pani, że pielęgniarka statystycznie żyje 20 lat krócej niż kobieta w tym samym wieku, ale wykonująca mniej obciążający zawód? To o ile krócej żyje ratownik?

ROZMAWIAŁA KATARZYNA KACZOROWSKA



Jarosław Sowizdraniuk – nauczyciel akademicki i ratownik medyczny, obecnie związany z Politechniką Wrocławską i nowo utworzonym wydziałem medycznym (wcześniej 13 lat pracował na Uniwersytecie Medycznym im. Piastów Śląskich). Nauczyciel Akademicki Roku 2021. W 2023 r. nakładem wydawnictwa Marginesy ukazała się książka jego i Justyny Dźbik-Kluge „Ratownik. Nie jestem bogiem”.



Japonia w swoim perfekcjonizmie łączy tradycję i nowoczesność

Od hollywoodzkich supergwiazd, przez fanatyków orientalnej sztuki, po zwykłych turystów ceniących jakość i trwałość: coraz więcej osób na całym świecie sięga po produkty made in Japan.

Dekada – tyle trwa sam proces przyuczania do zawodu. W tym czasie młodym adeptom często nie wolno nawet zbliżyć się do ostrza, mogą co najwyżej uczestniczyć w fazie polerowania, gdy produkt jest już prawie na ukończeniu. Nikt jednak się przeciw takiemu porządkowi rzeczy nie buntuje, w końcu tradycja ręcznego wyrobienia mieczy sięga w Japonii ponad tysiąc lat wstecz. W rozszanych po całym kraju mikroskopijnych, często dwu – lub trzyosobowych warsztatach ściany zdobią ostrza wykonane często kilkaset lat wcześniej, wciąż tak ostre, że bez trudu przecinają w mgnieniu oka wszystko, co stanie na ich drodze. W przygotowaniu katany, naginaty czy tachi – rozmaitych rodzajów tradycyjnej japońskiej broni białej – nie chodzi jednak tylko o historię albo o blichtr. To sztuka cierpliwości, oddania się tradycji,

ale też takiego jej przechowywania, by w dzisiejszych czasach miała ona swoje realne zastosowanie.

Tak też dzieje się z antyczną niemal sztuką wyrobienia mieczy. Na całym świecie znaleźć można ich kolekcjonerów i fanatyków, którzy do Japonii pielgrzymują, często tylko po to, żeby doświadczyć katarycznego wręcz procesu polerowania ostrza w pełnym skupieniu przez mistrza tej sztuki. Ich ceny na wolnym rynku sięgają nawet kilku tysięcy dolarów, choć starsze egzemplarze mogą być nawet kilka, kilkanaście razy droższe. Przygotowanie jednego miecza zajmuje kilka miesięcy, a ponieważ to mimo wszystko sztuka ginąca, często czekać trzeba latami. Ale budzą one zainteresowanie nie tylko pasjonatów – potencjał w japońskiej tradycji od lat dostrzega też Hollywood. Przy produkcji *Ostatniego Samu-*





raja, kinowego hitu z Tomem Cruisem zaprezentowanego światu równo 20 lat temu zatrudniono cały sztab lokalnych ekspertów od japońskiej broni białej. Ma ona zresztą swoich fanów również w mniej przyjemnych obszarach, bo do dziś pozostaje ulubioną, ale też bardzo śmiercionośną bronią wykorzystywaną przez członków Jakuzy, japońskich organizacji przestępczych.

Choć rzeczywiście są oni w Kraju Kwitnącej Wiśni aktywni, to Japonii absolutnie nie należy się bać. Wręcz przeciwnie – trzeba z jej kultury, sztuki i połączenia tradycji z nowoczesnością korzystać pełnymi garściami. Zwłaszcza teraz, kiedy po długich trzech latach pandemicznej izolacji i zamkniętych granic przybysze z Europy mogą wreszcie tam zawitać. Robiąc to, warto na swoim szlaku szukać właśnie tych punktów, w których stare przecina się z nowym. A dokładniej – w którym to, co przynależy do przeszłości, okazuje się ponadczasowe, przydatne również dzisiaj. Wiele jest w japońskiej kulturze, architekturze czy designie takich motywów, nierzadko związanych z konkretnymi miejscami na mapie kraju.

I tak zwiedzić warto chociażby Hasami – niewielkie, zaledwie 15-tysięczne miasteczko w prefekturze Nagasaki, na dalekim, ciepłym i malowniczym południu kraju. To japońska stolica ceramiki, gdzie siedzibę ma wytwórnia o tej samej nazwie. Choć to wciąż niewielka manufaktura, jest marką jak najbardziej globalną, pod każdym względem zaliczana do obszaru premium. Tu wszystko odbywa się tak, jak przed wiekami. Znakiem firmowym Hasami jest niezwykle specjalistyczny podział pracy. Inni rzemieślnicy zajmują się wyrabianiem i kształtowaniem naczyń, inni je malują, inni suszą, jeszcze inni – wypalają. Na pewno da się ten proces usprawnić, technologicznie przyspieszyć, ale zapewne odbyłoby się to za cenę utraty unikatowego, ludzkiego elementu tych przedmiotów. Oraz

zabiłoby tradycję, która w Japonii jest właściwie synonimem tożsamości narodowej, funkcjonowania w społeczeństwie, po prostu – kluczowym składnikiem życia codziennego.

Nie znaczy to jednak, że Japończycy żyją tylko tym, co wczoraj. Nic bardziej mylnego – oni *wczoraj* płynnie przekuwają w *dzisiaj*. Przykładem tego jest Mazda, jeden z globalnych producentów motoryzacyjnych. Choć jego wiodące samochody, jak hybrydowy SUV Mazda CX-60 naspikowane są najnowszą technologią, firma nigdy nie porzuciła swojego przywiązania do japońskiej tradycji. Od dekad utrzymuje prostą linię designu, połączoną z wysokim, luksusowym wykończeniem wnętrza. KODO, *dusza ruchu*, unikatowa metoda projektowania samochodów stworzona przez Mazdę, nadaje niezwykłej dynamiki ich nadwoziom. Projektując samochód, mistrzowie rzemiosła Takumi przykładają niezwykłą wagę do szczegółu, jednocześnie dbając o środowisko naturalne i komfort pasażerów. Nad każdym nowym modelem pracują bowiem zarówno inżynierowie, jak i artyści – rzemieślnicy, projekty przygotowując najpierw w glinie. Dzięki temu samochody Mazdy mają prawdziwą osobowość. I jest to osobowość ze wszech miar japońska, szanująca to, co było, i dbająca o swoje dziedzictwo tak, by było ono przydatne w czasach dzisiejszych. Dlatego właśnie Mazda, podobnie jak każdy z dziesiątek rzemieślników w skupieniu polerujących najostrejsze miecze świata czy jak doprowadzający do perfekcji kształty swoich naczyń ceramicy z Hasami, jest kwintesencją tego, co Japonia ma do zaoferowania światu. Nie pozostaje więc nic innego, jak wsiąść za kierownicę – na Dalekim Wschodzie lub tu, w Polsce – i świat ten odkrywać, w komforcie wysokiego wykończenia, bezpieczeństwa i płynności jazdy, jaką oferuje Mazda CX-60.

Materiał powstał we współpracy z Mazdą



Polska jest największym w UE importerem rosyjskiego gazu płynnego (LPG), mimo że premier Morawiecki uroczyście deklarował, że do końca 2022 r. przestaniemy go z Rosji sprowadzać. Na pytanie o rosyjski LPG pada dziś odpowiedź: będziemy importować, bo jest tańszy.

Paliwo wyborcze

ADAM GRZESZAK

To miała być kolejna premierowska tarcza, tym razem antyputinowska, bo ogłoszono ją kilka tygodni po agresji Rosji na Ukrainę. Miała chronić gospodarke, jednocześnie intensywnie ją derusyfikując. „Polska przedstawiła najbardziej radykalny plan odejścia od rosyjskich węglowodorów: ropy, gazu i węgla” – chwalił się premier, wzywając UE, by poszła jego śladem. Zajął się też sprawą rosyjskiego gazu płynnego, zapowiadając: „LPG, czyli gaz używany przez ponad 3 mln użytkowników samochodów, a także do ogrzewania domów, będzie podlegał również tym samym ograniczeniom i restrykcjom, które zaproponowaliśmy wraz z radykalnym odejściem od węglowodorów”.

Jak zwykle okazało się, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Nasze odchodzenie od rosyjskich węglowodorów szło wyjątkowo opornie i to raczej Rosjanie stawiali nas wobec faktów dokonanych, niż my zrywaliśmy współpracę handlową. Od początku najwięcej problemów było z rosyjskim gazem płynnym. Zakaz jego importu nie pojawił się w uchwalonej w kwietniu 2022 r. ustawie zwanej sankcyjną („o szczególnych rozwiązaniach w zakresie przeciwdziałania wspieraniu agresji na Ukrainę oraz służących ochronie bezpieczeństwa narodowego”). Kiedy Senat zgłosił poprawkę, by do listy dopisać LPG, została odrzucona, a wicepremier Jacek Sasin wyjaśnił: „Mimo że jesteśmy za sankcjami, uważamy, że ta poprawka jest poprawką złą i szkodliwą”. Zapewnił jednocześnie: „pracujemy nad tym, aby jak najszybciej usunąć ten komponent rosyjski z importu”.

Kto na tym zarabia

Sprawa usunięcia tego komponentu powracała regularnie w interpelacjach poselskich i pytaniach dziennikarzy. Zwłaszcza gdy zaczął się 2023 r. i minął ostateczny termin, w którym rząd zobowiązywał się do zakończenia importu rosyjskiego LPG. Pytania budziły irytację indagowanych i były ucinane stwierdzeniami, że pytający pewnie źle życzy polskim użytkownikom samochodów na autogaz i w ogóle polskiej gospodarce. Dziś stanowisko jest takie: żadnego embarga nie będzie, póki na takie nie zdecyduje się cała Unia Europejska. „W ocenie polskiego rządu wprowadzenie embarga na LPG z Rosji tylko przez pojedyncze państwa nie przyniosłoby oczekiwanego skutku” – wyjaśnił w odpowiedzi na interpelację poselską Jacka Tomczaka (KP) Piotr Dziadzio, wiceminister środowiska, główny geolog kraju i pełnomocnik rządu ds. polityki surowcowej państwa. Zdradził też jeden z ważnych motywów trwania przy rosyjskich dostawach:



© SHUTTERSTOCK

„Gaz pochodzący ze wschodu (FR) jest zauważalnie tańszy od produktów pochodzących z pozostałych destynacji, także koszty logistyczne są niższe – co ma duże znaczenie w obliczu kryzysu energetycznego spowodowanego gwałtownym wzrostem cen surowców energetycznych, wpływającego na zwiększenie ubóstwa energetycznego w naszym kraju”. A więc kupujemy u Putina, bo jest tanio.

W dość zaskakujący sposób gaz płynny wyrósł na paliwo o znaczeniu tak strategicznym, że nie obowiązuje go doktryna „najbardziej radykalnej w UE derusyfikacji”. Okazuje się, że możliwe było przerwanie importu rosyjskiego węgla, zanim zrobiła to UE, co doprowadziło do dramatycznych wstrząsów na krajowym rynku opałowym, można było zrezygnować z importu gazu i ropy,



Płynny gaz

LPG (liquefied petroleum gas) to płynny gaz ropopochodny, mieszanina gazów, głównie propanu i butanu, występująca naturalnie w złożach ropy naftowej i gazu ziemnego albo sztucznie wytwarzana przy okazji produkcji benzyny i oleju napędowego. Może być także produkowany z odpadów komunalnych i bioetanolu (to bioLPG). Uzyskiwane w ten sposób gazy służą jako paliwo silnikowe, do ogrzewania domów, gotowania, a także jako surowiec dla przemysłu chemicznego. Mają większy ciężar niż metan (główny składnik gazu ziemnego), przechodzą więc w stan płynny w pokojowej temperaturze pod wpływem niewielkiego ciśnienia (LNG, czyli skroplony metan, wymaga temperatury -162 st. C). Łatwo je magazynować i transportować w butlach lub cysternach.

ale z LPG zrezygnować nie sposób. Co w płynnym gazie jest tak szczególnego?

Próbowali to wyjaśnić posłowie KO Paweł Poncyłjusz i Urszula Zielińska. Przeprowadzili kontrolę poselską, która skłoniła ich do wniosku, że można byłoby bez szkody dla gospodarki zrezygnować z rosyjskiego gazu, ale w biznesie LPG przepłatają się interesy spółek Skarbu Państwa i firm z rosyjskim kapitałem. Szczególną ich uwagę zwróciła spółka Transgaz, właściciel terminalu przeładunkowego LPG w Małaszewiczach na granicy z Białorusią. „Prezesem Transgazu jest radny PiS Paweł Skoczowski, a członkami rady nadzorczej spółki są szef gabinetu politycznego ministra aktywów państwowych Sławomir Starzec i radny Prawa i Sprawiedliwości na warszawskiej

Pradze-Południe Damian Paczkowski” – informowała w kwietniu posłanka Urszula Zielińska.

Polska jest największym konsumentem gazu płynnego w Europie. W 2022 r. zużyliśmy ok. 2,5 mln ton. Grupa Orlen pokrywa zaledwie 20 proc. krajowego zużycia, więc resztę musimy importować. Blisko połowa importu w 2022 r. pochodziła z Rosji. To trzecia część całego rosyjskiego eksportu LPG. W pierwszym kwartale tego roku udział rosyjskiego LPG nawet wzrósł i przekroczył 50 proc. Rosjanie sprzedają nam propan-butan, za który zapłaciliśmy 733 mln euro (3,2 mld zł). Drugim po Rosji dostawcą LPG (głównie samego propanu do celów grzewczych) jest Szwecja (30 proc). Reszta pochodzi z Litwy, Kazachstanu, USA i innych krajów. Gaz rosyjski jest sporo tańszy od pozostałych. Za tonę ►

► importerzy płacili średnio 623 dol., podczas gdy za gaz z USA blisko 700 dol., a z Norwegii prawie 800 dol.

Samochody na ruskim gazie

Brak dostępu do gazu sieciowego w dużej części kraju sprawia, że co trzecie polskie gospodarstwo domowe musi korzystać z płynnego gazu w butlach. Dziś więc gotują na ruskim gazie, a ci podłączeni do sieci na zderusyfikowanym metanie. Jednak lwią część LPG (ok. 75 proc.) trafia do zbiorników samochodowych. Autogaz to propan-butan, więc Polacy tankują zderusyfikowaną od niedawna benzynę, a do drugiego zbiornika ruski gaz.

Dziś po naszych drogach jeździ ok. 3,5 mln aut dwupaliwowych, czyli benzynowych z alternatywnym systemem zasilania mieszkanką propanu i butanu, czyli autogazem. Teoretycznie możliwe jest wykorzystanie autogazu także w silniku wysokoprężnym, ale to sprawa skomplikowana i rzadko stosowana. – *Popularność autogazu w Polsce wynika z powodów ekonomicznych. Cena LPG była zawsze niższa niż benzyny, więc montaż instalacji gazowej w samochodzie dość szybko się zwracał, zwłaszcza jeśli ktoś dużo jeździł. W latach 90. powstał w kraju cały ekosystem firm montujących instalacje gazowe, przybywało też stacji autogazu, co nakreślało popularność tej technologii* – wyjaśnia Jakub Faryś, prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego.

Autogaz stał się w Polsce szybko bardzo popularny, dużo bardziej niż w innych krajach Europy, zapewne także za sprawą wspomnień o regramentacji benzyny w latach 80. Wielu kierowców wolało na wszelki wypadek mieć pod maską paliwową alternatywę. – *Sprzyjał temu też fakt, że na polski rynek zawsze trafiało dużo więcej aut używanych niż nowych, a w takich łatwiej montuje się instalacje gazowe* – dodaje prezes Faryś. Współczesne silniki benzynowe z wtryskiem bezpośrednim wymagają bardzo kosztownych instalacji LPG, a producenci nie zawsze godzą się na ich montaż. Wprawdzie w szczycie autogazowej hossy wielu producentów oferowało samochody fabrycznie przystosowane do zasilania autogazem, ale dziś zostało już tylko kilkanaście modeli. Głównie z gamy Dacii, Renault oraz marek koreańskich. Od stycznia do lipca zarejestrowano w Polsce 7262 nowe auta z instalacją gazową na 275 tys. sprzedanych.

„Wykorzystanie LPG w transporcie koncentruje się w kilku krajach (Korea, Turcja, Rosja i Polska) i jest stosowane głównie w lekkich pojazdach dwupaliwowych. W porównaniu z olejem napędowym można uzyskać niższą emisję NOx i cząstek stałych, podczas gdy emisje CO i HC są zazwyczaj wyższe w przypadku LPG (podobnie jak w przypadku benzyny). W porównaniu z gazem ziemnym emisje są gorsze, ale dystrybucja i magazynowanie są łatwiejsze” – czytamy w raporcie Międzynarodowej Agencji Energetycznej. Sprężony gaz ziemny CNG jest drugim obok LPG gazowym paliwem silnikowym. Stosowany bywa też skroplony gaz ziemny LNG, ale to już opcja bardzo rzadka i stosowana w ciężkim transporcie.

Oficjalne polskie stanowisko w sprawie rosyjskiego LPG jest takie: chcemy, aby UE wprowadziła embargo, próbowaliśmy ją namówić, ale nie chce. Ponoć Polska wraz z Irlandią i krajami bałtyckimi przygotowała w tej sprawie jakiś wniosek, ale nie wiadomo jaki, bo tylko korespondent PAP donosił, że go widział. Bruksela sprawą LPG specjalnie się nie zajmowała, bo dla polityki energetycznej UE to paliwo drugo-, a może trzeciorzędne. Zresztą skoro wciąż wolno importować do UE LNG, czyli skroplony gaz ziemny z Rosji, to obejmowanie embargiem LPG uznano za niecelowe. A my sami się nie będziemy wyrwać, bo rosyjski gaz i tak by do nas trafił, tylko droższy i określną drogą.

Faktem jest, że LPG krąży po Europie tajemniczymi trasami, importowany, eksportowany i reeksportowany. Polska, która jest

małym producentem i wielkim konsumentem, sama wyeksportowała w 2022 r. 460 tys. ton LPG, dwukrotnie więcej niż rok wcześniej. Głównym odbiorcą jest Ukraina, do której trafiło 236 tys. ton. Objęła ona embargiem rosyjskie LPG i wzywa do tego UE, dlatego kontroluje dostawy, pilnując, by nie trafiał do niej reeksportowany gaz z Rosji. Polska dostarcza jej gaz nierosyjski, w tym polski, co sprawia, że udział rosyjskiego w naszej konsumpcji rośnie.

– *Jesteśmy skazani na import, bo Polska nie jest w stanie znacząco zwiększyć produkcji LPG. Nie mamy złóż ropy i gazu, z których można pozyskiwać naturalny gaz płynny, a to na świecie jest jego główne źródło. W Polsce LPG jest pozyskiwane jako produkt uboczny w trakcie produkcji paliw, więc jego ilość jest bezpośrednio związana z wielkością przeróbki ropy w rafineriach Orlenu. Pewne nadzieje związane są z produkcją bioLPG z odpadów rolniczych, mamy takich producentów nawet w Polsce, ale to jest technologia na wczesnym etapie* – wyjaśnia Bartosz Kwiatkowski, dyrektor generalny Polskiej Organizacji Gazu Płynnego (POGP). A zapotrzebowanie na gaz płynny niebawem jeszcze wzrośnie, bo Azoty Police uruchamiają linię produkcji propylenu wytwarzanego z propanu.

Korek na torach

Mimo że rząd nie zdecydował się na embargo, część firm z własnej inicjatywy zakończyła import rosyjskiego LPG. Zdecydował się na to m.in. rynkowy lider firma GASPOL. – *Decyzja o zakończeniu importu rosyjskiego LPG zapadła po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie, głównie ze względów etycznych, ale też biznesowych. Nie zmieniliśmy naszej polityki, mimo że Polska i UE nie zdecydowały się dotychczas na objęcie embargiem rosyjskiego gazu płynnego. W efekcie niektóre polskie firmy nadal prowadzą go z Federacji Rosyjskiej po niższych cenach, co ekonomicznie premiuje te podmioty* – wyjaśnia Mateusz Kędziński, rzecznik prasowy firmy GASPOL.

Polska branża LPG podzieliła się na zwolenników embarga i przeciwników. Ewa Gawryś-Osińska, prezes GASPOL-u oraz POPG, przekonuje, że należy to zrobić i rynek jest na to gotowy. Poradzimy sobie bez rosyjskiego LPG, choć ceny autogazu nieco wzrosną. Andrzej Sikorski, prezes Unimotu – firmy, która wyrosła na imporcie produktów paliwowych ze Wschodu, a ostatnio kupiła część krajowej infrastruktury paliwowej Lotosu i Orlenu, jest zdania, że UE w tym roku wprowadzi embargo, więc nie ma się co tak spieszyć.

Osią konfliktu jest infrastruktura. Nikt nie obawia się, że LPG zabraknie, ale że nie będzie go jak dostarczyć. – *Duża część terminali przeładunkowych zlokalizowana jest na wschodniej granicy i była nastawiona na obsługę importu z Rosji i Białorusi. Mamy wprawdzie w portach pięć terminali morskich, ale brakuje dużych magazynów, w których można byłoby przechowywać LPG. Wąskim gardłem jest kolej, która nie jest w stanie zmienić kierunków transportu gazu* – wyjaśnia dyr. Kwiatkowski z POPG. Trudnym doświadczeniem była ostatnia zima, kiedy w Porcie Gdańskim trwał uwięziony LPG, którego nie można było wywieźć za bramę, bo na torach absolutne pierwszeństwo miał węgiel.

Dziś jakiegokolwiek pomysły dotyczące eliminacji taniego rosyjskiego LPG nie mają szans na realizację. Z powodów politycznych, czyli najważniejszych. Cena autogazu wzrosłaby o ok. 10 gr, co doprowadziłoby zapewne do wściekłości 3,5 mln kierowców. Nietrudno zgadnąć, że w tej grupie spory udział mają sympatycy PiS, bo autogaz jest szczególnie popularny na wsiach i w małych miastach. W sytuacji zbliżających się wyborów warto zadbać o ich dobrostan. Nawet płacąc pieniądze Putinowi. Może zajmie się tym komisja do spraw rosyjskich wpływów?

ADAM GRZESZAK

Program: Pogrom Promów

Czy Polacy kupią propagandowy kit,
że rządowy program budowy promów jednak ma się dobrze?

RYSZARDA SOCHA

Ministerstwo Infrastruktury 1 sierpnia obwieściło sukces: budowa pierwszego promu w programie „Batory” jest zaawansowana już w 58 proc. „Postęp w budowie polskich jednostek pływających jest symbolem odradzającego się przemysłu okrętowego, a co za tym idzie realizacji naszej wizji budowy silnego kraju o silnych fundamentach przemysłowych. Dzięki realizacji tego przedsięwzięcia polska branża promowa i stoczniowa uzyskuje silną i ugruntowaną pozycję rynkową” – to już Marek Gróbarczyk, wiceminister infrastruktury odpowiedzialny za gospodarkę morską.

Wcześniej Gróbarczyk odwiedził stocznnię w Gdańsku, po czym radośnie „ćwierknął”: „A dziś zapragnąłem zadać kłam wszystkim fake newsom i pomówieniom! Chcę abyście Państwo zobaczyli i wiedzieli, że budowa promów ma się bardzo dobrze i idzie pełną parą! Ich powstanie to sól w oku opozycji ale... chyba się z tym jakoś pogodzą”.

Sępka show

Problem w tym, że pierwszy prom już dawno powinien pływać. Miał powstać do końca 2020 r. w Szczecinie. Czyżby wiceminister miał amnezję. A przecież trudno zapomnieć pompę, z jaką w czerwcu

2017 r. inaugurowano w Szczecinie zapowiadany wcześniej plan dźwignięcia „stoczni w ruinie”. Mateusz Morawiecki, wtedy wicepremier, i Joachim Brudziński, wtedy szef MSWiA, oraz Gróbarczyk uroczyście przybijali w Szczecinie na pochylni Wulkan pamiątkową tabliczkę do czegoś, co zaprezentowano jako stępkę pod budowę pierwszego z promów. Program „Batory” obejmował wprawdzie więcej elementów, ale ten prom samochodowo-pasażerski (ro-pax) miał być jego sztandarowym produktem.

Promy z „Batorego” najpierw miały wzmocnić flotę państwowych przewoźników promowych, a potem stać się ►

► produktem eksportowym polskich stoczni. Tych, które przegrały konkurencję ze stoczniami na Dalekim Wschodzie, gdzie proste statki budują szybciej i taniej.

Czy pomysł z promem faktycznie był szansą na znalezienie produkcyjnej niszy? A jeśli tak, to na jak długo? Specjaliści nie byli zgodni. Chińczycy już zajmowali i to pole produkcji. Może gdyby polski ro-pax powstał szybko, sprawnie i w przystępnej cenie, byłby z niego pożytek. Tak się nie stało, bo politycy PiS zaangażowali się najpierw w zmiany kadrowe oraz w to, co im wychodzi najlepiej – mamienie opinii publicznej.

Tu kłania się sławetna stępka. Grzegorz Huszcz, były prezes Szczecińskiego Parku Technologicznego (obecnie Stocznia Szczecińska Wulkan) oburza się, gdy słyszy słowo „stępka”. – *Nie nazywajmy tego żelaztwa stępką* – powiada. – *Żeby stępka była stępką, musi być elementem zaprojektowanego statku. Wtedy nie było jeszcze projektu. Kilkaset tysięcy złotych poszło w błoto. Bo to „coś” nadaje się tylko na złom.*

O tym, że nie ma projektu i finansowania, ludzie z branży wiedzieli od początku. Choć część wciąż liczyła, że jakoś to będzie. Zwłaszcza w Szczecinie, którego stocznie miały najbardziej skorzystać. Szumne zapowiedzi powstania „największej grupy stoczniowej nad Bałtykiem” i że to „początek pisania historii przemysłu okrętowego w Szczecinie na nowo” mogły zamącić w niejednej głowie. Ale do końca 2020 r., kiedy prom miał być gotów, nie powstał nawet jego projekt.

Politycy PiS branżę okrętową hurtem opisywali hasłem „stocznie w ruinie”, choć duża ich część funkcjonowała zupełnie niezłe. Jednak żadna polska stocznia nie budowała tak dużych promów jak ten z programu „Batory”. Doświadczenie, choć ze znacznie mniejszymi promami, miała prywatna Remontowa Shipbuilding z gdańskiej grupy Remontowa. I początkowo powołano konsorcjum szczecińsko-trójmiejskie (Remontowa, Nauta, Gryfia, Szczeciński Park Przemysłowy). A potem wyszło, że prom na pochylni Wulkan zbuduje Morska Stocznia Remontowa Gryfia, najmniej przygotowana do takich wyzwań. Zapewne chodziło o gest wobec Szczecina, skąd wywodzą się Gróbarczyk i jego protektor Brudziński.

To z Gryfią zawarła kontrakt Polska Żegluga Bałtycka, do której miał trafić pierwszy z serii statek.

Rezultat znamy – wyznaczano kolejne terminy realizacji promu, by za moment je przesunąć. Nic się nie działo. Tylko nieszczęsna „stępka” rdzewiała, rzucając cień na wielkie rządowe przedsięwzięcie.

Aż 1 lutego 2021 r., odpowiadając na interpelację jednego z posłów, wiceminister Gróbarczyk obwieścił, że w związku z opóźnieniami PZB wycofała się z umowy z Gryfią. Została powołana spółka Promy Polskie, która będzie koordynować budowę. Ona także zajmie się „wyborem polskiej stoczni lub grupy polskich stoczni zainteresowanych realizacją projektu budowy promów”.

Lata w dokach

W stoczniach państwowych to zresztą niejedyny przykład ślamazarności, która „zabija” poszczególne projekty. Ślimaczy się budowa nowego pływającego doku dla stoczni Gryfia przez stocznice Wulkan. Dok to konstrukcja, która pozwala podnieść statek ponad powierzchnię wody, by wyremontować jego część podwodną. Pierwotny termin wykonania kontraktu na dok wypadł w maju 2022 r. Tu opóźnienia tłumaczono pandemią i związanymi z nią zawirowaniami, ale też wojną w Ukrainie, która rozpoczęła się 24 lutego 2022 r., 3 miesiące przed pierwotnym terminem ukończenia budowy. Umowę aneksowano – dok i głębia dokowa (miejsce, żeby dok mógł się zanurzać i wynurzać) mają powstać najpóźniej do końca III kwartału 2024 r. Z tym że budowa głębi to już zadanie Gryfii. Ale w Planie modernizacji stoczni Gryfia na lata 2020–30 przyjęto, że w doku już w 2022 r. będą remontowane statki. Przychody z tego tytułu (np. w 2022 r. – 45 mln zł, w 2023 r. – 49,5 mln zł) miały stanowić główny czynnik poprawy sytuacji finansowej spółki.

– *A prywatna stocznia Pomerania już się dorobiła doku i głębi, chociaż jej właściciel grupa Net Marine rozpoczęła budowę grubo po tym, jak stocznice Wulkan i Gryfia niby wystartowały z państwowym dokiem* – mówi Rafał Zahorski, pełnomocnik marszałka województwa zachodniopomorskiego ds. gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej.

Stocznia Gryfia rekordy opóźnień bije w związku z remontem okrętu desantowego ORP „Lublin”. To jeden z kontraktów zawartych poniżej kosztów. W lutym 2023 r. minęło 5 lat od momentu rozpoczęcia remontu jednostki, która za PRL powstała w niecałe dwa lata (3 okręty z tej serii zbudowano w ciągu 3 lat). Chwilę po przypomnieniu tej rocznicy pojawiła się informacja, że ORP „Lublin” rozpoczęła próby zdawczo-odbiorcze. I znów zaległa cisza. Pomyśleć, że ta stocznia miała zbudować lokomotywę, która pociągnie całą branżę. Coś tu nie gra.

Nadzorowi właścicielskiemu państwa nad jego spółkami stoczniowymi

przyjrzała się niedawno NIK. Jej raport, upubliczniony 31 maja, obejmuje lata 2019–21. Kluczowe wnioski: „Brak strategii dla przemysłu stoczniowego, która mogłaby umożliwić trwałą rentowność stoczni, brak stałego finansowania oraz zła sytuacja finansowa stoczni świadczą o złym nadzorze Skarbu Państwa nad spółkami stoczniowymi”.

Dwie z państwowych stoczni były nierentowne w całym kontrolowanym okresie (2019–21), kolejna notowała straty netto, począwszy od 2020 r. Strata Stoczni Wójceniowej za 2021 r. (tylko 20,4 mln zł) byłaby wyższa, gdyby nie wpływy ze sprzedaży majątku. Stocznia Gryfia wprawdzie wykazała w 2021 r. zysk, jednak nie za sprawą aktywności produkcyjnej, tylko w wyniku sprzedaży majątku. Gdyby nie zbycie terenów po zlikwidowanym oddziale w Świnoujściu (za 58 mln zł na rzecz państwowego Zarządu Morskich Portów Szczecin Świnoujście), byłby to rok na sporym minusie. A tak dyrektor naczelny Gryfii chwalił się w propisowskich mediach wypracowaniem prawie 24 mln zł zysku i że „to najlepszy wynik w historii przynajmniej ostatnich kilkunastu, jeżeli nie kilkudziesięciu lat”. Wspomniany wcześniej Rafał Zahorski porównał to do sytuacji, w której by ktoś sprzedał własną nerkę.

„Skumulowane straty stoczni objętych skonsolidowanymi sprawozdaniami finansowymi grup kapitałowych kontrolowanych spółek Skarbu Państwa zwiększały się z roku na rok i na koniec 2021 r. wyniosły (-) 1,2 mld zł (łącznie z wynikiem za ten rok)” – czytamy w raporcie pokontrolnym NIK.

Prywatne góry

Stocznie nadzorowali ludzie, którzy spełniali wymogi formalne, ale 94 proc. z nich (wg NIK) nie miało doświadczenia w tej branży. Do zarządów stoczni trafiali ludzie z politycznego rozdania, jak Krzysztof Zaremba, prezes Gryfii, który dostał tę posadę po tym, jak odpadł w wyborach do parlamentu. To w Gryfii (znów wg NIK) zresztą doszło do wypłaty zarządowi stoczni nienależnych premii.

Po takim raporcie prezes Zaremba powinien się spalić ze wstydu. On tymczasem w mediach Orłenu zapewnia, że Gryfia „jest zawodnikiem, który biegnie o własnych siłach”, a NIK „oszczędnie gospodaruje prawdą”.

Prywatne stocznie wynalazły sobie różne nisze i wypracowały w nich markę. To, co budują, może niektórych zaskakiwać. Gdańska Stocznia Remontowa dokonuje specjalistycznych przebudów statków na np. kablownce – jednostki do układania,



Słynna stępka, która nie wiadomo, czym była i do czego miała służyć.

© ROBERT STACHNIK/REPORTER

naprawy i serwisowania kabli podmorskich. Gdyński Crist, prócz dwustronnych promów o napędzie hybrydowym, buduje skomplikowane specjalistyczne barki, tzw. podsypkowce. Mają służyć do budowy zatapialnego tunelu (kesony), który skróci czas podróży (kolejowej i drogowej) między Danią a Niemcami. Wcześniej stocznia zbudowała jednostkę Zourite, wykorzystaną do budowy wiaduktu morskiego na wyspie Reunion, a także dok Marco Polo do budowy kesonów, dzięki którym powiększyło swój obszar Księstwo Monako.

Jerzy Czuczman, ekspert związany z organizacjami pracodawców branży stoczniowej, na podstawie danych GUS oraz KRS od kilku lat opracowuje raporty dotyczące tego segmentu gospodarki morskiej. Przychody branży stoczniowej z roku na rok sukcesywnie rosną (wyłączając pandemiczny rok 2020) – od 9,63 mld zł w 2017 r. do 13,28 mld zł w 2021 r. Jednak udział państwowych stoczni w tym „torcie” maleje. W 2017 r. wynosił 11 proc., w 2021 r. – 4 proc.

I to mimo setek milionów złotych łądowanych w stocznie. Mimo programów naprawczych i posiadanych aktywów (nabrzeża, pochylnie, doki, hale, dźwigi), które mogłyby pracować, a gołym okiem widać, że tego nie robią. Huszcz i Zahorski wskazują różne fragmenty niepracującego mienia, które pewna prywatna stocznia w Szczecinie próbowała kupić, ale zgłosił się państwowy zarząd portu i skorzystał z prawa pierwokupu.

W raporcie Czuczmana sytuacja branży jako całości rysuje się nieźle. Z jednym zastrzeżeniem – polskie stocznie opuszcza

mało jednostek w pełni wyposażonych. Lwia część to tzw. kadłuby doposażane później w innych stoczniach. Ekspert wiąże to w dużej mierze z brakiem spójnego i wiarygodnego systemu finansowania produkcji stoczniowej.

Nawiasem mówiąc, w 2017 r. rząd deklarował stworzenie takiego systemu. Dlaczego nic z tego nie wyszło? Pewne jest, że tego nie da się tak sprzedać medialnie jak nieszczyśną „stępkę”. Teraz jednak cięży ona politykom PiS niczym kamień u nogi. Choć Małgorzata Jacyna-Witt, działaczka PiS w Szczecinie, członkini stoczniowych rad nadzorczych, twittowała swego czasu: „Srał kot tę stępkę”, to przypomina do jej złomowania spełza na niczym. W lutym 2022 r. PŻB zaferowała ją firmom złomowym po 2 zł za kilogram. Ale sprawę podchwyciły media. Skończyło się oświadczeniem PŻB, że oferta została „zinterpretowana niezgodnie z intencją”.

Miliard popłynął

Stępka przypomina o przeszłości, którą politycy PiS chcieliby wygumkować. 26 listopada 2021 r. został podpisany nowy kontrakt na budowę promów. Spółka Polskie Promy (udziałowcy – Skarb Państwa i PŻM) została dokapitalizowana przez państwo kwotą 1 mld zł. Trzy jednostki (195 m długości i 32,2 m szerokości) plus ewentualnie czwarta mają powstać w Remontowej Shipbuilding w Gdańsku. I to tymi promami chwali się teraz wiceminister Gróbarczyk. Jeden jest w trakcie budowy, drugi niedawno rozpoczęto. Ten pierwszy ma być oddany na przełomie 2024 i 2025 r. Ale kiedy faktycznie będzie? I za jakie pieniądze?

To kwestie kluczowe dla polskich armatorów promowych. Czekać na krajowy prom, nie mieli szansy odnowienia w porę swojej floty. Teraz, żeby częściowo załatać dziurę, włoska stocznia buduje prom z przeznaczeniem pod czarter dla PŻB. Ma zostać wprowadzony na linię Świnoujście–Ystad w przyszłym roku.

– Kiedy startował program „Batory”, Stena Line zaczynała program wymiany promów, i te cztery promy wybudowane w Chinach już płyną, w tym na linii Gdynia–Karlskrona, a nasz jest na etapie budowy bloków – mówi Jacek Jaszowski, ekspert związany z Krajową Izbą Gospodarki Morskiej. – Na trasie Świnoujście–Trelleborg dominującą rolę zaczyna odgrywać TT-Line. Odbudowa stoczni produkcyjnych się nie udała, a nasi armatorzy promowi tracą rynki, choć żaden się do tego nie przyzna.

Stena Line to armator skandynawski, TT-Line – niemiecki. A na horyzoncie podobno widać już następnych chętnych. I nawet jeśli zarządy polskich spółek promowych, podobnie jak pisowscy notable, robią dobrą minę do złej gry, to w bawelnię nie owijają związkowcy z PŻB i z Unity Line (spółka-córka PŻM). Toteż gorąco było podczas posiedzenia sejmowej komisji gospodarki morskiej poświęconego żegludze promowej. Propaganda sukcesu zderzała się z bolesną prawdą. – Proszę państwa, nie wiem, czy frakcja niemiecka podstuchuje, ale spadki przewozów są dramatyczne. Nie wiem, z czego będziemy płacić za nowy prom – mówił Eugeniusz Matuszczak, przewodniczący związku w PŻB.

A wszystko zaczęło się od beztróskiego „Stępka Show”.

RYSZARDA SOCHA



Spór o jedną tablicę

Demontaż pomnika
Aleksandra Puszkina
w Dniprze, grudzień 2022 r.

Rozmowa z Antonem Drobowyczem, szefem Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, o tym, jak się bić na wojnie kulturowej z Rosją. I skąd tarcia z Warszawą.

PAWEŁ RESZKA: – **Pan jest ranny?**

ANTON DROBOWYCZ: – Odłamek ranił mnie w rękę. W porównaniu z ranami, jakie widziałem w szpitalach, moją można nazwać zadrapaniem.

Co filozof robi na froncie?

Służę w wojskach szturmowo-desantowych, jestem operatorem drona zwiadowczego. Mój oddział walczy na południu.

Jaka jest wojna?

Wojna to ciemność. Nasi dziadkowie mówili, że jest straszna. I mieli rację. Gdyby nie to, że trzeba bronić ojczyzny, nie zdecydowałbym się na służbę. Z drugiej strony dzięki wojsku poznałem wielu godnych szacunku ludzi, z którymi służę. Warunki są niewiarygodnie trudne. Cały wysiłek kraju skierowany jest na front. Ważną rolę odgrywa pomoc sojuszników, Zachodu, Polski. Należą się wam wielkie podziękowania.

Jeśli spytałbym pana o jeden obraz z wojny?

Okop w deszczu. Głina, kałuże brudnej wody. Broń, kamizelka kuloodporna. Wszystko ciężkie, nasiąknięte, wilgotne. A przed okopem niewiarygodnie piękne pole. Kontrast. Okop – dzieło rąk człowieka. Pole – dzieło Boga.



Sporna tablica pamięci na górze Monasterz koło wsi Werchrata.

Zaczął pan wojnę w obronie terytorialnej.

W Kijowie, w plutonie obrony przeciwpancernej.

Jest pan urzędnikiem państwowym wysokiej rągi.

Mógł pan się wykreślić od wojska.

Urzędnicy tzw. kategorii A, do której należę, mogą ubiegać się o zwolnienie od mobilizacji. Byłem jednak rezerwistą, który podlegał mobilizacji w pierwszej kolejności, a żołęgi przeciwnika były pod Kijowem. Załatwianie zwolnienia od wojska w takiej chwili byłoby nieprzyzwoite.

Jak panu udaje się łączyć pracę w Ukraińskim Instytucie Pamięci Narodowej (UINP) ze służbą wojskową?

Praca w instytucie stała się raczej dodatkowym zajęciem. Wiele zadań przekazałem mojemu zastępcy. Niektórych, tych najbardziej skomplikowanych, nie mogłem jednak zostawić. Zresztą z delegowaniem zadań też jest problem: oprócz mnie wojuje jeszcze 10–15 moich podwładnych, to jest ok. 20 proc. zatrudnionych.

Mój kolega, deputowany do Rady Najwyższej, mówi:

„W budżecie państwa mamy w zasadzie tylko jeden punkt: »wojna«. Macie środki na działalność?”

Mamy pieniądze na płace. Natomiast finansowanie projektów zostało ograniczone do miliona hrywien rocznie (ok. 110 tys. zł). Starcza na kwiaty i wieńce.

A przecież Rosjanie nie tylko walczą na froncie.

Kradną też eksponaty muzealne, bombardują teatry, terroryzują nauczycieli.

Ta wojna ma charakter ludobójczy. Rosjanie chcą nie tylko zlikwidować Ukraińców fizycznie. Chcą także wykorzenić ukraińskość. Zastąpić ją „russkim mirem”. Nauczyciele, ludzie kultury są im potrzebni, bo mogą wpływać na innych. Zachęcać do oporu. Dlatego trzeba ich przeciągnąć na swoją stronę, zlikwidować, zastraszyć.

Rosja chce zakończyć tę wojnę likwidacją albo kolonizacją Ukrainy?

Zgadza się. Wielu ekspertów zajmujących się drugą wojną światową znajduje paralele między nazistowską polityką Niemiec i obecną rasistowską polityką Rosji. Pojęcie „russkij mir” to odpowiednik Lebensraum, przestrzeni życiowej w ideologii nazistów. Dla Rosji to nie jest nic nowego. W czasach imperium rosyjskiego czy sowieckiego robiono wszystko, by niszczyć tożsamość innych narodów. Rosja zabija. Rozdaje paszporty. Zmusza do kochania „nowej ojczyzny”. Niszczy świadectwa naszej kultury.

Prowadzicie wojnę z bezwzględnym przeciwnikiem. Może – z czysto pragmatycznego punktu widzenia – Ukraina powinna się zgodzić na prace ekshumacyjne i poszukiwawcze polskich ofiar na Wołyniu? Po co wam kolejne problemy?

Nie ma przeszkód politycznych, ideologicznych do przeprowadzania takich prac. Jeśli gdzieś są szczątki Polaków, którzy zginęli z rąk zbrojczyńców, należy ich upamiętnić i pochować, ale... jest problem proceduralny. Mamy międzynarodowe porozumienie, które reguluje, jak takie czynności mają być przeprowadzane. Polska strona go nie przestrzega. Gdy zacznie, wszystko wróci do normy.

Rozumiem, że problemem jest podejście polskiej strony do upamiętnienia Ukraińców, członków UPA pochowanych na górze Monasterz koło wsi Werchrata.

Polska i Ukraina omówiły się, że będzie tam tablica. Treść napisu została uzgodniona, wypisano tam 62 nazwiska poległych, upamiętnienie zostało sfinansowane przez stronę polską. W 2020 r. zostało zniszczone przez wandalów. Płytkę rozbito młotami, jej szczątki leżały w krzakach. Następnie na mogile pojawiła się tablica z innym napisem. Nie godzimy się na to. Chcemy powrotu do tego, na co się umówiliśmy.

I nie będzie pozwoleń na prace poszukiwawcze i ekshumacyjne, póki na górze Monasterz nie zostanie przywrócona dawna tablica z 62 nazwiskami?

W Ukrainie zgody na prace poszukiwawcze czy ekshumacyjne wydaje międzyresortowa komisja, w skład której wchodzi przedstawiciele ministerstwa kultury, MSZ, MSW, a także naszego Instytutu. Decyduje cała komisja, w której mamy przedstawiciela. Jeśli nie będzie wypełnione zobowiązanie w sprawie upamiętnienia na górze Monasterz, to jako Instytut będziemy rekomendowali, by komisja nie wydawała polskiej stronie zgód na prace poszukiwawcze i ekshumacyjne.

Spodziewał się pan takiego sporu, gdy obejmował stanowisko szefa Instytutu?

Na początku zauważyłem, że sprawy upamiętnień rozwiązywane są na zasadzie pakietowej. To znaczy jedna strona realizuje swoje zobowiązania w sprawie określonych miejsc pamięci, druga strona realizuje swoje. Potem przechodzimy do kolejnego pakietu. Trochę mnie to dziwiło.

Dlaczego?

Pomyślałem, że stosunki są naprawdę złe, skoro trzeba się uciekać do takich rozwiązań. Najprostsze byłoby przecież uporządkowanie wszystkich polskich miejsc pamięci w Ukrainie i ukraińskich w Polsce. Jeśli chodzi o prace ekshumacyjno-poszukiwawcze, to na problem zwracał mi uwagę sam prezydent Wołodimir Zeleński. Mówił: „Polska przysłała prośby, komisja międzyresortowa nie odpowiada. Nic nie posuwa się do przodu”. Zaproponowałem więc, żeby wyjść naprzeciw oczekiwaniom Polski i wydać kilka zgód. Zrobiliśmy to. Przypomnę, że tablica na górze Monasterz już wtedy była zniszczona.

Apelował pan o jej odbudowę?

Na pierwszym spotkaniu pytałem polskich partnerów: „Dlaczego nie odbudowujecie tablicy?”. Zapewnili, że to zrobią. Takie same słowa usłyszałem od ambasadora RP w Kijowie. Po roku pojawiła się jednak inna płyta nagrobna, bez nazwisk, z treścią, na którą się nie umawialiśmy. Byłem zaskoczony. My tu wydajemy zgody, a partnerzy nie dochowują zobowiązań.

Pytał pan, o co chodzi?

Oczywiście, ale odpowiadało mi milczenie. Na następnych spotkaniach polska strona znów wnosiła o zgody na kolejne prace. Gdy pytaliśmy o nasze prośby, mówiono: „Na razie nie udało się tego załatwić”. To przykre, że nie daje się dogadać w sprawach najbardziej oczywistych. Znam miejsca w Polsce, gdzie między zniszczonymi ukraińskimi grobami wałęsają się zwierzęta. Miejscowa ukraińska społeczność bezskutecznie zwraca się do lokalnych władz o zgodę na postawienie choćby drewnianego płotu.

Mówił pan, że rosyjska agresja nosi charakter ludobójczy.

A Wielki Głód w Ukrainie był ludobójstwem?

Tak, wypełnia definicję ludobójstwa Rafała Lemkina. Mamy w tej sprawie ekspertyzy, decyzje sądu.

Bucza?

Były tam działania noszące znamiona ludobójstwa. Osobiście skłaniam się ku tej tezie. Jednak potrzeba jeszcze badań, dowodów i ekspertyz.

Jak nazwałby pan to, co działo się na Wołyniu w 1943 r.?

Nazywamy to „wołyńską tragedią”.

To ludobójstwo?

Można to nazwać zbrodnią wojenną, czystką etniczną. A czy ludobójstwem? Uzbrojeni wojskowi zabijali ludność cywilną, więc zbrodnia wojenna na pewno. Ludobójstwo to kwalifikacja prawna. Nie użyję tego określenia, bo ciągle trwa dyskusja fachowców w tej sprawie. Na pewno mogę powiedzieć, że to była zbrodnia, o której nie wolno zapomnieć. To ból, który nie ►



© FACEBOOK

Anton Drobowycz (rocznik 1986) – kijowianin, filozof i wykładowca, specjalista od komunikacji. W grudniu 2019 r. wygrał konkurs na szefa Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej, na którym to stanowisku zastąpił Wołodomyra Wjatrowyca. Wcześniej pracował m.in. w fundacji dokumentującej niemieckie zbrodnie w Babim Jarze i doradzał ministrowi edukacji i nauki. Po rosyjskiej agresji z lutego 2022 r. jako rezerwista trafił do 112. brygady Obrony Terytorialnej Kijowa.

► ma przedawnienia, więc osobiście odczuwam potrzebę, by prosić o wybaczenie.

W 80. rocznicę mordów na Wołyniu UINP wydał oświadczenie, w którym użyłście historycznej formuły „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”.

To, mam wrażenie, nie zadziałało.

Nie zgadzam się. Może ta formuła nie zadziałała na poziomie politycznym, jednak na poziomie społecznym – owszem tak. Nasz Instytut dostaje nawet listy od Polaków utrzymane w tym duchu. Słów tych używają na konferencjach profesorowie... Ale zgadzam się, że konsensu nie ma. Szczególnie po stronie polskiej widać wątpliwości co do tej formuły. Jest dla mnie oczywiste, że kryje się za tym ból, którego nie można bagatelizować.

We wspomnianym oświadczeniu UINP znalazł się też taki fragment: „Uznajemy wkład Organizacji Ukraińskich Nationalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii w walkę Ukraińców o państwowość i niepodległość. Jednocześnie ci, którzy brali udział w zabijaniu ludności cywilnej, nie mogą być bezwarunkowo heroizowani i uniknąć potępienia”. Można to odnosić do wysokich rangą dowódców UPA?

Oczywiście. Jeśli jakiś dowódca UPA dokonywał zbrodni na ludności cywilnej albo takie wydawał rozkazy, powinno być to podawane do powszechnej wiadomości. Gdy pojawią się próby heroizowania takiej postaci, należy mówić jasno całą prawdę: „Bohater walki o niepodległość, który był sprawcą czystek etnicznych”. Przykłady znajdziemy po każdej ze stron. Myślę np. o Stanisławie Basaju, żołnierzu ZWZ i BCh. To, jak wysokie stanowisko sprawowała dana osoba, nie ma znaczenia.

Nawet jeśli mówimy o Romanie Szuchewyczu, dowódcy UPA? Nie powinno być wyjątków.

Na wschodzie Ukrainy odwiedziłem kiedyś małe, miejskie muzeum. Pierwsza sala dotyczyła bohaterów Armii Czerwonej, druga bohaterów UPA, trzecia „niebiańskiej sotni”.

Jesteśmy zdrowym społeczeństwem. Rozmawiamy o bohaterach, o tożsamości. Przykład muzeum, który pan podał, jest ciekawy. Zdarzało się, że ludzie z jednej wsi służyli w UPA i bagnietami wprowadzali ustrój komunistyczny. Trzeba to pokazywać, wyjaśniać, dlaczego tak było.

Prof. Jarosław Hrycak w jednym z esejów napisał, że Stepan Bandera dzieli Ukrainę i jej sąsiadów, ale i samych Ukraińców.

Powiedziałbym, że postać Bandery łączy Ukraińców w tym sensie, że niewiele o nim wiedzą. Nie czytają jego prac.

Chyba w 2014 r. spytałem znajomego górnika spod Doniecka, co mu się nie podoba w Majdanie, w rewolucji? „To, że przyjdzie do nas zachodnia Ukraina i postawi tu pomnik Bandery”.

Jestem przekonany, że pana rozmówca miał blade pojęcie o Banderze. Zresztą – jak wspomniałem – niewiedza „jednoczy” wielu. Tych, którzy śpiewają „Batkó nasz Bandera”, i tych, którzy – jak ten górnik – uważają Bandere za uosobienie zła.

Co zmieniła wojna w postrzeganiu tej postaci?

Bandera jest dziś symbolem sprzeciwu wobec Rosji, walki z imperium. Badania opinii publicznej mówią, że pozytywnie ocenia go ponad 80 proc. respondentów. Stał się postacią jednoczącą, choć – powtórzę – większość niewiele o nim wie.

Ukraińcy w czasie wojny jednoczą się też wokół języka i – szerzej – wokół kultury. Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego jest w defensywie.

Trudno pogodzić się z tym, że patriarcha Moskwy i Wszechrusi, któremu podlega Cerkiew Patriarchatu Moskiewskiego, błogosławi rakiety spadające nam na głowy. W tej sytuacji większość przestanie popierać tę Cerkiew albo przynajmniej się od niej zdystansuje. Podobnie z językiem: wielu przechodzi na ukraiński, bo czują, że ktoś chce nam go odebrać. W tym wszystkim chodzi o wolność. Może nie mamy najlepszych polityków. Może nasi ekonomiści nie są najzdolniejsi. Ale jesteśmy wolnymi ludźmi. Bronimy swojego sposobu życia. Prawa do tego, by mieć tych, a nie innych bohaterów. Stawiać takie, a nie inne, pomniki. Ukraińcom Ukraina kojarzy się z wolnością. To duży sukces. Jednak uważam, że czeka nas potężna praca w sprawie tożsamości.

Przyjęta właśnie ustawa o dekolonizacji ma umacniać tożsamość?

To ustawa o pozbywaniu się z przestrzeni publicznej symboli rosyjskiego imperium i jest działaniem obronnym. Na przykład w Kijowie mamy ileś pomników i parków Puszkina. Natomiast żadnego pomnika Cervantesa. Czy Puszkina dla kijowian jest ważniejszy niż Mickiewicz? Szekspir? Jest jednym z symboli, które sprawiają, że rosyjskość w Ukrainie jest normą. Tymczasem rosyjskość jest czymś, co zostało nam narzucone.

Pytanie, gdzie jest granica? Co zrobić z Mikołajem Gogolem? Z Michaiłem Bułhakowem?

Granice powinno się określać na poziomie eksperckim. Niech wyznaczają je znawcy Gogola i Bułhakowa. Bułhakow nie lubił Ukrainy? Tak. Gogol mówił Szewczenko, że należy asymilować się z Rosją? Tak. Ale czy to wystarczy, by demontować ich pomniki? Takie postaci powinny pozostać w przestrzeni publicznej. Jednak nie mogą jej zdominować. Są ważniejsze dla nas osoby.

Nie ma pan wrażenia, że rosyjska kultura tu, w Ukrainie, popęlnia samobójstwo?

Myślę, że w tym stwierdzeniu jest sporo racji. Można spojrzeć też szerzej. Rosja przez lata grała w geopolityczne szachy. Potrafiła przekonać zachodnich partnerów np. do takich projektów jak Nord Stream. Być może, gdyby nadal stosowała taką strategię, za 50 lat nie poznalibyśmy krajów, w których żyjemy. Ale nie starczyło im cierpliwości. Dziś Moskwa zamieniła szachy na boks. To, co robiła przy szachownicy, chce załatwić za pomocą pięści. I jest to działanie samobójcze.

Dzień po wojnie Ukraina będzie musiała się zmierzyć z ogromną skalą zniszczeń i żałobą po poległych. A jaka będzie po 5–10 latach?

Z odbudową jakoś sobie poradzimy. Po tym wszystkim, co nas spotkało, najważniejsze, żebyśmy byli krajem dobrych ludzi, którzy potrafią się uśmiechać.

ROZMAWIAŁ PAWEŁ RESZKA

MARIUSZ ZAWADZKI

Płonące maki

Wielki pożar, który unicestwił Lahainę – zdaniem wielu najładniejsze miasteczko na całych Hawajach – na nowo rozpałił wśród wyspiarzy strach przed złodziejami ziemi.



Tyle zostało z miasta Lahaina.

Telefony rozdzwoniły się już kilka dni po katastrofie, zanim jeszcze policzono zwęglone ciała i dogaszono ostatnie ogniska pożaru. Do ocalonych pogorzalców z Lahainy, położonej na hawajskiej wyspie Maui, dzwonią biura nieruchomości. Oferują, że odkupią ich wypalone działki. Po co czekać kilka lat, zanim miasto się odbuduje, skoro można wziąć dobre pieniądze i wyprowadzić się gdzie indziej? Szkoda życia!

Na Instagramie wstrząśnięta kobieta mówi, z trudem powstrzymując łzy: „Jak śmiecie robić to naszej społeczności?! Wiele rodzin, które znam osobiście, dostało takie telefony... Zwracam się do wszystkich ocalonych: jeśli do Was dzwonią, to zapytajcie ich, skąd, z jakiej firmy, i przekażcie nam ich dane, żebyśmy mogli ich publicznie napiętnować!”

Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, doliczono się już co najmniej 111 zabitych, ale wciąż pozostawało ponad tysiąc zaginionych. Płomienie, napędzane przez silny wiatr osiągający w porywach ponad 100 km/h, strawiły ponad 2,2 tys. budynków. System ostrzegawczy nie zadziałał, ludzie mieli maksymalnie kilka minut, żeby uciec przed płomieniami w fale wzburzonego oceanu. To największy pożar nie tylko w historii Hawajów, ale jeden z kilku najtragiczniejszych w historii całych Stanów Zjednoczonych.

W mediach społecznościowych mnożą się teorie spiskowe. Być może pożar wywołali inwestorzy, którzy chcą odkupić za bezcen zniszczone miasto i wybudować na jego zgliszczach hotele dla turystów lub rezydencje dla multimilionerów... Na Twitterze krąży zdjęcie laserowego promienia, który nocą spada z nieba i wbija ►

► się w Lahainę [zdjęcie jest autentyczne, ale przedstawia start rakiety kosmicznej w Gujanie Francuskiej, uchwycony na długim czasie otwarcia migawki – przyp. red.]

Być może do spisku należy Oprah Winfrey, gwiazda amerykańskiej telewizji, która wiosną br. kupiła na Maui kilkadziesiąt hektarów ziemi, ale jeszcze jej mało... Wkrótce po pożarze 69-letnia Winfrey została sfilmowana na sali gimnastycznej, gdzie koczowali pogorzelnicy, jak rozdawała im poduszki i koce. W mediach społecznościowych dominowały komentarze negatywne w stylu: „Jeśli naprawdę chcesz pomóc, to po prostu oddaj nam naszą ziemię...”

Gubernator Hawajów Josh Green zapowiedział, że władze stanowe powstrzymają spekulantów, którzy chcieliby się dorobić na nieszczęściu. „Dopilnujemy, żeby nikt spoza stanu, żadne osoby ani firmy nie mogły kupować ziemi w Lahainie, dopóki nie opanujemy sytuacji. I dopóki sami nie zdecydujemy, czym miasto ma być w przyszłości” – mówił dziennikarzom.

Jedno jest pewne: Lahaina nie będzie już tym, czym była dotąd. Spłonął m.in. najstarszy budynek na wyspie Maui, zbudowany przez pierwszych misjonarzy w 1835 r. Spłonęła cała historyczna Front Street, czyli główna ulica wzdłuż wybrzeża, w ostatnich latach coraz bardziej „cepeliowska”, ale mimo wszystko urokliwa, bo szczęśliwie wolna od betonowych wieżowców, które oszpeciły Honolulu. Spłonęły nadbrzeżne restauracje, z których okien można było zimą obserwować wieloryby.

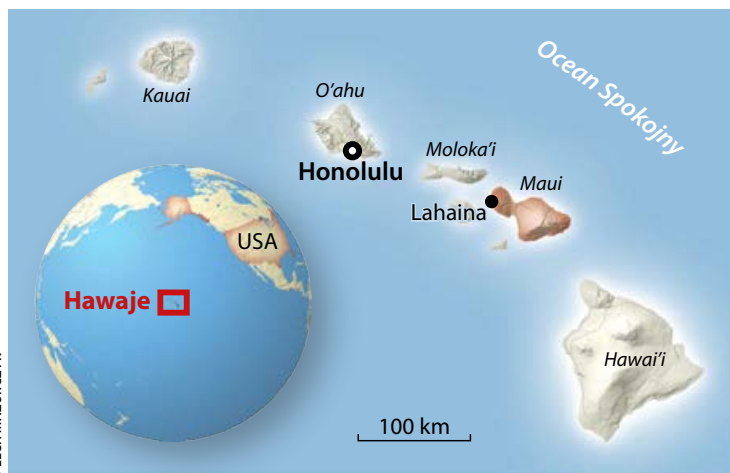
Niepewny jest los najsynnniejszego drzewa na całych Hawajach – figowca bengalskiego sprowadzonego z Indii w 1873 r. Ten gigantyczny okaz rośnie głównie wszcz, pokrywa cieniem obszar prawie jednego hektara. Przypomina raczej lasek kilkunastu splecionych gałęziami drzew niż jedno drzewo, bo wypuściło z gałęzi liany, które ukorzeniły się w ziemi i stworzyły dodatkowe pnie podtrzymujące całą roślinę. Po pożarze figowiec ma zwęgloną korę i spalone liście, nie wiadomo, czy uda się go utrzymać przy życiu.

Jednym z poszkodowanych w pożarze jest Roman Czerwiński, malarz samouk z Polski, który zrobił w Lahainie niezwykłą karierę. Sprowadził się tutaj w połowie lat 80., kiedy jako młody chłopak uciekł z szarego, schyłkowego PRL. Początkowo był marszandem lokalnych artystów. – *Podglądałem, jak malują, i doszedłem do wniosku, że też bym tak potrafił* – opowiadał mi kiedyś ze śmiechem. Dlatego sięgnął po pędzel. Przez pierwsze lata uparcie i niestrudzenie malował polskie czerwone maki w różnych konfiguracjach: czasami pojedyncze, czasami ich całe łąki. Stały się jego wizytówką i znakiem rozpoznawczym na lokalnym rynku sztuki.

Rynek ten napędzany jest przez bogatych turystów, w szczególności przez pasażerów ogromnych statków wycieczkowych, którzy do samej Lahainy dopływają na mniejszych łodziach i w tamtejszych sklepach, galeriach i restauracjach desperacko starają się wydać nadmiarowe dziesiątki tysięcy dolarów. Za maki Czerwińskiego płacą czasami nawet po kilkanaście tysięcy dolarów! Zabierają je na pokład, a po powrocie z rejsu wieszają w domu, na ścianie w salonie, jako pamiątkę z Hawajów, gdzie oczywiście żadne maki nie rosną.

Czerwiński był gwiazdą galerii *Sergant's Fine Art* na Front Street, która całkowicie spłonęła. Byłem tam kilka razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat i obserwowałem jego ewolucję artystyczną. Ostatnio zaczął malować również cukierkowe pejzaże impresjonistyczne, żaglówki w porcie, romantyczne zachody słońca, zakochane łabędzie itp. Te również sprzedają się nieźle, ale czerwone maki wciąż pozostają przebojem nr 1.

„Większość moich dzieł spłonęła, ale niektóre mam w domu – zarówno oryginały, jak i reprodukcje z limitowanej edycji. Są



nadal w sprzedaży, zapraszam do kontaktu. Część dochodów w tym roku przekazę organizacjom non-profit, które będą odbudowywać Lahainę” – ogłosił artysta na swojej stronie.

Triumf polskich maków w Lahainie jest poniekąd zabawny, ale niekoniecznie dla rdzennych Hawajczyków. Bo przecież przybysze zza oceanu, którzy pojawili się tu prawie 250 lat temu, stopniowo odbierali im niemal wszystko. Do tego stopnia, że dziś już nawet pamiątki z Hawajów nie są oryginalnie hawajskie!

Zaczęło się od grabieży ziemi. Koncepcja jej własności w ogóle nie była znana Hawajczykom. Dopiero w połowie XIX w. król Kamehameha III, ulegając namowom plantatorów trzciny cukrowej, którzy przybyli z USA, zdecydował się uporządkować relacje ludzi z ich ziemią na modłę europejską.

Całe terytorium Hawajów zostało podzielone na trzy równe części: pierwszą król przyznał sobie, drugą – kacykom rządzącym w jego imieniu, a trzecią – wszystkim poddanym. Teoretycznie każdy miał prawo do działki, ale musiał się po nią formalnie zgłosić do urzędu. Niestety Hawajczycy nie rozumieli, co to własność, dlatego się nie zgłaszali. Ich ziemia została sprzedana na aukcjach wielkim plantatorom.

Kiedy plantatorzy kupili ziemię, potrzebowali robotników, żeby uprawiać trzcinę cukrową. Niestety, nie mogli ich znaleźć na wyspach, bo choroby przywleczone przez Europejczyków, na które miejscowi nie mieli odporności, zabiły 80 proc. populacji. Dlatego robotnicy zostali sprowadzeni z Azji, głównie z Japonii, Chin i Filipin. Tym sposobem już w drugiej połowie XIX w. rdzenni Hawajczycy stali się w swoim kraju mniejszością, stanowili tylko ok. 25 proc. ludności wysp.

Po wybuchu wojny secesyjnej w 1861 r., kiedy zbuntowane stany amerykańskiego Południa wstrzymały dostawy cukru na Północ, lukę wypełnili producenci z Hawajów. Biznes kręcił się na najwyższych obrotach. Był tylko jeden irytujący problem – za cukier eksportowany do Stanów Zjednoczonych plantatorzy z niezależnych wciąż Hawajów musieli płacić cło, mimo że sami byli obywatelami USA. Już wtedy zaczęli myśleć o najprostszym rozwiązaniu: dołączyć Hawaje do Stanów Zjednoczonych, a wtedy cło zniknie...

Celu dopięli dopiero w 1898 r., kiedy wybuchła wojna USA z Hiszpanią i admirałowie w Waszyngtonie docenili znaczenie Hawajów jako świetnej bazy w centrum Pacyfiku. Ameryka anektowała wyspy – jeszcze nie jako pełnoprawny stan, tylko jako zamorskie terytorium. Otwarty list protestacyjny, który podpisała większość rdzennych Hawajczyków, został zignorowany.

W 1920 r. wznowiono rozdawnictwo ziemi dla rdzennych Hawajczyków, odkrajana jest z obszarów, które kiedyś przyznał sobie król Kamehameha III (po aneksji zostały przejęte przez amerykańskie państwo). Rozdawnictwo to trwa do dzisiaj. Każdy, kto ma w żyłach przynajmniej 50 proc. hawajskiej krwi, może wystąpić o działkę. Obecnie na rozpatrzenie czeka 30 tys. wniosków. Szkopuł w tym, że procedura ta jest skrajnie nieefektywna – ludzie czekają na przydział po kilkanaście lat.

Obecną i prawnie należną ziemię przodków dostaje mało kto, za to nabiera rozpędu druga faza odbierania Hawajów Hawajczykom. To już nie tylko odbieranie ziemi, ale wymuszona ekonomicznie eksmisja ludzi z wysp. W ostatnich kilku latach wielkie lub szokująco drogie posiadłości na Hawajach kupili: założyciel Facebooka Mark Zuckerberg, założyciel Amazona Jeff Bezos, wspomniana Oprah Winfrey i wielu innych celebrytów. Dziesięć lat temu założyciel Oracle Larry Ellison kupił całą wyspę Lanai (36 tys. ha). A w ślady miliarderów i celebrytów idą tysiące pomniejszych bezimiennych milionerów, którzy kupują sobie wakacyjne domy, żeby mieszkać w nich tylko kilka tygodni w roku. W czasach covidu, kiedy można było pracować zdalnie, liczba takich kupców nawet wzrosła.

A są przecież jeszcze miliony turystów, którzy wprowadzili domów nie kupują, ale mają dość pieniędzy, żeby płacić absurdalnie wysokie ceny za hotele lub wynajem krótkoterminowy. Za 200 dol. za dobę można wynająć w Honolulu jedynie bardzo podstawowe dwupokojowe mieszkanie w starym, dawno nieremontowanym wieżowcu, ze zdezelowanymi meblami i zimną kamienną posadzką (żeby można było łatwo sprzątać). Na Maui jest jeszcze drożej.

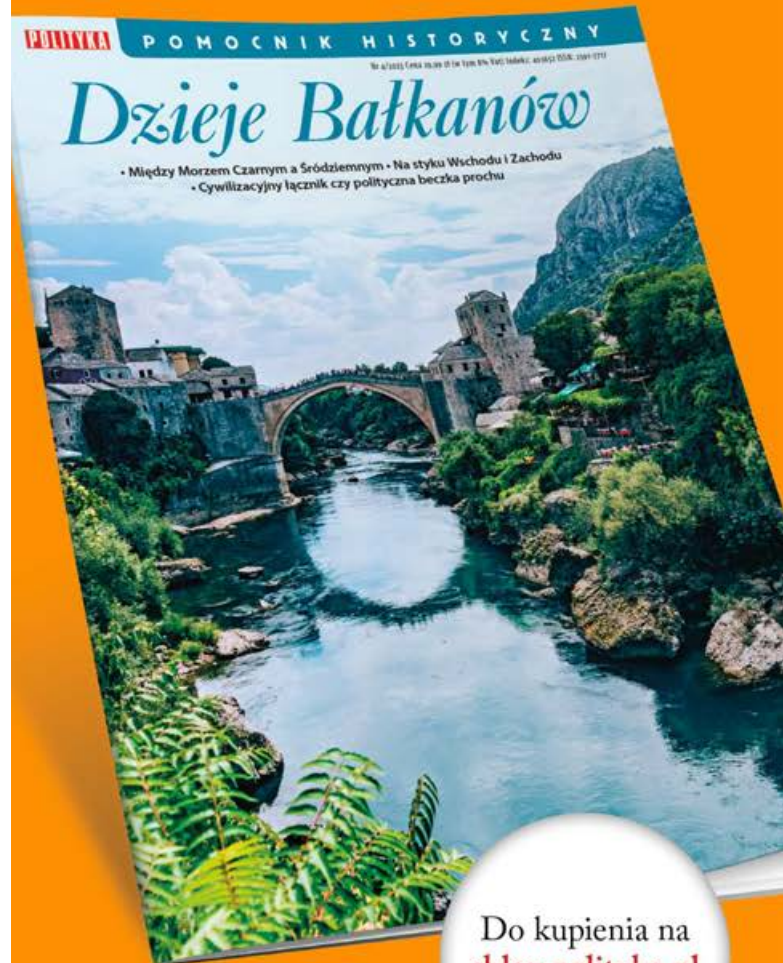
Duży popyt na wynajem i zakup nieruchomości napędza ceny. Obecnie średnia cena domu jednorodzinnego na Maui wynosi 1,1 mln dol. (to oczywiście mediana, czyli połowa domów na rynku jest tańsza, a połowa droższa). Żeby rodzina zainteresowana zakupem mogła dostać w banku kredyt na taki dom, powinna wykazać roczny dochód 202 tys. dol. Ale przeciętna rodzina na Maui ma roczny dochód 88 tys. dol. (to również mediana). A to oznacza, że nie ma ona co marzyć o własnym domu.

Konsekwencje są szokujące. W 2021 r. największy przyrost liczby rdzennych Hawajczyków zanotowano w Las Vegas, a największy spadek w... Honolulu. Są wypychani z ziemi przodków przez wysokie ceny nieruchomości i najmu. Najczęściej właśnie do Las Vegas, gdzie mieszkania są relatywnie tanie. Strach przed eksmisją dotyczy już nie tylko rdzennych Hawajczyków, ale wszystkich normalnie zasobnych ludzi, którzy mieszkają na wyspach. Właśnie dlatego reakcje po pożarze – nawet nagle ujawniona niechęć do zwykłych turystów – są tak histeryczne.

A jakie są przyczyny pożaru? Śledztwo trwa, ale jest pewne, że nie trzeba było lasera odpalonego z orbity okołozemskiej. Wystarczyła prawdopodobnie jedna zapalniczka. Pod koniec XX w. uprawa trzciny cukrowej przestała się opłacać. Ostatnią jej plantację na Maui zamknięto w 2016 r. Tam, gdzie kiedyś rosła trzcina cukrowa, wyrasta teraz trawa. Niestety często nie jest to trawa natywna, tylko gatunki z Afryki, które sprowadzono na Hawaje, ponieważ bardzo szybko rosną – po deszczu nawet 10 cm dziennie. Są bardzo inwazyjne i wypierają hawajską roślinność. Ale bez deszczu szybko wysychają i stają się dodatkowym, nieznanym jeszcze sto lat temu, zagrożeniem pożarowym. Takie właśnie afrykańskie trawy porastają zbocza gór za Lahainą aż do samych granic miasta.

MARIUSZ ZAWADZKI

Blisko i egzotycznie



Do kupienia na
sklep.polityka.pl



Zapraszamy na profil

<https://www.facebook.com/projektPulsar/>
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania
rozmów z cyklu „POLITYKA o historii”

Zagadka Sheinbaum

ARTUR DOMOSŁAWSKI



Mówią, że nie ma osobowości.
A może to tylko gra? Strategia
pozwalająca kobiecie przeżyć w polityce
maczystowskiego Meksyku?

Poza Meksykiem zrobiło się o niej głośno w czerwcu, gdy zrezygnowała ze stanowiska burmistrzynie stolicy (jednego z najludniejszych miast świata). Powód: za rok chce się ubiegać o prezydenturę blisko 130-milionowego kraju. Gdyby wygrała, byłaby pierwszą meksykańską prezydentką.

Nazywa się **Claudia Sheinbaum**, ma 61 lat, z wykształcenia jest fizyczką i inżynierką od spraw energetyki, zwłaszcza energii odnawialnej. Pół życia zawodowego przepracowała jako profesorka uniwersytecka. Potem porwała ją polityka.

O sobie mówi tak: – *Jestem kobietą z lewicy, wierzę w uczciwość i redystrybucję bogactwa, którego celem jest eliminowanie ubóstwa. Uważam, że zdrowie i edukacja są prawami, nie towarami, i że państwo powinno o nie dbać. Wierzę w „małe państwo”, oszczędne, ale tylko w tym znaczeniu, że nie powinno stanowić kosztu dla obywateli. Jestem też za dyscypliną finansową, która zapewnia stabilność i umożliwia robienie wielu rzeczy.*

Sheinbaum ucieleśnia awans społeczny kobiet w patriarchalnym społeczeństwie. Twierdzi, że Meksyk – w domyśle: kraj silnego maczyzmu – dojrzał już do tego, by mieć za głowę państwa kobietę.

•••

„Miasto Meksyk jest gigantyczne: poruszanie się po nim zawsze stanowi wyzwanie – pisze Martín Caparrós w książce „Nameryka” (tłum. Wojciech Charchalis). – Są jednak oczywiście różnice; mówiąc ogólnie, istnieją trzy sposoby podróżowania po tym mieście. Miliony niezmotywowanych mieszkańców odległych

dzielnic codziennie wychodzą z domów przed świtem, żeby pieszo udać się na autobus dowożący ich do metra, kolejnego etapu tej uciążliwej podróży; a potem często na kolejny autobus. Zwykle zajmują to nie mniej niż dwie godziny w jedną stronę i dwie albo trzy w drugą.

Miliony osób zamieszkujących dość odległe osiedla i posiadających samochody też wyjeżdżają o świcie, żeby precyzyjnie się przez szosy i korki, zwykle to godzina albo dwie w jedną stronę i tyle samo z powrotem, w samotności. Tysiące, które mieszkają w eleganckich dzielnicach i mają samochody z szoferami, też kiedyś wychodzą z domów i załatwiają sprawy w swoich samochodach: czytają, rozmawiają, podejmują decyzje; czasu jest wiele, więc mogą go wykorzystać”.

– *Dla tych ostatnich Sheinbaum jako burmistrzynie nie zrobiła nic. Dla pierwszych, tych z odległych biednych dzielnic, jest dobrodziejką, która odmieniła ich codzienność* – opowiada David Lida, nowojorczyk, który ponad 30 lat temu wybrał Miasto Meksyk za swoją ojczyznę (napisał o nim dwie książki). – *Moi sąsiedzi z dzielnic Roma i Condesa zazwyczaj nie rozumieją, skąd poparcie dla Sheinbaum. Ja zrozumiałem, gdy pojechałem do dzielnic Iztapalapa.*

Iztapalapa to ubogie peryferia, w których mieszka ok. 2 mln ludzi. Za swojej kadencji Sheinbaum zbudowała tam kolejkę linową łączącą porośnięte slumsami wzgórze z autostradą do centrum miasta. Kolejka linowa skraca czas dojazdu do centralnie położonych dzielnic o połowę.

– *Mieszkańcy Iztapalapy kochają Sheinbaum* – opowiada Lida. – *Przed wszystkim*

za kolejkę, ale nie tylko. Za pieniądze miasta stworzyła sale gimnastyczne, siłownię, biblioteki w ciekawej formie: we wnętrzu starych, nieczynnych samolotów. Odmieniła też estetykę ubogich miejsc. W Iztapalapie władze miasta dostarczyły mieszkańcom farby, którymi pokolorowali domy, a na dachach wymalowali murale.

Lida spekuluje, że zbudowanie kolejki bez wsparcia rządu federalnego byłoby niemożliwe, co z kolei łączy tę sprawę z krytycznymi docinkami wobec Sheinbaum: że jest faworytą prezydenta Andrésa Manuela Lópeza Obradora; w skrócie: AMLO.

– *Gdybym była mężczyzną, nikt by tak nie mówił* – Sheinbaum odbija piłeczkę.

•••

Była współzałożycielką lewicującej partii, która w 2018 r. wyniosła AMLO do prezydentury. Partia nazywa się **Morena** (skrót od **MO**vimiento de **RE**novacion **NA**cional, Ruch Odnowy Narodowej). Wśród współpracowników AMLO Sheinbaum uchodzi za polityczkę najbardziej wierną przywódcy.

Samo o sobie to nie zarzut – staje się nim dopiero, gdy mowa o sytuacji i prawach kobiet. Meksyk to kraj mający przerażające statystyki zabójstw i przypadków przemocy domowej. – *AMLO bagatelizuje te kwestie* – uważa Lida. – *A ponadto w jego wizji kobieta powinna zajmować się domem i dziećmi, a nie robić kariery zawodową. Dość osobliwe jak na człowieka, który chce uchodzić za lewicowca.* Sheinbaum nie ma odwagi mu się sprzeciwić – zapewne wie, że żaden istotny współpracownik nie przetrwa w otoczeniu AMLO, jeśli publicznie ujawni różnicę zdań z szefem.

AMLO nieraz atakował ruchy feministyczne domagające się aktywnej polityki rządu dotyczącej przeciwdziałania przemoc wobec kobiet. Twierdził, że wyrastają z ideologii neoliberalnej; zarzucał próby podkopywania jego ekipy, sojusze z pravicową opozycją. Namaścił je na jednego ze swoich głównych wrogów.

W takich sytuacjach Sheinbaum kluczy. Próbuje zachować stuprocentową lojalność wobec AMLO, a zarazem „spozycjonować się” jako kobieta solidarna z losem kobiet z klasy ludowej, choć niekoniecznie z tymi z wielkomięjskiej klasy średniej. Potrafi powiedzieć, że choć w krytykach pod jej adresem – wychodzących raczej z establishmentu niż z ulicy – daje się wyczuć mizoginię, to na politycznych mitingach z udziałem klas ludowych nigdy nie krytykowano jej jako kobiety. I że w zasadzie bycie kobietą to dziś okoliczność sprzyjająca w wyścigu prezydenckim w Meksyku (wiele i kobiet, i mężczyzn by polemizowało).

•••

Poszukując informacji o Sheinbaum, nie natrafiłem na ani jeden naprawdę interesujący tekst o niej. Można powiedzieć, że życie pozapolityczne osoby ze świecznika, jej ludzkie cechy, jej historia i zainteresowania są nieistotne – ważne, co robi. Ale w internecie nie ma też żadnych ciekawych wypowiedzi jej samej na jakikolwiek temat, prócz deklaracyjnych. Jestem za tym a za tym, popieram, należy zrobić, zgadzam się, nie zgadzam się... Istna enigma.

Liczyłem, że ciekawym tropem mogą być żydowskie korzenie Sheinbaum. Jej rodzice to dzieci żydowskich emigrantów z Litwy i Bułgarii, którzy dotarli do Meksyku w latach 20. i 30. XX w. Oboje są naukowcami chemikami, urodzonymi już w nowym kraju. Ale Sheinbaum w życiu publicznym nigdy nie odwoływała się do żadnej z żydowskich tradycji, o żydowskości w zasadzie nie wspominała. Lida, który sam jest Żydem, mówi, że żydowskość w życiu publicznym Meksyku nie ma żadnego ciężaru ani znaczenia.

Oponenci próbowali wykorzystać żydowskość i ustrzelić Sheinbaum jako przyszlą kandydatkę, ale raczej bez antysemitckiego podtekstu. Zasugerowali, że nie urodziła się w Meksyku – wtedy nie mogłaby kandydować – co było kalką kampanii przeciw Obamie jako rzekomo urodzonemu poza USA. Sztab Sheinbaum szybko dowiódł, że to bzdury.

Z kwerendy prasowej można się dowiedzieć, że Sheinbaum dobrze zarządzała kryzysem wywołanym pandemią Covid-19. Krytycy czasem wracają do jej rzekomej odpowiedzialności za zapadnięcie

się dźwigarów jednej z linii metra, kiedy to zginęło 26 osób i kilkadziesiąt zostało rannych. Ale to polityczna piana, którą biją przeciwnicy. Linię metra oddano dekadę przed objęciem przez Sheinbaum urzędu; miastem rządził wtedy ktoś inny – akurat jej konkurent ubiegający się o nominację partii w wyborach prezydenckich (Marcelo Ebrard).

Ale jaka jest Sheinbaum? Co ma do powiedzenia o różnych sprawach? Co ją interesuje, czym błysnęła albo podpadła? Enigma. Lida sugeruje, że właśnie teraz, na rok przed wyborami, ktoś z jej otoczenia zauważył, że niejakoś może być problemem i wpadł na pomysł, by publiczną osobowość kandydatki stworzyć. Na początek służyć ma temu jej biografia, autorstwa dziennikarza Artura Cano, związanego z lewicową „La Jornada”, która ukazuje się w tych dniach. Jej fragmenty publikuje prasa.

„W moim domu rozmawiano o polityce przy śniadaniu, obiedzie i kolacji” – wyznaje Sheinbaum swojemu biografowi. Flekse pamięci prowadzi ją do protestów 1968 r., w których uczestniczyli rodzice – oboje akademicy. Pamięta, że po masakrze na placu Tlatelolco mama zmieniła pracę, dopiero po latach do córki dotarło, że została wyrzucona z Państwowego Instytutu Politechnicznego. Pamięta dyskusję w domu rodziców między przywódcami marszu z 10 czerwca 1971 r. Byli tacy, którzy nie chcieli wychodzić na ulice w obawie przed represjami, i tacy, którzy mówili, że trzeba demonstrować.

Biograf Sheinbaum pisze, że w czasie studiów w latach 80. angażowała się w wiele protestów społecznych. Antonio Santos, kolega z Uniwersyteckiej Rady Studentów (1986–87), przygotował długą listę akcji, w których Sheinbaum brała udział: m.in. w strajku głodowym, w akcji wsparcia Koalicji Robotniczej, Chłopskiej i Studenckiej przeciw oszustwom wyborczym w stanie Oaxaca, w proteście solidarnościowym ze strajkiem Związku Pracowników UNAM (główniej uczelni w stolicy). Słowem: nie akademiczka, która zaplątała się w politykę, ale aktywistka z rodziny aktywistów, która uczestniczyła w walkach, buntach i ruchach politycznych od wczesnej młodości.

•••

Sama Sheinbaum nie wyprawia się na ryzykowne terytoria komentowania spraw rozmaitych. Możliwe, że cały czas – wbrew słowom o gotowości Meksyku na prezydentkę, którymi usypia potencjalnych hejterów – jest w pełni świadoma tutejszych uprzedzeń wobec kobiet. Niedawne badania jednej z agend ONZ

wskazują, że aż 90 proc. Meksykanów ma różnego rodzaju uprzedzenia wobec kobiet, a 57 proc. nie podobają się kobiety angażujące się w politykę. To więcej niż w wielu innych krajach regionu.

Hiszpański „El País”, powołując się na pracę Rayne Fisher-Quann, młodej aktywistki i publicystki z Kanady, wskazuje na mechanizm krótkiego publicznego żywota potężnych kobiet w społeczeństwach o silnej kulturze macyzmu. Zaczynają od wielkiego zainteresowania mediów. Ich popularność rośnie, a w jakimś momencie – jak każdy człowiek dużo mówiący i działający na niwie społecznej – popełniają drobny błąd. To może być niefortenna wypowiedź albo nieoczywista decyzja, albo nawet nieadekwatny – zdaniem hejtujących – ubiór.

Wtedy zaczyna się – jak to nazywa Fisher-Quann – współczesne kamienowanie. Rozpętują się (gównu)burze, a reakcje są niewspółmierne. Następuje spektakularny spadek popularności, będący tylko potwierdzeniem podświadomych uprzedzeń, jakie większość społeczeństwa żywiła wobec kobiet o wysokiej pozycji.

Autorka artykułu Viri Rios sugeruje, że Sheinbaum kroczy niebezpieczną ścieżką, a jej protektor López Obrador, skazując ją już teraz na długą, konfrontacyjną kampanię (nawet we własnej partii), naraża protegowaną na możliwy upadek. Czyni tak nie ze złej woli – po prostu mocno nie bardzo potrafi zrozumieć sytuację kobiety polityczki w maczystowskim kraju.

Mechanizm, który opisała kanadyjska publicystka, w przypadku Sheinbaum działa już teraz. Do 2021 r. cieszyła się aprobatą 71 proc. mieszkańców stolicy. Teraz dwa miesiące kampanii, na razie wewnątrz partii o nominację, obniżyły jej notowania do 47 proc. Są przykłady, że skandale niszczą ją, kobietę, bardziej niż mężczyzn. Zapaść linii metra pozbawiła ją 22 proc. poparcia w ciągu miesiąca (mimo że jej odpowiedzialność była więcej niż wątpliwa). Natomiast skandal z 2019 r., znany jako *culiacanazo*, który – jak się zdawało – zachwieje popularnością AMLO, pozbawił go zaledwie 2 pkt proc. aprobaty. (Chodziło o nieudaną akcję wojska i policji, której celem było pojmanie syna Chapo Guzmana, osławionego szefa kartelu z Sinaloa).

Być może „brak osobowości”, coś w rodzaju politycznej mimikry, jest strategicznym wyborem Sheinbaum, który ma jej pomóc dojść na szczyt maczystowskiego społeczeństwa. Może dopiero na szczycie pokaże w pełni, jakie ma pomysły na Meksyk i jaką osobą jest naprawdę. ■

Granice otwarcia

„Polityka otwartych drzwi” kontra „forteca Europa” to fałszywy dylemat. Dziś chodzi o to, jak odzyskać kontrolę nad migracjami, nie wyzbywając się przy tym człowieczeństwa.

PIOTR BURAS

Pierwotnie zaproponowane przez PiS referendum miało być „migracyjnym”. Jednak temat uchodźców najwyraźniej mało grzeje Polaków, bo pytanie o migrację będzie w końcu tylko jednym z czterech. Stosunek do niej raczej nie przesądzi o wyniku wyborów. Ale może pomóc. Po kilku latach oddechu po tzw. kryzysie migracyjnym z 2015 r. kwestia migracji znów zaczęła meblować europejską politykę.

W lipcu do dymisji podał się premier Holandii Mark Rutte, bo jego koalicjanci nie chcieli zgodzić się na zaostrzenie przepisów dotyczących łączenia rodzin imigrantów. W Szwecji rząd konserwatywnego premiera Ulfa Kristerssona pod presją skrajnej prawicy zadeklarował, że drastycznie ograniczy liczbę azylantów. W Niemczech rośnie w siłę antyimigrancka Alternatywa dla Niemiec (AfD), którą popiera już 20 proc. obywateli. We Włoszech rządzi postfaszystka Giorgia Meloni, która parę lat temu obiecywała, że „nikt nie wjedzie do Włoch nielegalnie, a ci, którzy to zrobią, zostaną odesłani do domu”. Rząd brytyjski chce od razu odsyłać ubiegających się o azyl do... Rwandy i tam procedować ich wnioski.

Poczucie utraty kontroli

Podczas gdy PiS przekonuje, że Unia Europejska i kraje Zachodu chcą narzucić nam politykę otwartych drzwi i obciążyć Polskę kosztami bezwarunkowego przyjmowania imigrantów, prawda jest zupełnie inna. Nieregularna migracja wszędzie napędza strachu politykom. Jest jednym z głównych źródeł ogólnego poczucia utraty kontroli i niepewności, którym karmi się populisci. Dlatego jej ograniczenia chcą niemal wszyscy. Dotyczy to też Komisji Europejskiej, która niedawno przedstawiła zmierną w tym celu pakt migracyjny. Przyjęła go na razie Rada Unii i wymaga on jeszcze akceptacji przez

europarlament. Znajduje się w nim m.in. oprotestowany przez PiS mechanizm tzw. obowiązkowej solidarności, w ramach którego państwa będą miały do wyboru trzy opcje: przejąc od przeciążonych państw „frontowych” procedowanie adekwatnej liczby wniosków azylowych (wraz z wnioskodawcami), wkład finansowy na rzecz „frontowych”, i w końcu pomoc przy organizacji powrotów odrzuconych wnioskodawców. Negocjacje ostatecznej wersji paktu migracyjnego mogą się nałożyć na finał polskiej kampanii wyborczej.

Polski rząd twierdzi – niezgodnie z prawdą – że ten projekt jest równoznaczny z przymusową relokacją migrantów i fałszywie ustawia parametry debaty o migracji, sugerując, że toczy się ona między zwolennikami „iluzji multikulturalizmu” a obrońcami „Europy narodów”. W tej rzekomej konkurencji populistom łatwo przywdziać szaty orędowników zdrowego rozsądku. Sedno sprawy nie dotyczy jednak kwestii solidarności między krajami UE w przyjmowaniu migrantów. Ani sporu o to, czy decyzje podejmowane mają być na szczeblu Unii, czy „suwerennie”, przez jej państwa członkowskie. Stawką są fundamenty cywilizacji zachodniej: szacunek dla życia każdego człowieka oraz prawo do ochrony przed prześladowaniem ze względów politycznych, rasowych czy religijnych. Oba są dzisiaj niszczone wbrew wszelkim podpisanym przez państwa UE konwencjom, deklaracjom i traktatom. Chodzi o to, w jaki sposób zachować (lub odzyskać) kontrolę nad migracjami, nie wyrzucając za burtę tego, co stanowi o naszym człowieczeństwie.

O tym, że do ludzi proszących o pomoc się nie strzela i nie odsyła tam, gdzie grozi im prześladowanie, formalnie zdecydowano dopiero po drugiej wojnie światowej. Konwencja dotycząca ochrony uchodźców z 1951 r. stanowi obietnicę ochrony przed prześladowaniem niezależnie od pochodzenia. Była prawdziwie rewolucyjnym



krokiem, a podpisało się pod nią dotąd 149 państw.

W praktyce ten system ochrony wisi na włosku. Ogromna większość uchodźców na świecie w ogóle nie jest w stanie przekroczyć granic swojego państwa. Najwięcej dociera do krajów, takich jak Turcja, Bangladesz, Uganda czy Sudan. Wbrew opowieściom o „zalewie uchodźców” tylko nieduża część dobiega się do bram Europy. A i tutaj w istocie tylko garstka krajów gotowa jest zapewnić prawo do azylu zgodnie z ustalonymi standardami. W efekcie Europa coraz bardziej przypomina dziś najeżoną twierdzę. Na granicach Unii jej własne prawo jest gwałcone codziennie. Łodzie z migrantami są zawracane do Libii czy Turcji, choć tego robić nie wolno. Tzw. pushbacki są codziennością, począwszy od naszej granicy z Białorusią po Bałkany. Grecja czy Włochy nie chcą procedować wniosków o azyl i przepuszczają migrantów dalej na północ.

To wszystko obnaża całkowitą dysfunkcjonalność europejskiej polityki azylowej. Każdy ma prawo ubiegać się o azyl i szukać ochrony? To kpina, bo aby móc choćby podjąć taką próbę, trzeba ryzykować życiem i opłacić się przemytnikom. Ruud Koopmans, holenderski badacz migracji, pisze o „loterii azylowej”, w której wygrywają nie najbardziej potrzebujący, lecz mający największą siłę przebicia. W ciągu ostatniej dekady ok. 50 tys. ludzi zginęło, starając się przedostać do Europy.



© CHRISTOPHER UHLONG/GETTY IMAGES

Wadliwy europejski system ma jeszcze jedną kluczową cechę: jeśli ktoś już się przedrze przez zasieki i postawi nogę na Starym Kontynencie, zapewne uda mu się tam zostać, nawet jeśli nie ma do tego prawa. Pozbycie się nielegalnie przebywających na terytorium UE migrantów graniczy z cudem. W 2022 r. do Włoch przybyło 55 tys. osób z Egiptu, Bangladeszu i Tunezji. Prawie połowa z nich nie złożyła nawet wniosku o azyl, więc podlegała natychmiastowej deportacji. Ale tylko 2,6 tys. udało się wywieźć. W Niemczech osób „zobowiązanych do wyjazdu” jest teraz ok. 300 tys.

Niezdolność Unii do pozbycia się nielegalnych imigrantów zachęca do podejmowania śmiertelnie niebezpiecznych prób dostania się do niej także przez tych, którzy nie mogą liczyć na azyl i status uchodźcy. A im więcej nielegalnych migrantów w Europie, tym większe społeczne poczucie utraty kontroli. I tym mniejsza akceptacja dla przyjmowania nawet tych, którzy na ochronę zasługują.

Drugi brzeg

Dylemat, przed którym stoi Unia, nie polega więc na wyborze między „polityką otwartych drzwi” a „fortecą Europa”. Ta ostatnia staje się na naszych oczach faktem, a rząd PiS ochoczo uczestniczy w jej budowie – składają się na nią mury na granicy, zasieki, fatalne warunki w obozach na greckich wyspach, obojętność wobec tonących na morzu czy rezygnacja z prawa do azylu (na Węgrzech).

Jak mogłaby wyglądać polityka, która ten sam lub podobny skutek osiągnie bez stosowania przemocy, a zarazem obroni prawo do efektywnego szukania ochrony przez naprawdę prześladowanych? Kluczem do sukcesu jest współpraca z krajami pochodzenia migrantów oraz krajami tranzytowymi. Dopóki bowiem państwa europejskie nie poradzą sobie z odsyłaniem tych, którzy nie mają prawa do ochrony, zwolennicy bardziej przyjaznej azylantom polityki nie będą w stanie przebić się ze swoimi postulatami.

Dzisiaj najczęściej tzw. nieregularnych migrantów przybywa z Tunezji, ale kraj ten nie chce przyjmować z powrotem swoich obywateli ani też innych, którzy odbili z tunezyjskich wybrzeży. W lipcu szefowa Komisji Ursula von der Leyen, Rutte i Meloni podpisali wstępne porozumienie z prezydentem Tunezji o współpracy, także w zakresie kontroli nad migracjami. Tunezja ma otrzymać od Unii większe wsparcie finansowe w zamian za pomoc w zwalczaniu przemytników i współpracę przy readmisji migrantów. Czy jednak takie „deale” z krajami dalekimi od europejskich standardów nie są tylko kolejnym potwierdzeniem, że Unia Europejska zdradza swoje ideały i prowadzi w istocie cyniczną grę? Taki zarzut formułowany jest przez wiele organizacji pozarządowych, aktywistów i część ugrupowań politycznych.

Nie jest on bezpodstawny. Tunezja zmierza w kierunku autorytaryzmu, a jej rząd przepędził ostatnio migrantów na pustynie

na granicy z Libią. W przeszłości takie porozumienia, np. z Libią, polegały wyłącznie na opłaceniu zewnętrznych kontrahentów za wykonywanie brudnej roboty sprzecyjnej z jakimikolwiek standardami humanitarnymi. Problem jednak w tym, że Unia nie może wybierać sobie partnerów wedle widzimisię i obchodzić tych mało apetycznych szerokim łukiem. Realną alternatywą nie jest bowiem świat, w którym prześladowani i uciskani mają nieskrępowany dostęp do międzynarodowej ochrony, lecz brutalna polityka murów i pushbacków, która mami obywateli mirażem odzyskanej kontroli nad granicami.

Żerowanie na chaosie

Humanitarna polityka łącząca kontrolę granic z szacunkiem dla praw człowieka nie może ograniczać się do transferów finansowych. Partnerów gotowych do przyjmowania z powrotem tych, którzy nie mają w Unii prawa do ochrony (migrantów ekonomicznych), można pozyskać tylko za sprawą rozbudowanej oferty: przede wszystkim stworzenia legalnych możliwości migracji zarobkowej w UE dla określonej grupy ich obywateli, współpracy wizowej, bezpośrednich przesiedleń kontyngentów „prawdzywych” uchodźców do krajów UE.

Innymi słowy, UE musiałaby być nawet bardziej niż obecnie otwarta na migrantów i uchodźców, tyle że w sposób uporządkowany i podlegający kontroli. Znacząco większe prawdopodobieństwo deportacji dla tych, którzy nie mają szans na legalny pobyt w UE, odstraszałoby natomiast od podejmowania ryzykownych prób przedostania się do niej w nielegalny sposób – i zapobiegło powtarzającym się tragediom. Taki precedens już był. Porozumienie z Turcją w 2016 r. drastycznie ograniczyło liczbę śmiertelnych wypadków na Morzu Egejskim.

Nie ma gwarancji, że te wszystkie wysiłki zakończą się sukcesem. Wiele europejskich rządów, think tanków i organizacji pozarządowych łamie sobie głowę, w jaki sposób drastycznie ograniczyć nieregularną migrację, a jednocześnie chronić życie potrzebujących. Natomiast populiści, łącznie z polskim rządem, udają, że tego dylematu nie ma. Jego rozwiązanie ich nie interesuje, bo żerują na chaosie i poczuciu zagrożenia, które jego utrzymywanie się prowokuje. Dlatego przy okazji referendum jeszcze raz będziemy przeżywać festiwal straszenia brukselską biurokracją na usługach strasznych migrantów, a nie dyskusję o tym, o co naprawdę chodzi w fundamentalnym sporze o granice i wartości.

Autor jest dyrektorem warszawskiego think tanku European Council on Foreign Relations.

Zatrzymać potop

Poziom mórz idzie w górę.
Poziom gruntu – w dół.
Setki milionów mieszkańców
wybrzeży wkrótce staną
przed wyborem: wycofać się
w głąb lądu czy zabarykadować
na brzegu.

Maeslantkering – ruchoma zaporą wodną w Holandii, która wraz z inną zaporą i wałami przeciwpowodziowymi jest elementem konstrukcji chroniącej Rotterdam. Na dole: chroniąca włoską Wenecję bariera MOSE.

N

ANDRZEJ HOŁDYS

a razie prawie nikt nie bierze pod uwagę tego pierwszego scenariusza. Jest raczej odwrotnie. Atrakcyjność wybrzeży rośnie, szczególnie tych nisko położonych. Pół wieku temu na terenach leżących do wysokości 10 m ponad poziomem morza mieszkało ok. 200 mln ludzi, na początku tego stulecia było to już ponad 600 mln, a w połowie XXI w., jak prognozują naukowcy, będzie ich ponad miliard. Z powodów społecznych, ekonomicznych i kulturowych Igniemy ku nadmorskim nizinom. I bardzo niechętnie je opuszczamy – wskazują obserwacje z różnych miejsc świata regularnie zalewanych podczas monsunów, huraganów, tajfunów, sztormów i innych szaleństw natury. Mieszkający tam ludzie, jak mogą, bronią się przed wyprowadzką.

Sz szczególnie szybko pęcznieją nadmorskie aglomeracje. Wśród dziesięciu największych miast świata tylko dwie znajdują się wewnątrz lądu – Delhi i Mexico City. W wielu krajach świata niemal na poziomie morza, a czasem nawet poniżej tego poziomu, mieszka cztery piąte populacji. Gdzie w USA w dwóch ostatnich dekadach najszybciej przybywało ludności? Na nizinach

sąsiadujących z Zatoką Meksykańską i Oceanem Atlantyckim. Im bardziej narażony na ataki huraganów stan, tym większy notował wzrost populacji. Na Florydzie, której dwie trzecie terytorium leży na wysokości do 3 m n.p.m., w 1950 r. mieszkało 3 mln ludzi, w 1980 r. – 10 mln, a w 2022 r. – 22 mln. Również w Chinach dwie trzecie ludzi (ok. 800 mln) mieszka w jedenastu nadmorskich prowincjach. Połowa z 17 mln Holendrów skupiła się w depresji, tworząc tam zresztą jeden z najprężniejszych i najgęściej zamieszkałych regionów gospodarczych Europy.

Bariery chronią Holendrów

Ta wielka migracyjna i demograficzna fala spotka się w XXI w. z równie energiczną falą, która wychodzi jej naprzeciw. W ciągu ostatnich 30 lat poziom oceanów podniósł się o ok. 10 cm. Niby niewiele, ale wystarczyło, aby podwoić częstotliwość powodzi sztormowych na świecie. Tymczasem umiarkowane scenariusze mówią, że do końca tego stulecia poziom oceanów podniesie się o 40–70 cm. Ich konsekwencje dla wybrzeży USA analizowali niedawno Sean Vitousek i Charles Fletcher. „Powodzie sztormowe pięćdziesięcioletnie, czyli takie, które w XX w. powracały średnio



co 50 lat, będą w połowie XXI w. powracały co roku” – pisali rok temu w „Scientific Reports”.

Fletcher, który mieszka na Hawajach i prowadzi tam również wiele badań lokalnych, relacjonował w jednym z wywiadów wyniki analizy przeprowadzonej dla jednej z plaż hawajskich, przy której stoi obecnie około stu domów. Dwie dekady temu żaden z nich nie był niepokojony przez fale wdzierające się w głąb lądu podczas sztormów, obecnie zagrożonych jest około dziesięciu, a gdy poziom oceanu wzrośnie o 30 cm, co może się zdarzyć w ciągu najbliższych dwóch dekad, wówczas bezpieczny nie będzie ani jeden. Jednak żaden z właścicieli domu nie myśli dziś o przeprowadzce. Fletcher uważa, że nie da się obronić wszystkich zamieszkałych dziś wybrzeży, a państwo i samorządy powinny już teraz opracować, jak to określa, „strategię odwrotu”. Miałaby zachęcać ludzi, także przy pomocy bodźców finansowych, aby zamiast uparcie trwać w miejscu, które za dekadę lub dwie nie będzie nadawało się do życia, przenieśli się w głąb lądu, choćby o parę kilometrów.

Na razie przeważają jednak pogład, że trzeba się bronić do końca. Faktem jest, że odwrót wchodzi w grę tylko tam, gdzie zabudowa nadbrzeżna jest rozproszona i koszty jej obrony przed morzem byłyby znacznie wyższe niż wartość osłanianego terenu. Dokąd jednak mają się cofnąć mieszkańcy wielkich aglomeracji nadmorskich? Albo Holendrzy? Dopóki nie będą musieli, nie zrobią nawet kroku do tyłu. Co pozostaje? Szukanie rozmaitych sposobów zatrzymania nadchodzącej wielkiej fali.

Standardowe rozwiązanie to wznoszenie wałów przeciwpowodziowych oraz wielkich betonowych i metalowych barier. Tak postąpili Holendrzy, którzy w XX w., po kolejnych tragicznych powodziach sztormowych, uczynili ze swego kraju fortecę, odgradzając się od Morza Północnego. W 1932 r. oddali do użytku tamę Afsluit o długości 32 km, która odcięła zatokę morską Zuiderzee, czyniąc z niej płytkie jezioro (częściowo osuszone i zmienione w poldery zamieszkałe dziś przez pół miliona ludzi). Po kolejnej tragicznej powodzi w 1953 r., która pochłonęła życie blisko 2 tys. osób, tamami i ruchomymi barierami, przegrodzono niemal wszystkie ramiona ujściowe Renu i Skaldy. Ruchome bariery są zwykle otwarte, by umożliwić żeglugę oraz wymianę wody pomiędzy rzeką a morzem, co zmniejsza degradację środowiska. Spektakularnym osiągnięciem było oddanie do użytku w 1997 r. ruchomej bariery Maeslant chroniącej Rotterdam. Składa się ona z dwóch stalowych skrzydeł o szerokości 210 m każde. To jedne z największych na świecie ruchomych konstrukcji lądowych. Te gigantyczne wrota są zamykane tylko podczas największych sztormów.

Gdyby nie wały ochronne, tamy, ruchome bariery oraz kanały i pompy odwadniające, Holandia byłaby dziś znacząco mniejsza, jako że 26 proc. jej terytorium leży w depresji. Następne 33 proc. przypada na tereny, których wysokość bezwzględna nie przekracza metra. One również byłyby nieustannie narażone na powodzie sztormowe. Dlatego Holendrzy nie mają wyjścia. Ale w ich ślady poszli inni, na przykład Brytyjczycy, którym także dał się mocno we znaki sztorm z 1953 r. Po nim postanowiono zbudować na Tamizie ruchomą barierę o długości pół kilometra, która

w razie potrzeby zatrzymałaby rozszalałe morze zamierzające zatopić Londyn. Zapora działa od 1982 r. i w ciągu czterech dekad zamykano ją ponad 200 razy, z każdą dekadą coraz częściej. W 2011 r. zaporę o długości 25 km przegradzającą Zatokę Fińską i wyposażoną w dwa zestawy ruchomych wrót zyskał również Petersburg. Jej budowa trwała ponad trzy dekady. Długo? Owszem, ale nie był to rekord.

Mojżesz pomaga Wenecji

Od niedawna również Wenecję chronią trzy ruchome bariery podnoszące się z dna morskiego, gdy ku miastu zmierza sztormowa fala.

Adriatyk chronił miasto założone pośrodku Laguny Weneckiej przed niechcianymi przybyszami z lądu, ale też zalewał je regularnie. Okazało się bowiem, że dno laguny osiada, a wraz z nim wędrują w dół weneckie budowle. Gdy w XI w. wzniesiono bazylikę św. Marka, plac przed nią usytuowano 2 m powyżej normalnego stanu wody. Siedem wieków później, w połowie XVIII w., woda była 70 cm wyżej. Tempo tego osiadania wyniosło 10 cm na sto lat, zmuszając weneccjan do podnoszenia chodników.

Gdyby Wenecja nadal zanurzała się w dotychczasowym tempie, pewnie nikt by się tym specjalnie nie przejmował. Ale w XX w. przyszedł kryzys. Po pierwsze, tempo osiadania miasta wzrosło dwukrotnie w wyniku pobierania wód gruntowych spod laguny przez okoliczny przemysł. Po drugie, północny Adriatyk zaczął się podnosić. Naukowcy obliczyli, że jego lustro znajduje się dziś o 20–25 cm wyżej niż w drugiej połowie XIX w. Skumulowany efekt osiadania i inwazji morza jest taki, że Wenecja zanurzyła się w wodach laguny o 40–45 cm w ciągu ostatnich 250 lat. Wysokie stany wody zwane *acqua alta*, przekraczające poziom alarmowy, stają się niemal codziennym utrapieniem w niższych częściach miasta. Sto lat temu syreny alarmowe włączano w Wenecji średnio dziesięć razy w roku. W dwóch ostatnich dekadach odzywały się przeciętnie 60 razy w sezonie.

By chronić Wenecję, podjęto w 1984 r. decyzję o zainstalowaniu barier w trzech przesmykach łączących lagunę z otwartym morzem. Prace nad planem trwały dziesięć lat. Projekt nazwano Modulo Sperimentale Elettromeccanico, w skrócie MOSE, co po włosku znaczy Mojżesz. „Prorok” miał w razie potrzeby unieść się z dna i zatrzymać szturmujące morze. Budowa ruszyła dopiero w 2003 r. i miała trwać osiem lat. Ostatecznie zapory uruchomiono na próbę w październiku 2020 r. Test udał się, choć przeszedł niemal bez echa. We Włoszech szalała epidemia Covid-19 i nikt w tym czasie nie miał głowy do MOSE, inwestycji wartiej ponad 5 mld euro.

Wkrótce okazało się, że bariery sprawdzają się doskonale. Podnosiły się z dna w ciągu 30 minut, a gdy zagrożenie mijało, równie szybko zanurzały. Był jednak pewien powód do zmartwienia. Wrota podnoszono znacznie częściej, niż zakładali konstruktorzy. Wówczas, prawie cztery dekady temu, wyliczono, że MOSE będzie potrzebny 4–6 razy w roku, czyli podczas największych sztormów. Tyle że powodzie, które kiedyś zjawiały się w Wenecji raz na 10 lat, teraz przychodzą co najmniej raz w roku. Dlatego od jesieni 2020 r. do wiosny 2023 r. barierę uruchomiono blisko ►





Zdjęcie z kosmosu przedstawiające deltę Missisipi w miejscu, gdzie zbiega się z Zatoką Meksykańską w Luizjanie.



Naturalne piaskowe wały przeciwpowodziowe w holenderskim Heijde.

► 50 razy, czyli nie kilka, ale 20 razy w roku. A jak ostrzegają naukowcy, podniesienie się Adriatyku o kolejne 30 cm spowoduje, że MOSE trzeba będzie uruchamiać co parę dni. Jeśli morze urośnie o 60–70 cm, wówczas wrota byłyby częściej zamknięte niż otwarte. Wówczas jednak Laguna Wenecka, pozbawiona dostaw świeżej wody morskiej, zmieniałaby się w pustynię biologiczną. Byłby to również wyrok śmierci dla samej Wenecji, której kanały zmieniłyby się w cuchnące, bagniste rynsztoki.

Natura ratuje Nowy Jork

Na tym polega problem z ruchomymi barierami. Za parę dekad te cuda hydroinżynierii będą musiały być zamykane na okrągło, a wtedy ich sens zniknie. Gorzej, że – jak zauważają autorzy sierpniowej publikacji w „Coastal Engineering” – takie konstrukcje mogą dawać złudne poczucie bezpieczeństwa. Z powodu zbyt

częstego uruchamiania zabraknie czasu na ich rzetelne serwisowanie. W chwili ciężkiej próby mogą zawieść.

Dlatego między innymi na taką inwestycję nie zdecydował się Nowy Jork. Około dekady temu zaproponowano tam odcięcie od oceanu całej Zatoki Nowojorskiej przy pomocy tamy o długości 8 km. W jej środku miały powstać stalowe wrota podobne do tych pod Rotterdamem. W zeszłym roku zrezygnowano jednak z tego pomysłu, uznając, że tama i tak nie zatrzymałaby coraz bardziej rozszalałego oceanu, a nawet gdyby to uczyniła dzięki jej podwyższeniu, to stałoby się to kosztem całkowitej zagłady życia w zatoce.

Plan zaadaptowania Nowego Jorku do wzrostu poziomu mórz ma zostać przyjęty do końca 2025 r., a do konsultacji wybrano wariant hybrydowy pełen nowinek niekoniecznie technicznych. Owszem ruchome bariery pojawią się na dwóch mniejszych odnogach rzeki Hudson, ale będzie to tylko niewielka część warte-go 52 mld dolarów projektu. Sporo pieniędzy pójdzie na typowe budowle hydrotechniczne – groble i falochrony, ale najciekawsze są inne propozycje: usypanie olbrzymich wydm i bardziej stromych plaż, przywrócenie bagnistych mokradeł, które doskonale absorbują uderzenie fali sztormowej, stworzenie raf ostrygowych. Bariery wzniesione przez mięczaki chroniłyby przed zalaniem najniższej położone fragmenty wybrzeży. Najbardziej zaawansowaną koncepcję nazwano „żywym brzegiem”. To kombinacja wydm i nadmorskich lasów (nad wodą) oraz raf ostrygowych, rumoszu skalnego i wodorostów (pod wodą). Do tego w pewnej odległości od brzegu – ciąg sztucznie usypanych wysepek barierowych, które jako pierwsze przyjmowałyby impet morza.

To Holendrzy jako pierwsi zaczęli inspirować się naturą. Szukali rozwiązań, w których bardziej niż wiedza techniczna przydatna byłaby wiedza o funkcjonowaniu środowiska naturalnego. Miało być mniej betonowych i kamiennych umocnień. Preferowano „miękkie podejście”. Usypywano w pobliżu brzegu gigantyczne góry piasku, z których prądy przybrzeżne i wiatry same budowały plaże. „Wrogowie” (morze i wiatr) nie niszczyli już fortyfikacji, ale sami je wznosili. Holendrzy eksperymentują też z nowymi odmianami roślin wzmacniającymi wały przeciwpowodziowe. Od strony morza wzdłuż wałów tworzone są skalne platformy, na których mogłyby się osiedlać morskie organizmy.

W zgodzie z naturą próbuje też postępować Nowy Orlean. Aby uniknąć powtórki z huraganu Katrina, który w 2005 r. doprowadził do zalania miasta, zbudowano wokół niego system zapór, śluz i wałów przeciwpowodziowych. W 2021 r. wytrzymały potężne uderzenie Idy. To dobra wiadomość. Zła jest taka, że cała ta fortyfikacja o długości 350 km, której budowę zakończono w 2018 r., szybko osiada wraz z miastem i za 10 lat będzie już za niska. Naukowcy uważają, że zatrzymać osiadanie gruntu i uratować Nowy Orlean może nie żadne sztuczne umocnienie, ale odbudowa delty Missisipi.

Rozpisany na pięć dekad projekt jest dokładnym przeciwieństwem tego, co ludzie robili tu przez poprzednie 100 lat. Wały przeciwpowodziowe, wzniesione w ujściowym odcinku rzeki, są przerwane w kilku miejscach, aby Missisipi znów mogła swobodnie usypywać deltę z osadów zniesionych z łąd. Mokradła i bagienne lasy, wcześniej osuszone i wycięte, mają być zrekonstruowane. Wyspy barierowe chroniące niegdyś brzeg, a potem zniszczone bez pardonu podczas budowania kolejnych instalacji naftowych, mają być ponownie usypane.

Co człowiek zniszczył, teraz chce naprawić. Czy zdąży? Jeśli temperatury znacznie wzrosną, a ciepło dobierze się do łąd lodów Antarktydy i Grenlandii, sztuczne umocnienia mogą nie wystarczyć. Odwrot z wielu miejsc będzie konieczny.

ANDRZEJ HOŁDYS

ŁUKASZ TYCHONIEC

Na brzegu kosmosu

ALMA, czyli monumentalny zestaw radioteleskopów ustawiony w jednym z najbardziej nieprzyjaznych miejsc na Ziemi, świętuje 10-lecie pracy. Opowiada o nim dr Łukasz Tychoniec, jeden z uczestników prowadzonych tam obserwacji.

Pustynia. Rozrzedzone powietrze, wilgotność kilka procent, Słońce, które błyskawicznie wywołuje poparzenia szkodliwą dawką promieniowania UV. A mimo to, od kiedy tylko pożegnałem się z ALMA, marzę, żeby tam wrócić. To właśnie te surowe warunki czynią z Atakamy doskonałe miejsce do obserwacji radiowych: para wodna w powietrzu zazwyczaj blokuje fale radiowe przed dotarciem do powierzchni Ziemi.

Nocna zmiana operatorów ALMA to czas spędzony przed ekranami komputerów. Teleskopami kierujemy z budynku znajdującego się dwa kilometry niżej niż anteny. Przy minimalnej obsadzie czuwających inżynierów, ustawione na płaskowyżu Chajnantor, na wysokości nieco ponad 5 tys. m, w doskonałej synchronizacji skierują się na punkt na niebie, który za chwilę wybiorę.

Mam przed sobą listę projektów naukowych oczekujących na obserwacje. Biorąc pod uwagę warunki pogodowe i położenie obiektów na niebie, wybieram nowy cel. Dziś jest to księżyc Jowisza: Callisto. Przeglądam skrótowy opis projektu – astronomowie poszukują pary wodnej w jego atmosferze. No tak – myślę – nic tak nie absorbuje ludzkiej wyobraźni, jak poszukiwanie życiodajnej wody. Perspektywa tego, że pod powierzchnią gigantycznego satelity Jowisza mogą kryć się mikroorganizmy, które wyewoluowały zupełnie niezależnie od tych ziemskich, jest niemal oszałamiająca.

Wymieniam kilka zdań z Patricio, moim towarzyszem podczas nocnej zmiany. Upewniam się, że wszystko gra: pogoda jest idealna. ALMA przez najbliższą godzinę może spokojnie wpatrywać się w Callisto. Wychodzę więc na przerwę, robię kawę i idę na zewnątrz. Nigdy nie widziałem tak doskonałego nocnego nieba. Mam szczęście, że Księżyc jest świeżo po nowiu, tutaj to on przeszkadzałby najbardziej, bo o zanieczyszczeniu światłem z miast nie ma mowy. Najbliższe miasteczko, liczące niespełna 4 tys. mieszkańców San Pedro de Atacama, oddalone jest o ponad 30 km.



Kilka z 66 anten wchodzących w skład obserwatorium ALMA.

© ESO/B. TAFRESHI/TWAINIGHT.ORG

Dr Łukasz Tychoniec na położonym 5 tys. m n.p.m. chilijskim płaskowyżu Chajnantor, pustynia Atakama.



© DANILO VIDAL

► Tej nocy na niebie najjaśniejszy jest Jowisz. Wyciągam lornetkę i dopiero teraz mogę dojrzeć Callisto, tego samego, na którego patrzy teraz ALMA – ledwie dostrzegalną kropkę obok bardzo jasnego dysku Jowisza. Odkrycie czterech najjaśniejszych jego księżyców przez Galileusza uważa się za początek ery teleskopów. Od tego czasu każde nowe, większe, lepsze urządzenie powodowało postęp naszej wiedzy o wszechświecie.

Połowy w morzu szumu

Podstawowa zasada astronomii obserwacyjnej brzmi: Im większy teleskop, tym lepiej. Im większe lustro, tym lepsza rozdzielczość, a więc większa ilość szczegółów, które jesteśmy w stanie zaobserwować na niebie. Niestety, istnieją techniczne ograniczenia rozmiarów teleskopu, jaki potrafimy zbudować. Amerykański Green Bank Telescope (średnica 90 m) doświadczył tego na własnej skórze, zapadając się w 1988 r. pod własnym ciężarem.

Dzięki precyzyjnej technologii i zrozumieniu fizyki fal elektromagnetycznych potrafimy jednak obejść te trudności. Dzięki technice interferometrii umiemy połączyć obserwacje z kilku teleskopów i uzyskać rozdzielczość porównywalną do tej, którą miałby teleskop o średnicy reflektora (termin dotyczy i teleskopów optycznych, i radiowych) równej odległości między dwiema najodleglejszymi antenami w sieci. To dlatego ALMA – Atacama Large Millimeter Array – jest siecią 66 czasz o średnicy 12 lub 7 m. Maksymalna odległość między nimi może sięgać 16 km – a anteny mogą być przesuwane po płaskowyżu, tworząc konfiguracje zależnie od strategii obserwacyjnej.

Interferometria też ma swoje ograniczenia. Sieć teleskopów jest bardzo

selektywna: dwie anteny o odległości 16 km będą w stanie stworzyć obraz dysku protoplanetarnego odległego o 100 lat świetlnych od nas z dokładnością jednej jednostki astronomicznej (j.a.) – a więc obserwować obiekty o rozmiarach porównywalnych do odległości Ziemi od Słońca – ale będą kompletnie „ślepe” na chmurę pyłu o skali rzędu 1000 j.a. Dlatego im więcej anten, tym dokładniejsze zobrazowanie obiektów na niebie.

Skomplikowany proces kalibrowania i obrazowania stosowany w ALMA prowokuje wiele dyskusji. Czasem nietawo rozstrzygnąć, czy sygnał jest rzeczywisty, czy został tylko sztucznie wzmocniony przez niedoskonałość procesu obróbki danych (zdjęcia z ALMA to nie rzeczywisty obraz nieba, ale matematyczna rekonstrukcja). Chyba najśłynniejszą kontrowersją ostatnich lat było ogłoszenie odkrycia związku fosforu, fosfiny (PH_3), w atmosferze Wenus. Autorzy publikacji sugerowali, że obecność tej molekuly może być wywołana przez proste mikroby, lewitujące wysoko nad powierzchnią planety. Niestety wszystko wskazuje na to, że detekcja była wynikiem nadinterpretacji szumu w sygnale z planety.

Narodziny w odmętach pyłu

ALMA zaczęła obserwacje naukowe 10 lat temu, więc niedługo po tym, jak sam zacząłem studiować. Z radioastronomią nie chciałem mieć wtedy wiele wspólnego. Kojarzyła mi się ze scenami z filmu „Kontakt” Roberta Zemeckisa (na podstawie książki Carla Sagana pod tym samym tytułem), którego bohaterka, grana przez Jodie Foster, dosłownie nasłuchiwała sygnałów od obcych cywilizacji. Ja chciałem widzieć moje obserwacje. Inspirowany zdjęciami z teleskopu Hubble’a czy VLT (Very Large

Array w Nowym Meksyku), chciałem odkrywać piękno kosmosu, zamiast doszukiwać się znaczenia szumu.

Dziś jednak dzięki sieci ALMA również radioastronomowie mogą tworzyć spektakularne obrazy kosmosu. Jak ten przedstawiający dysk wokół mającej niespełna milion lat gwiazdy HL Tau. Wiedzieliśmy, że planety powstają w pobliżu młodych gwiazd, ale ujrzenie tego procesu tak wyraziście, podczas pierwszych obserwacji o naprawdę wysokiej rozdzielczości, zmieniło dla wielu, dla mnie również, sposób patrzenia na wszechświat.

Obserwacje dysku wokół HL Tau pokazały dużo więcej niż tylko spłaszczony wirujący dysk pyłu. Zobaczyliśmy też pierścieniowe struktury, które wydawały się krzyżować: Tu powstają planety! Wkrótce okazało się, że sprawa jest dużo bardziej skomplikowana i do dziś debatujemy nad pochodzeniem tych „pierścieni”, ale hipoteza planetarna pozostaje jedną z głównych.

I ja użyłem obserwacji ALMA do odkrycia, z którego jestem najbardziej dumny. Dzięki zmierzeniu masy bardzo młodych dysków (liczących mniej niż pół miliona lat) wykazałem, że są one dużo cięższe niż ich starsze odpowiedniki. Wiedząc, ile ważą tysiące planet pozasłonecznych w Galaktyce, doszedłem wraz ze współautorami publikacji do przełomowego wniosku: planety muszą powstawać bardzo szybko! Ich załążki wykształcają się już w ciągu 100 tys. lat od narodzin gwiazdy i dysku wokół niej. Duża liczba anten ALMA przekłada się na dużą powierzchnię zbierającą fale elektromagnetyczne. Już kilka minut wystarczy więc na wykrycie i zmierzenie w takim młodym dysku ilości energii generowanej przez pył, którą jesteśmy w stanie przeliczyć na jego całkowitą wagę.

Pył w kosmosie jest stosunkowo łatwy do wykrycia – emituje fale w całym spektrum elektromagnetycznym. Gaz natomiast zazwyczaj jest źródłem promieniowania o bardzo konkretnych częstotliwościach, ujawniających informacje o składzie chemicznym obserwowanych obiektów.

Perły w oceanie danych

ALMA ma doskonałą rozdzielczość spektralną – jest w stanie wykryć ruch gazu o prędkości kilkunastu metrów na sekundę i zidentyfikować jego składniki chemiczne. To dlatego chilijskie radioobserwatorium jest nazywane maszyną do astrochemii. Zawdzięczamy jej pierwsze odkrycie prostego cukru glikoaldehydu czy fosforanów, kluczowych do produkcji DNA, w obszarach aktywnego powstawania gwiazd. To tam za kilkaset tysięcy lat będą rodzić się – a być może już się rodzą – nowe planety, w skład których wejdą związki chemiczne obserwowane przez ALMA.

Warto też podkreślić kluczową rolę tego obserwatorium w Teleskopie Horyzontu Zdarzeń (Event Horizon Telescope – EHT). Projekt ten, łączący obserwacje z teleskopów radiowych z całego świata, dokonał najbardziej spektakularnego potwierdzenia ogólnej teorii względności Einsteina. Dostarczył pierwsze bezpośrednie zdjęcie czarnej dziury zakrzywiającej przestrzeń wokół siebie.

Dzięki nieosiągalnej wcześniej czułości na fale radiowe ALMA była w stanie odkryć najodleglejszą – kiedy dokonywano obserwacji, w roku 2022 – galaktykę. Co prawda pierwsze skrzypce w tej dziedzinie gra teraz Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba, a nagłówki artykułów co chwila obwieszczają odkrycie coraz to młodszych galaktyk, ale to właśnie ALMA jest używana do potwierdzania lub obalania tych rewelacji.

Spektakularna detekcja atomów tlenu w galaktyce młodszej niż 500 mln lat – to także zasługa ALMA. Dziś tlen jest jednym z najpowszechniejszych pierwiastków we wszechświecie, ale nie zawsze tak było. W wyniku Wielkiego Wybuchu bezpośrednio powstały tylko wodór, hel i śladowe ilości litu. Tlen i inne cięższe pierwiastki produkowane były w jądrach pierwszych gwiazd. Odkrycie tlenu w tak młodej galaktyce pozwala lepiej poznać proces powstawania i umierania tych obiektów.

Musze w świętych górach

Kierowanie obserwacjami ALMA bezpośrednio z Atakamy to wyjątkowe doświadczenie. Przez większość mojej kariery interakcja z ALMA polegała raczej

Przeszłość i przyszłość ALMA

W latach 80. stało się jasne, że astronomia potrzebuje dużych interferometrów, czułych na fale radiowe o długości mniejszej niż kilka milimetrów. Szybko okazało się, że taki projekt wymaga międzynarodowego zaangażowania. Trzy organizacje: ESO (European Southern Observatory), NRAO (National Radio Astronomy Observatory) i NAOJ (National Astronomical Observatory of Japan) połączyły więc siły, solidarnie dzieląc się kosztami konstrukcji (ok. 1,3 mld dol.). Tak powstała sieć teleskopów ALMA.

W ciągu najbliższych lat planowany jest „Wideband Sensitivity Upgrade”, który zwiększy zdolność sieci do obserwowania szerszego zakresu fal radiowych – i w krótszym czasie. Nie planuje się jednak zwiększania liczby anten. W tę stronę idzie natomiast ngVLA (New Generation Very Large Array), a więc następcą sieci VLA w Nowym Meksyku. Z obecnych 27 anten obserwatorium ma się rozrosnąć do ponad 200. Będzie doskonałym partnerem ALMA do odkrywania kosmosu. Podobnie jest ze SKA (Square Kilometer Array), siecią teleskopów nowej generacji w Australii i Republice Południowej Afryki. Niebo będzie badać setką tysięcy anten radiowych w zakresie jeszcze niższych częstotliwości niż ALMA i VLA. Pierwsze obserwacje są planowane na rok 2027.

na żmudnym aplikowaniu o choćby kilka godzin cennego czasu obserwacyjnego. Rywalizowałem o niego z naukowcami z całego świata podczas ogłaszanego raz w roku konkursu. Zazwyczaj wniosków jest ośmiokrotnie więcej niż możliwości obserwatorium. Nagrodą jest jednak jedyne w swoim rodzaju uczucie, kiedy po latach aplikowania otrzymuję magicznego maila z informacją, że dane są gotowe do pobrania. Potem już tylko kilka kliknięć i patrzę na fragment kosmosu, którego nikt wcześniej nie widział. To wszystko dzieje się jednak zdalnie. Na miejscu zaś, dzięki wejściu w rolę obserwatora, czuję, że moja praca za kilka tygodni bardzo ucieszy astronoma lub astronomkę na drugim końcu świata, gdy dotrą do nich wymarzone obserwacje.

Szansę ujrzenia anten na własne oczy dostaję dopiero ostatniego dnia pracy w obserwatorium. Na szczęście

dzięki uprzejmości Danilo, na co dzień pracującego jako specjalista od kontaktów z mediami, zabieram się na 40-minutową podróż w górę. Jeszcze przed wyjazdem sprawdzamy ciśnienie krwi i dostajemy własne zapasy tlenu. Tam, gdzie znajdują się teleskopy, to obowiązkowe wyposażenie.

Słucham o pracy Danilo: ważną częścią jego obowiązków jest kontakt z miejscową społecznością, zwłaszcza edukacja astronomiczna w szkołach. Pustynia zamieszkiwana jest przez rdzenne chilijskie plemiona Atacamen. Danilo dba o dobre stosunki z nimi – nie zamierza popełnić błędów innych obserwatoriów, na przykład z Hawajów. Tamtejsze instalacje astronomiczne nie spotkały się z przychylną reakcją lokalnych mieszkańców. Wulkany, na których położone są teleskopy, uważają oni bowiem za święte góry. Brak porozumienia zahamował pracę nad nowym flagowym projektem Amerykanów: Thirty Meter Telescope.

Także dlatego Chile, zgadzając się na wybudowanie teleskopów, otrzymało specjalny status w projektach badawczych i dodatkowy czas pracy teleskopów zagwarantowany dla ich naukowców.

Życie w głębinach kosmosu

Kilka miesięcy temu świat obiegała informacja o tym, że ALMA zaobserwowała parę wodną w dysku protoplanetarnym. Obecność wody w kosmosie znowu rozbudziła wyobraźnię. Nowe dane pozwoliły ustalić ostatni, brakujący odcinek podróży wody z obłoku molekularnego, w którym powstaje, przez dysk, aż do planet. Sugerują, że woda obecna na Ziemi powstała prawdopodobnie jeszcze przed narodzinami Słońca.

ALMA to jeden z nielicznych teleskopów zdolnych do wykrywania pary wodnej w kosmosie. Unikalna lokalizacja i przełomowa technologia sprawiają, że jeszcze przez wiele dekad będzie pogłębiała naszą wiedzę o wszechświecie, a jej przyszłość wydaje się bardzo optymistyczna. W ciągu najbliższych kilku lat wprowadzony zostanie szereg usprawnień, które znacząco zwiększą efektywność obserwacji. To oznacza rutynowe detekcje składników chemicznych wokół powstających gwiazd w Drodze Mlecznej, ale i odkrywanie tajemnic pierwszych galaktyk.

Atacama Large Millimeter Array jak żaden inny instrument w dziejach przybliżyła nas do odpowiedzi na pytania: Jak powstało życie na Ziemi? Czy i jak może pojawić się na innych planetach? Czy jesteśmy sami we wszechświecie?

ŁUKASZ TYCHONIEC

WIESŁAW WŁADYKA

Ich Polska

Coraz gorętsze stają się pytania, co będzie z Polską po nadchodzących wyborach parlamentarnych. W którą stronę pójdzie? I co sądzą o tym młodzi ludzie?

Od kilku lat odpowiedzi na trudne polityczne pytania szuka Concilium Civitas, skupiające kilkudziesięciu wybitnych uczonych i ekspertów, Polaków z pochodzenia, pracujących w ośrodkach akademickich na całym świecie. Dyskutują, konferują, piszą teksty, udzielają się publicznie w polskich mediach. Patronują też merytorycznie i, można powiedzieć, moralnie rozpisane-mu konkursowi dla maturzystów, którzy w tym roku przedstawili swoje eseje na temat: „Moja Polska po wyborach 2023”.

Ukazały się dwa wydawnictwa, pod redakcją naszego kolegi redakcyjnego Jacka Żakowskiego, który koordynuje wszystkie te inicjatywy i aktywności. Pierwsze to tzw. Almanach – ten pierwotny, właściwy, grupujący 24 teksty szacownych uczonych, a drugie tzw. Młody Almanach, zawiera 20 wybranych i nagradzanych esejów maturzystów.

O ile w sposób oczywisty te eseje miały obowiązek skupiać się na Polsce, na rodzimej perspektywie, o tyle wypowiedzi profesorskie często osadzały polskie sprawy w szerszych kontekstach, prezentowały też nowe tendencje w naukach społecznych, nowe ujęcia i nowe badania.

Roi się od wątków, przykładów, nazwisk i przypisów, ale przecież autorzy już nie pierwszy raz wykazują umiejętność pisania jasnych, zrozumiałych zdań i atrakcyjnych analiz. Przykład jeden z wielu. W tekście poświęconym dzisiejszym elitom politycznym na Węgrzech i w Polsce Jan Pakulski (z Hobart) pisze o „spiralnym”, przyspieszonym rozkładzie tychże elit. „Im bardziej węgierskie i polskie elity cementują swoją władzę rządową – poprzez podsycanie podziałów, wykluczanie i kneblowanie krytyków, poszerzanie stronniczego nepotyzmu oraz pogłębianie w swojej polityce ideologicznych uprzedzeń – tym mniej skuteczne jest ich rządzenie, tym gorsze

zarządzanie, tym wyższe koszty społeczno-gospodarcze i głębsza marginalizacja w UE. Ta spiralna regresja rządu odróżnia Węgry i Polskę od pozostałych sąsiadów Europy Środkowo-Wschodniej”.

Prof. Pakulski porównuje pozycje polityczne Viktora Orbána i Jarosława Kaczyńskiego, z niekorzyścią dla ostatniego. Kaczyński nie jest tak popularny jak Orbán, nie ma charyzmy, nie kontroluje aparatu

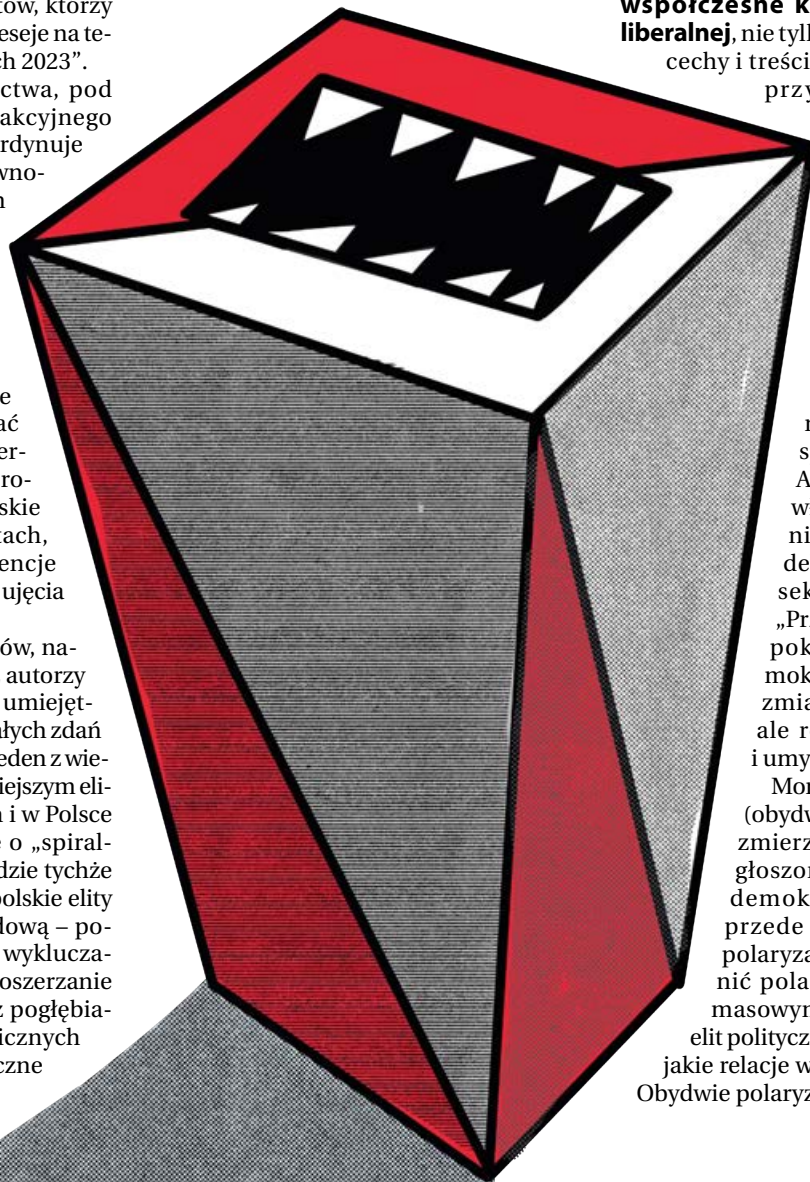
państwowego i mediów jak premier Węgier, nie ma porównywalnego daru krasomówczego i retorycznego. Kaczyński w tej umownej konkurencji nie umie wykorzystać na swoją korzyść nawet polskiego poparcia dla Ukrainy ani strategicznego położenia Polski. Elita Jarosława Kaczyńskiego wygląda na słabszą i bardziej zagrożoną niż jej węgierscy odpowiednicy”.

Autorzy Almanachu próbują opisać współczesne kryzysy demokracji liberalnej, nie tylko w Polsce. Jakie są ich

cechy i treści, jakie logiki i związki przyczynowo-skutkowe o nich decydują?

Ireneusz Korolewski i Robert Sata (obydwaj z Lipska) wskazują na regres obywatelskości w reżimach, które odchodzą od demokracji liberalnej. Ta obywatelskość sprowadza się do roli obserwacyjnej, obywatele tworzą specyficzną widownię. A kontrolująca media władza manipuluje opinią publiczną i kieruje debatą polityczną. Konsekwencje są głębokie. „Przykłady Węgier i Polski pokazują, że regres demokracji dotyczy nie tylko zmian instytucjonalnych, ale również zmiany »serc i umysłów«”.

Monika Nalepa i Ipek Cinar (obydwie z Chicago) próbują zmierzyć się z powszechnie głoszoną tezą, że do zaniku demokracji przyczynia się przede wszystkim fenomen polaryzacji. Proponują odróżnić polaryzację w elektoracie masowym i polaryzację wśród elit politycznych i zastanawiają się, jakie relacje występują między nimi. Obydwie polaryzacje mogą iść w parze.



Najbardziej niebezpieczną formą polaryzacji jest ta, gdy „liderzy tworzą w elektoracie niestwierdzające wcześniej podziały. Takie tworzenie podziałów może nastąpić poprzez polaryzującą retorykę, która przedstawia codzienne decyzje polityczne jako kwestie typu „my versus oni”.

W obszernym studium Jan Kubik (Londyn) pisze, jak to „nieliberalizm” stał się formą kultury, jaka odróżnia Europę Środkowo-Wschodnią, w tym Polskę, od Zachodu. Walka z liberalizmem jako wzorem narzuconym, wymuszającym naśladownictwo, trwała w regionie od początku transformacji, a w ostatnich latach uzupełniona o wzmoczoną produkcję ideologii antyliberalnych. Ten konflikt ideologiczny „(...) jak pokazuje przykład Polski, prowadzi do wojny kulturowej i niebezpiecznie zideologizowanego, a więc trudnego do rozwiązania konfliktu politycznego, który zagraża liberalnej demokracji”.

Na osobne wyróżnienie zasługują rozważania w wielu tekstach dotyczące kobiet, to dzisiaj narastający temat, pobudzony dodatkowo antyfeministyczną polityką rządzących w Polsce. Anna Gwiżdża (Londyn) pisze o problemie „niedoreprezentowania” kobiet w polskiej polityce, co także osłabia demokrację liberalną.

Poruszano i inne gorące w Polsce tematy. Jan Grabowski (Ottawa) zastanawia się, jaki Polacy mają problem z Zagładą. Georges Mink (Paryż) w związku z wojną w Ukrainie analizuje związki geopolityki, historii i pamięci. Agnieszka Golec de Zavala (Londyn) i Wojciech Sadowski (Sydney) wprowadzają ład znaczeniowy i pojęciowy do kategorii: równość, sprawiedliwość społeczna, praworządność, prawowitość.

Jan Zielonka (Oksford) wpisuje się w dyskusję, która także w Polsce się nasila, na temat renesansu idei państw narodowych jako przeciwwagi dla Wspólnoty Europejskiej. Nacjonaliści wzbudzają emocje i manipulują historią dla wzmocnienia tezy, że państwo narodowe najlepiej chroni ludzi przed kryzysami. „Analiza wydarzeń, które ponoć potwierdziły siłę narodów i ich państw, pokazuje coś odwrotnego. Państwa narodowe w coraz większym stopniu zależą od współpracy organizacji lokalnych, regionalnych, globalnych. Skuteczne są nie te państwa, które wymachują narodową flagą, lecz te, które potrafią współpracować ze swoimi miastami czy z Unią Europejską”.

Pytanie: co po autokratach?, zadali Maciej Kisilowski (Wiedeń) i Anna Wojciuk (Warszawa) i nawet zaproponowali zmiany ustrojowe, dla których instytucjonalnym

fundamentem byłby nowy Senat w formie rady samorządowych wojewodów i prezydentów największych miast. Niżej, w każdym regionie działałyby senaty wojewódzkie składające się z wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. Ważniejsze było jednak co innego: autorzy wezwali do nowej umowy społecznej Polek i Polaków. Trzeba znaleźć szanse na dialog, co może być możliwe, jeśli zrozumiemy się i uszanuje powody, które skłaniają ludzi do wspierania autorytarnych populistów. „Receptą na kryzys demokracji w Polsce, USA i innych państwach nie może być założenie, że strona progresywna będzie po prostu zawsze wygrywać wybory. Nie da się zbudować realnej demokracji wbrew zdeterminowanemu blokowi 30–40 proc. naszych konserwatywnych współobywateli i współobywateli”. Podobne myśli i porady wystąpiły w wielu innych tekstach.

Ale więcej o przyszłości pisali juniorzy w Młodym Almanachu. Jacek Żakowski podkreśla we wstępie, że w tym roku maturzyści, w odróżnieniu od koleżanek i kolegów z poprzednich edycji, wykazują więcej optymizmu i nadziei. Wcześniej doświadczenie pandemii i wybuchu wojny w Ukrainie rodziło nastrojów bezalternatywnej beznadziei. „Miejsce złej przyszłości zajęła zła teraźniejszość i przeszłość, po których może – choć jednak nie musi – przyjść jakaś lepsza przyszłość. Dystopijny determinizm osłabł, a jego miejsce zajęła krytyka otwierająca możliwość lepszej rzeczywistości”. W mrocznym tunelu polskiej polityki jakby pojawiło się delikatne światło nadziei i optymizmu oraz zapowiedź większej aktywności obywatelskiej młodych.

Liv Vanhofen (Szczecin) deklaruje: „W tej chwili przyszła pora na nasze spostrzeżenia i uwagi, decyzje i kompromisy. W tym roku pora na nasz głos!”. Danuta Macioszek (Zielona Góra) pójdzie do wyborów, bo chce zmian. Nawet jeśli ich wynik nie będzie po jej myśli, będzie dalej działać i pracować na rzecz koniecznych reform. „Nie wyrzeknę się ojczyzny tylko za nienawiść szerzoną przez przykłady z góry czy za brak zgody między obywatelami, korupcję, inflację, ceny na półkach sklepowych, nagonki w mediach i takie tam inne drobne nieporozumienia”. Dodaje jednak: „A jeśli ona wyrzeknie się mnie?...”. Z kolei Franciszek Lewandowski (Gdynia) podkreśla wyjątkowe znaczenie nadchodzących wyborów. Widzi splot z nimi swoich osobistych wyborów, zdaje sobie sprawę z ich ścisłego związku.

Dodajmy, że eseje maturzystów nie epatują patosem, pozbawione są

egzaltacji, unikają wielkich słów i kwantyfikatorów, mocno trzymają się ziemi. Rafał Marchwacki (Warszawa) pisze: „liczę, że już za kilka lat uda mi się wynająć tanie mieszkanie wybudowane przez państwo”. Wiele uwag i spostrzeżeń dotyczy wadliwego funkcjonowania państwa, w wielu dziedzinach i miejscach, czego maturzyści doświadczają osobiście. Szkoła, służba zdrowia, komunikacja, brak polityki mieszkaniowej i demograficznej.

Młodzi właściwie jednym głosem mówią źle o dzisiejszej władzy. Cytowany Rafał Marchwacki jest pewien: „Możliwa trzecia kadencja prawicy nie przyniesie świetlanej przyszłości ani mnie, ani moim rówieśnikom”. A Jakub Kuliński (Sierpc): „Niestety, obecnie Polska idzie, tak jak Węgry, w stronę państwa autorytarnego. Obecna władza przez swoje działania sprawia, że demokracja staje się zagrożona”. Norbert Kamiński (Warszawa): „Niestety, z perspektywy własnej, młodego Polaka, czuję, że moje państwo zatrzymało się w miejscu, a nawet cofnęło się pod względem rozwoju”. Emilia Janowska (Nowy Dwór Mazowiecki): „Bardzo pesymistycznie oceniam przyszłość mojej Polski, jeśli obecnie rządząca partia wygra kolejne wybory”.

Można też bardziej metaforycznie i poetycko, co demonstrowa Natalia Zamyłka (Warszawa): „Ta szarzyzna, która latem spełza z bloków pod postacią cienia, i ta szarzyzna, której nigdy nie nauczyłam się rozumieć, przyjdzie po mnie”.

Przywołany już Norbert Kamiński próbował nakreślić mapę wartości bliskich jego pokoleniu: „Za najważniejsze wartości, obszarzy w swoim życiu młodzi Polacy uznają rodzinę, wolność (światopoglądową lub gospodarczą), zdrowie oraz ekologię i środowisko naturalne”. To się powtarza w wielu tekstach, w różnych kompozycjach, często z dodatkowymi wolnościami obyczajowymi i feministycznymi, wolnością od Kościoła. Nie mogło zabraknąć jeszcze jednego apelu. Paweł Skarzyński (Białystok) napisał: „Innym sposobem na to, by ludzie poczuli się wolni, mogłaby być legalizacja lub depenalizacja używania marihuany”.

Jest odwaga, jest krytycyzm, jasno zarysowane pola wartości, gotowość do aktywności demokratycznej, a także odpowiedzialność za przyszłość. Młody Almanach świetnie uzupełnia Almanach zacnych seniorów, wybitnych profesorów.

Almanach 2023/2024, Fundacja Collegium Civitas, Warszawa 2023; **Młody Almanach**, Fundacja Collegium Civitas, Warszawa 2023.



Uroczyste przyjęcie cara Mikołaja II w Paryżu w 1896 r., obraz Georgesa Beckera, XIX w.

Rosja nie kupiła demokracji

Ferment, jaki na początku XX w. ogarnął państwo carów, podsunął zachodnim krajom pomysł, że dając Rosji pieniądze, ucywilizują ją i zdemokratyzują. Pomyliły się.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

W

szystkie warstwy społeczeństwa rosyjskiego są wzburzone w najwyższym stopniu” – napisał w raporcie przesłanym z Petersburga do Paryża pod koniec sierpnia 1904 r. ambasador Maurice Bompard. Doświadczony dyplomata znał dobrze Rosję. 12 lat wcześniej brał udział w negocjowaniu warunków sojuszu wojskowego,

jaki III Republika zawarła z imperium Romanowów. Zaś od 1902 r. kierował tam placówką dyplomatyczną. Kraj rządzony przez Mikołaja II sprawiał wówczas wrażenie stabilnego. Jednak wystarczyły militarne klęski poniesione w wojnie z Japonią, a natychmiast zaczął ogarniać go stan wrzenia. Bompard donosił

zwierchnikom, że szczególnie proletariat rosyjski jest „gotowy jako pierwszy wznieść rewolucję, ponieważ żądania jego przybierają coraz bardziej gwałtowny charakter”.

Rebelie, które przez sto lat wybuchwały regularnie nad Sekwaną, przynosiły narodziny kolejnych republik. Toteż brytyjski ambasador Charles Hardinge w raportach z listopada 1904 r. podkreślił, że państwo carów weszło w stan „krytycznego wzburzenia”, ale przynosi to szansę na liberalne reformy, że być może Mikołaj II zgodzi się zrezygnować z samodzielnego rządzenia na rzecz demokratyzacji imperium. Tym sposobem rozładowując społeczne napięcie. Tymczasem w niedzielę 22 stycznia 1905 r. konfident tajnej policji, Ochrany, pop Georgij Gapon zorganizował w Petersburgu wielką manifestację robotników. Zebrani przez związki zawodowe ludzie pomaszerowali pod Pałac Zimowy z petycją, w której prosili cara o podwyżki i wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia

pracy. Rzeczą do dziś niejasną pozostaje, czemu żołnierze dostali rozkaz strzelania do pokojowo nastawionego tłumu. Zginęło 96 osób (oficjalnie), acz w Moskwie mówiło się, że liczba śmiertelnych ofiar szła w setki. Po masakrze zamieszki ogarnęły Petersburg oraz wielkie miasta. Wkrótce przeniosły się na wieś. Zaskoczeni francuscy i brytyjscy dyplomaci ślali o tym raporty, wskazując, że ten kryzys rodzi też niespodziewane szanse.

Łowy na niedźwiedzia

„W Berlinie, Paryżu i Londynie uważano, że w przewidywanej wojnie europejskiej Rosja odgrywać będzie ważną rolę ze względu na swoje położenie geograficzne oraz potencjał ludnościowy i surowcowy” – napisał w opracowaniu „Rządy mocarstw zachodnioeuropejskich wobec rewolucji 1905–1907 roku w Rosji” Andrzej Maciej Brzeziński. Imperium Romanowów, osłabione klęską poniesioną w wojnie z Japonią oraz rewolucją, stało się wówczas przedmiotem rozgrywki dyplomatycznej, prowadzonej przez Francję, Wielką Brytanię i Niemcy. Jej celem było „zmuszenie rządu carskiego do uległości i przyłączenia Rosji do bloku państw Trójprzymierza bądź »serdecznego porozumienia« [entente cordiale]”.

Najlepszym refleksem w tym wyścigu wykazał się niemiecki cesarz Wilhelm II. Z jego inicjatywy umówiono na drugą połowę lipca 1905 r. spotkanie z Mikołajem II w Zatoce Wyborskiej niedaleko wyspy Björkö. Hohenzollern nie bez przyczyny uchodził za osobę o wiele inteligentniejszą od swego nierozgarniętego kuzyna. Podczas rozmów prowadzonych na pokładzie jachtu „Polarnaja zwiezda” bez problemu udało mu się przekonać Mikołaja II, by podpisał tajny pakt. Gwarantował on Berlinowi wsparcie Petersburga w razie wojny z Francją. To de facto przekreślało zawarty w 1892 r. sojusz francusko-rosyjski. Tryskający entuzjazmem Wilhelm II zanotował w dzienniku: „poranek 24 lipca 1905 r. w Björkö stał się przełomowym momentem w dziejach Europy – dzięki łasce Boskiej – i ulżył położeniu mojej drogiej ojczyzny, która wyzwoliła się wreszcie z tych potwornych kleszczy Galii i Rosji”. Optymizm cesarza okazał się przedwczesny, bo wprawdzie kuzyn był władcą absolutnym, lecz łatwo ulegał swemu otoczeniu. „Kiedy zapoznali się z nim [układem z Björkö – przyp. aut.] minister spraw zagranicznych hrabia Władimir Lamsdorf i przewodniczący gabinetu ministrów Siergiej Witte,



Mikołaj II przemawia na otwarciu pierwszej Dumy w Petersburgu, 1906 r.

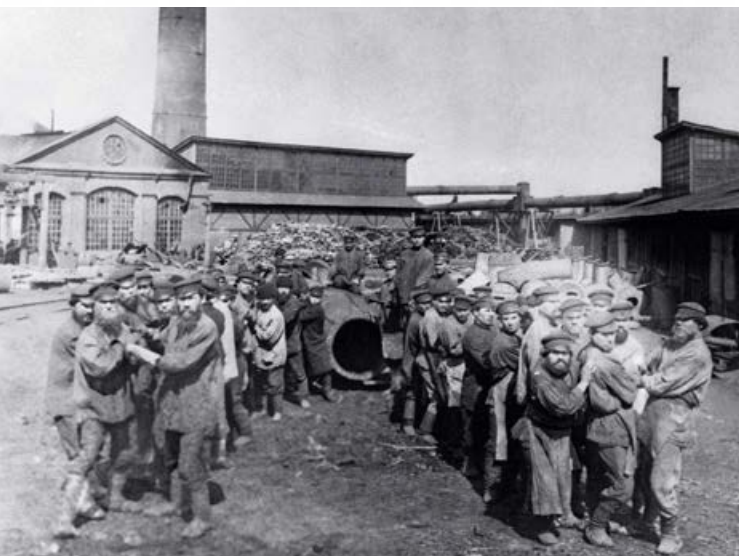
wpadli w panikę” – stwierdził w „Historii Imperium Rosyjskiego” – Michaił Heller. Lamsdorf usiłował uświadomić carowi, że jeśli w Paryżu dowiedzą się o układzie z Björkö, to najprawdopodobniej zerwą porozumienie rosyjsko-francuskie, Rosja znajdzie się w izolacji, zależna od Niemiec. Mikołaj uległ argumentom najbliższych współpracowników i przekazał Wilhelmowi II, iż cofuje swój podpis.

Tymczasem we Francji z niepokojem obserwowano poczynania cara, którego kolejne wolty prokurowały nowe kryzysy i pogrążyły Rosję. W parlamencie przywódca socjalistów Jean Jaurès żądał, by III Republika sama zerwała sojusz z reżimem, określanym mianem „rządu oprawców”. Jednak rząd, obawiając się wojny z Niemcami, nie chciał się na to zgodzić. Kiedy więc socjaliści zaczęli organizować antycarskie manifestacje, minister spraw zagranicznych Théophile Delcassé przesłał prefektom policji nakaz rozpędzania zgromadzeń szkalujących Rosję. Szef francuskiego MSZ, który rok wcześniej doprowadził do podpisania przez Francję i Wielką Brytanię „serdecznego porozumienia”, nie chciał dopuścić, aby zaczęły się rozpadać więzy łączące III Republikę i Rosję. Marzył, by w kolejnym kroku doszło do zbliżenia między Londynem oraz Petersburgiem. To ostatecznie zamknęłoby Niemcy w okrążeniu. Koncepcja ta odpowiadała także premierowi Arthurowi Balfourowi. Skoro Wilhelm II rozpoczął intensywną rozbudowę marynarki wojennej i otwarcie żądał nowych kolonii dla Rzeszy, automatycznie stawał się najgroźniejszym z wrogów imperium brytyjskiego. W tej układance główny problem stanowiła Rosja oraz jej car.

Przez pieniądze do przyjaźni

Imperium Romanowów pod koniec 1905 r. przeżywało potężny kryzys finansowy. W Banku Państwowym Rosji rezerwa złota skurczyła się do mizernej wartości 12 mln rubli (na pokrycie bieżących zobowiązań brakowało 600 mln rubli). Co gorsza, emitowane przez rząd obligacje na rynkach finansowych zaczęły wyceniać gorzej od chińskich. Kierowany przez Wittego rząd zaczął gorączkowo szukać za granicą kredytu, który pozwoliłby uratować państwo przed bankructwem.

W tym czasie narastał konflikt między Francją a Niemcami, które starały się przeszkodzić w ustanowieniu w Maroku władz podporządkowanych Paryżowi. Premier Ferdinand Sarrien wspólnie z nowym ministrem spraw zagranicznych Léonem Bourgeois postawili sprawę jasno: Witte mógł liczyć ►



Próby uprzemysłowienia kraju: konstruktorzy i pracownicy kopalni w mieście Kulebaki w obwodzie niżnonowogrodzkim.

► na francuską pożyczkę, jeśli Rosja opowie się po stronie Francji w kwestii Maroka. Co więcej, kredyt Petersburgowi za namową Bourgeois zaferowały też Wielka Brytania oraz banki holenderskie i austriackie – łącznie ponad 2,7 mld franków. „Była to największa pożyczka, jaką kiedykolwiek zawarto w historii życia narodów – odnotował Witte w swoich pamiętnikach. – Pożyczka ta umożliwiła rządowi carskiemu przeżycie wszystkich perypetii lat 1906–1910, dając mu zasób pieniędzy, które wraz ze ściągniętymi z Zabajkala wojskami przywróciły porządek i pewność siebie w poczynaniach władzy”. Rosyjski premier przyjął francuskie warunki. Urażony tym do żywego cesarz Wilhelm II uciął wszelkie rozmowy o ewentualnej pożyczce od Niemiec. Tym sposobem francuska dyplomacja ostatecznie przekreśliła ustalenia z Björkö, a jednocześnie otworzyła drogę do zbliżenia Wielkiej Brytanii z Rosją. W Petersburgu doceniono hojność Londynu.

Jednak pojawiły się dodatkowe warunki ze strony Zachodu. Francuzom bardzo zależało na tym, żeby carskie imperium weszło na drogę demokratycznych reform. Tego w parlamencie zaczęli domagać się już nie tylko socjaliści, ale i chrześcijańska prawica. Postulując wypłatę pożyczki dopiero po spełnieniu tegoż warunku. „W Paryżu i Londynie przypuszczano, że rząd carski wejdzie wreszcie na drogę demokratycznych przemian i »europeizacji«” – napisał Brzeziński. Wcześniejsze ustępstwa Mikołaja II poczynione wobec rosyjskich reformatorów, zgoda na powołanie do życia Dumy i pierwsze w historii Rosji powszechne wybory wiosną 1906 r. zdawały się potwierdzać realność tych nadziei. Uroczystie podpisano umowę kredytową 16 kwietnia 1906 r. w ambasadzie Rosji w Paryżu. Trzy tygodnie później rosyjski parlament rozpoczął pracę. „Otwarcie I Dumy Państwowej 10 maja 1906 r. oceniono w Paryżu i w Londynie jako zapowiedź konstytucyjnych przemian w Rosji” – podkreślił Brzeziński. Nie zamartwiano się tym, że wybory wygrała Partia Konstytucyjno-Demokratyczna, otrzymując prawie 38 proc. głosów. Domagała się ona zaś dalszych reform, prowadzących do likwidacji carskiego samodziśzwawia oraz nadania Rosji konstytucji. Co więcej, liberałowie wspierani przez socjalistów chcieli, aby to parlament decydował o obsadzie ministerialnych stanowisk w rządzie. Ale dla Mikołaja II demokracja kraju stanowiła zmianę niemożliwą do zaakceptowania.

Kredyty nie robią demokracji

Pracami Dumy żywo interesowano się w Europie. Także rosyjskie elity emocjonowały się przebiegiem jej obrad. Jedyną osobą, której zdawało się to być obojętne, okazał się car. W prowadzonym przez siebie dzienniku szczegółowo notował, jak spędził kolejny dzień, opisując stan zdrowia bliskich, pogodę i parady wojskowe, jakie odebrał. Parlamentowi nie poświęcił jednego zdania. Śmiertelna wrogość, którą okazywał owocowi kompromisu, do jakiego został zmuszony, stawała się widoczna na każdym kroku.

Negowanie przez monarchę wszystkiego, co tylko powstało na forum Dumy, szybko dostrzeżono w Paryżu. Premier Sarrien, po rozmowie ze swym ministrem spraw zagranicznych, zdecydował się zatem na dyskretną interwencję. Ambasador Maurice Bompard otrzymał zadanie uzyskania audiencji u Mikołaja II, by poinformować go, że Paryżowi niezwykle zależy na zgodnej współpracy cara z Dumą. Jednak przed spotkaniem z monarchą Bompard musiał poinformować szefa rosyjskiego MSZ Aleksandra Izwołskiego, o czym chce rozmawiać. Ten zaś uprzedził cara. Władca zachował się tak, jak nakazywała mu imperialna tradycja. Odmówił przyjęcia francuskiego dyplomaty.

Duma przetrwała ledwie 72 dni. Korzystając ze swych prerogatyw, car ją rozwiązał i ogłosił nowe wybory. Dwa dni potem

odbywała się w londyńskim pałacu westminsterskim sesja Unii Międzyparlamentarnej, założonej jeszcze w 1889 r. w Paryżu międzynarodowej organizacji, skupiającej parlamentarzystów z krajów, w których funkcjonowała choćby namiastka demokracji. Sześciu przedstawicieli Dumy, o której rozwiązaniu się dowiedziano, fetowano jak bohaterów. Brytyjski premier Henry Campbell-Bannerman na ich cześć wznosił okrzyk: „Duma umarła, niech żyje Duma!”.

Tę demonstrację Mikołaj II zniósł bardzo źle, lecz nie zamierzał iść na ustępstwa. Zwłaszcza że nowo wybrany parlament znów okazał się zbyt postępowy. Dopiero mianowanie premierem znanego z twardej ręki Piotra Stołypina uspokoiło cara. Wprawdzie z powodu konfliktu z Dumą francuscy bankierzy odprawili z kwitkiem ministra finansów Władimira Kokowcowa, gdy ten zabiegał o kolejny kredyt, lecz na tym lista strat Petersburga się kończyła. Dla rządów Wielkiej Brytanii i Francji o wiele ważniejsza od demokratyzacji Rosji była wciąż rozgrywka z Niemcami.

Przez cały 1906 r. toczyły się rokowania między przedstawicielami Wielkiej Brytanii i Rosji, w których starano się rozwiązać kwestie sporne, poczynając od konfliktu o wpływy w Afganistanie i Persji, na Dalekim Wschodzie kończąc. Londynowi zależało coraz bardziej, żeby domknąć trójporozumienie i wspólnie z Petersburgiem oraz Paryżem zablokować Berlinowi możliwość dalszej ekspansji. Starannie dbano więc o dobrą atmosferę. „Na początku października 1906 r. część posłów Izby Gmin zamierzała wyjechać do Rosji, aby zapoznać się z sytuacją wewnętrzną kraju. Rząd sprzeciwił się temu zamierzeniu, uważając, że mogłoby to zaostrzyć ponownie stosunki angielsko-rosyjskie” – stwierdził Brzeziński. Ostro na temat tego pomysłu wypowiedział się dla „Daily Mail” premier Stołypin.

Jednak niechęć brytyjskich obywateli wobec carskiego samodziśzwawia się nasilała. Ludzi szokowały metody, jakimi rosyjski rząd pacyfikował u siebie nastroje rewolucyjne. Za sprawą stołypinowskich sądów doraźnych na szubienicę trafiły cztery tysiące wyrotowców, a drugie tyle zesłano na Syberię. Jednocześnie przez imperium przetoczyła się fala pogromów Żydów, organizowanych przez nacjonalistów z Czarnej Sotni. Na koniec zaś 16 czerwca 1907 r. Stołypin, wspierany gorąco przez Mikołaja II, rozwiązał drugą Dumę, gdy nie zgodziła się znieść prawa gwarantującego posłom nietykalność.

Minister spraw zagranicznych Edward Grey napisał wówczas do rezydującego w rosyjskiej stolicy ambasadora Arthura Nicolsona, że jeśli carski rząd nadal będzie prowadzić politykę „pogromów i sądów wojennych”, to obawia się rozmiarów krytyki, która w brytyjskim parlamencie spadnie na pomysł sojuszu z takim państwem. W odpowiedzi ambasador uspokajał, że po rozmowach ze Stołypinem jest przekonany, iż szef rosyjskiego rządu jest wielkim zwolennikiem angielskiego ustroju politycznego. Pragnie zmieniać Rosję tak, by zmierzała w stronę monarchii parlamentarnej, tylko miejscowa specyfika wymusza ostrożność. Pogląd ten natychmiast zaczęto rozpowszechniać w Wielkiej Brytanii. Ale podpisanie 31 lipca 1907 r. układu z imperium Romanowów brytyjska opinia publiczna przyjęła bardzo chłodno. Inaczej niż we Francji, gdzie strach przed Niemcami i wielka słabość do Rosji sprawiły, że falę niechęci po brutalnym tłumieniu społecznych buntów zastąpił nowy przypływ sympatii. Miał on tendencję rosnącą w miarę zawiązywania coraz mocniejszych relacji gospodarczych. Kiedy w czerwcu 1914 r. prezydent III Republiki Raymond Poincaré odwiedził Petersburg, serdecznie witany przez Mikołaja II, o demokratyzowaniu imperium Romanowów nikt nawet nie napomknął. A potem wybuchła Wielka Wojna.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

Letnie łamanie głowy!



Zagadki logiczne, liczbowe, słowne i wiedzowe
– każdy znajdzie coś dla siebie!

Do kupienia w kioskach oraz na sklep.polityka.pl

Jak Misztal szedł po Wałęsę

W sierpniu 1980 r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zaproponowało siłowe złamanie strajków na Wybrzeżu. Komandosi byli gotowi do akcji.



GRZEGORZ MAJCHRZAK

Naczelnik Wydziału Zabezpieczenia Komendy Stołecznej MO Edward Misztal (z prawej) podczas ćwiczeń. Miał dowodzić plutonami specjalnymi w Gdańsku.

Ekipa Edwarda Gierka – pamiętająca skutki krwawej pacyfikacji Grudnia '70 – zdecydowała się na „mniejsze zło”, za jakie uznała realizację postulatów strajkowych, wśród których kluczowym była zgoda na utworzenie niezależnych (od władz i pracodawców) związków zawodowych. Mimo politycznej decyzji o rezygnacji z działań siłowych w MSW przygotowywano się do nich nawet

w ostatnich godzinach przed podpisaniem porozumień gdańskich. Komandos, którzy mieli zatrzymać przywódców strajku, byli gotowi do akcji.

26 sierpnia 1980 r. o godz. 10.00 Sztab Operacji „Lato 80” (struktury MSW utworzonej 10 dni wcześniej „dla koordynowania zintensyfikowanych działań jednostek resortu spraw wewnętrznych w celu zapewnienia bezpieczeństwa, ładu i porządku publicznego w kraju”) przedstawił

swoją wizję zakończenia strajków na Wybrzeżu. Zakładała uruchomienie – przy wykorzystaniu jednostek Marynarki Wojennej – portów w Gdańsku oraz Świnoujściu, a także blokadę Stoczni Gdańskiej im. Lenina przez Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej (ZOMO) z „jednoczesnym ultimatywnym wezwaniem” strajkujących do jej opuszczenia.

Jednocześnie miała zostać rozpoczęta akcja propagandowa skierowana do gdańskich stoczniovców i mieszkańców Trójmiasta mająca zaprezentować rzekomą dobrą wolę władz i zrzucić odpowiedzialność za niepowodzenie negocjacji na „elementy antysocjalistyczne”, czyli działaczy opozycji. Przewidywano aresztowanie czołowych opozycjonistów, wniesienie przeciwko nim aktów oskarżenia oraz zablokowanie (ponowne) łączności telefonicznej z Wybrzeżem. Konieczność zastosowania działań siłowych uzasadniano roszszerzającymi się strajkami, które objęły kolejne ośrodki (m.in. Kraków, Łódź i Wrocław) oraz występowaniem w kilkudziesięciu innych miejscach „sytuacji konfliktowych grożących wybuchem”. Kolejnym czynnikiem, który miał za tym przemawiać, była – jak to określano – coraz bardziej agresywna postawa Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku, który w ocenie sztabu MSW dążył „do wywołania w Polsce strajku powszechnego”. A chciał to – oczywiście według SB – osiągnąć poprzez przedłużanie rozmów z komisją rządową.

Nie czekając na decyzje polityczne, resort spraw wewnętrznych rozpoczął przygotowania do realizacji proponowanego przez siebie wariantu siłowego. Wiceminister spraw wewnętrznych i szef Sztabu Operacji „Lato 80” Bogusław Stachura (resortowy „jastrząb”) odwołał z urlopow funkcjonariuszy i pracowników cywilnych resortu, wstrzymał w ogóle wszelkie urlopy, skoszarował ZOMO oraz słuchaczy wszystkich szkół resortowych, a także nakazał komendantom wojewódzkim Milicji Obywatelskiej skoszarowanie podstawowych jednostek Komend Wojewódzkich MO. „Odpowiednie wytyczne” – na podstawie jego decyzji – podległym jednostkom mieli wydać dowódcy Wojsk Ochrony Pogranicza i Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych MSW, komendant główny Straży Pożarnej oraz kierownik Głównego Inspektoratu Ochrony Przemysłu. O stanie zaawansowania przygotowań Ministerstwa Spraw Wewnętrznych do siłowego złamania strajków świadczy podjęcie działań prowadzących do przekształcenia

resortowego Domu Wypoczynkowego Eden w Sopocie w szpital. W razie potrzeby miał temu również służyć sopocki (na granicy z Gdańskiem) kemping MSW. Przemieszczono siły milicyjne do Gdańska. Zapadły nawet decyzje odnośnie do przebiegu samej operacji. Jej pierwszym etapem miał być wypad komandosów, aby „ująć członków [Międzyzakładowego] Komitetu [Strajkowego] i [Lecha] Wałęsę, zając bramę i wycofać się”.

Propozycje resortu spraw wewnętrznych zostały przedstawione członkom Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i były przez nich omawiane w dniach 27 oraz 29 sierpnia. W trakcie pierwszego z tych posiedzeń referował je minister spraw wewnętrznych Stanisław Kowalczyk. Zdecydowanie przeciwny takiej koncepcji był Stanisław Kania, który z ramienia KC PZPR nadzorował m.in. MSW. Ostrzegając: „To nie jest sprawa prosta i łatwa, trzeba mieć też świadomość grozących konsekwencji. Nawet jeśli się porty zdobędzie – to co potem? Kto je będzie obsługiwał? Potrzebni fachowcy. Trzeba aktywnie, stanowczo, zarazem taktownie wpływać na ograniczanie możliwości gromadzenia się ludzi pod bramą stoczni. Wejście do stoczni siłą jest nierealne, niewiele by dało, a mogłoby doprowadzić do rozlewu krwi”. Wtórował mu Alojzy Karkoszka, który w 1970 r. był I sekretarzem KW PZPR w Gdańsku: „Zdobyc port możemy, ale go nie uruchomimy. Na tłum pod stoczną trzeba działać środkami porządkowymi. Wejście siłą na stocznę odradzam. Na organizatorów strajku mocniejsze argumenty, jeśli nawet po naszym poważnym oświadczeniu nie uspokoją się. Rozważyć przygotowanie ich zwinięcia”. Za „walkę polityczną”, a nie za „środkami administracyjnymi” i „siłą” opowiadał się zdecydowanie wicepremier Józef Pińkowski. Przeciwno użyciu żołnierzy był ówczesny minister obrony narodowej, gen. Wojciech Jaruzelski, który argumentował: „Wprowadzenie do akcji wojska to użycie broni, wojsko już nie może się wycofać”. Jak zauważał: „Do takich akcji jest przygotowana MO, ma pałki, gazy, nie potrzebuje używać broni”. Przestrzegał, że siłowe działania mogą spowodować reperkusje – „Może rozwinąć się spontaniczny ruch solidarnościowy pod hasłem: »ręce precz od Gdańska!«”. Decyzja o użyciu siły nie zapadła.

Do tego tematu powrócono dwa dni później. I sekretarz KC PZPR Edward Gierek stwierdził: „Sytuacja jest coraz bardziej niebezpieczna, strajki rozszerzają się, żądania eskalują. Przyznam się, że nie wiem,

co można jeszcze robić poza tym, co robimy (...). Co się tyczy wolnych związków zawodowych – coraz więcej ludzi się za nimi opowiada. Ja jestem przeciw. Ale jest określona sytuacja, grozi nam strajk generalny. Może trzeba wybierać mniejsze zło, a potem starać się z tego wybrnąć?”. Innego zdania był Władysław Kruczek, członek Rady Państwa: „Myśmy partię rozbroili. Dziś taka sytuacja, że chcą rozganiać K[omitet] W[ojewódzki], podpalać. Żaden apel nic nie pomoże. Trzeba zwołać V Plenum KC. Zastanowić się nad ogłoszeniem stanu wyjątkowego, zacząć bronić władzy. Nawet najlepsze wystąpienia nic nie dadzą. Trzeba podjąć dalsze wnioski kadrowe”. Tego rodzaju zapędy studiował Jaruzelski, który przytomnie zauważył: „Dziś mamy elementy strajku generalnego. Rozlanie się fali strajkowej w całym kraju to tylko kwestia czasu. Wtedy nastąpi zupełny paraliż gospodarczy, mogą się włączyć żywiołowo elementy kontrrewolucyjne. Mówiono tu o ogłoszeniu stanu wyjątkowego – tego nie przewiduje nasza konstytucja. Jest to tylko stan wojenny, ale też wprowadzić go nie można, bo jak wyegzekwować rygory, kiedy stanie cały kraj? To nierealne”.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że w tym dniu – według danych SB – strajkowało już 643 600 osób w 653 zakładach na terenie 27 województw. Nic zatem dziwnego, że Gierek konkludował: „Uważam, że musimy przyjąć koncepcję najbardziej racjonalną, opartą na przekonaniu, że lepiej ratować socjalizm przez usuwanie błędów w warunkach pokoju, niż odbudowywać go z popiołów. Jeśli będzie decyzja, że idziemy na walkę, to podporządkuję się, chociaż od początku zdaję sobie sprawę, że każda awantura może nas pogrzebać, doprowadzić do zguby. Nikt chyba nie może mnie posądzić o liberalizm, ale uważam, że trzeba przeprowadzić z sojusznikami rozmowy w sprawie związków zawodowych”.

Biuro Polityczne KC PZPR ponownie odrzuciło – przynajmniej chwilowo – użycie siły.

Mimo braku decyzji politycznej stan podwyższonej gotowości do działań resortu spraw wewnętrznych – w tym do zduszenia siłą robotniczych protestów – był utrzymywany jeszcze do początku września 1980 r. W Warszawie przy ul. Rakowieckiej (siedziba MSW) przygotowania do ewentualnego rozwiązania siłowego kontynuowano do końca sierpnia. 30 sierpnia (o godz. 13.45) zastępca kierownika Sztabu Operacji „Lato 80” Józef Beim nakazywał części podległych

sobie funkcjonariuszy opracowanie (do 1 września do godz. 10.00) „projektu zadań resortu spraw wewnętrznych na wypadek strajku powszechnego”, a innym – wylot śmigłowcem do Gdańska oraz opracowanie „planu wejścia sił specjalnych ZOMO” do Stoczni Gdańskiej, „opanowania budynku będącego siedzibą MKS i zatrzymania członków [Międzyzakładowego] Komitetu Strajkowego”. Mieli oni również – w czasie rekonesansu – „wybrać najlepszą porę akcji” (padła sugestia: „może noc”), a także „skalkulować siły i potrzebne środki”. Dzień później, o godz. 12.50 – czyli już po podpisaniu porozumienia szczecińskiego – Beim z jednej strony wydał polecenie, aby wstrzymać mobilizację Rezerwowych Oddziałów Milicji Obywatelskiej oraz zaplanowany wcześniej przerzut do Trójmiasta słuchaczy resortowych szkół (mieli oni jednak nadal pozostawać w gotowości do wyjazdu), ale z drugiej nakazywał „uruchomić przerzut do Gdańska sił plutonów specjalnych ZOMO (po 20 funkcjonariuszy) z KW MO Łódź, Poznań i Kraków”. Mieli oni jechać po cywilnemu i bez broni, ale zabrać mundury moro. Na dowódcę „całości sił” plutonów specjalnych w Gdańsku zastępca kierownika Sztabu Operacji „Lato 80” wyznaczył naczelnika Wydziału Zabezpieczenia Komendy Stożecznej Milicji Obywatelskiej Edwarda Misztala. Ten ostatni prawdopodobnie od kilku dni przebywał już ze swoimi podwładnymi w Trójmieście. To Misztal 2 grudnia 1981 r. będzie dowodził komandosami pacyfikującymi Wyższą Oficerską Szkołę Pożarniczą w Warszawie, a niespełna półtora roku później – 3 maja 1983 r. – funkcjonariuszami, którzy dokonali najścia na siedzibę Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom w kościele św. Marcina w Warszawie oraz pobicia jego współpracowników (za co zostanie w 2006 r. skazany). Miał go na miejscu wspomagać – delegowany samolotem rejsowym do „pomocy w organizacji działań” – Mirosław Żywczyk z Biura Organizacyjnego Komendy Głównej MO.

Ostatecznie jednak komandosi pod dowództwem Misztala nie dostali „zielonego światła” do działań. Skończyło się na przymiarkach, bowiem niespełna cztery godziny po wydaniu wspomnianego wcześniej polecenia Józefa Beima przedstawiciele strajkujących robotników oraz delegacji rządowej podpisali porozumienia gdańskie i siłowa pacyfikacja stała się zbędna.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.



na ekranie

Dumna przegrana 3/6

Kochanica króla Jeanne du Barry

(Jeanne du Barry), reż. Maïwenn, prod. Francja, 113 min

Johnny Depp nie musiał długo czekać na powrót do aktorstwa. Po wygranym procesie z Amber Heard błyskawicznie pomocną dłoń wyciągnęła do niego ceniona aktorka, scenarzystka, reżyserka i była żona Luca Bessona, **Maïwenn**, zainteresowana historią ściętej na mocy wyroku Konwentu Narodowego faworyty Ludwika XV. Powierzyła mu rolę monarchy ulegającego u kresu życia wdziękom dużo młodszej kochanki. Perwersja tego pomysłu polega na tym, że nie tylko dla Deppa realizacja filmu okazała się swoistym *déjà vu*. Maïwenn, reżyserując, a przy okazji wcielając się w oszałamiająco piękną, sprytną skandalistkę i rozpustnicę, myślała zapewne o swoim związku z Bessonem (przyznaje to w wywiadach), którego poznała w wieku 12 lat. Cztery lata później urodziła się ich córka. To pomieszanie romantycznych, ale i trudnych doznań

z tragicznymi losami znanych z podręczników historii postaci zawazyło prawdopodobnie na niepowodzeniu całego przedsięwzięcia. Autorce udało się oddać barwny przepych XVIII-wiecznego dworu, dotknąć jego nieobyčajnej atmosfery podszytej intrygami, lecz w sprawach najważniejszych zabrakło dystansu, krytycyzmu lub po prostu odwagi nazywania rzeczy po imieniu. Choć trudno w to uwierzyć, całemu widowisku, które jest utrzymane w konwencjonalnej formule politycznej poprawności, najdotkliwiej brakuje szczyrych emocji. Jak na romans kończący się dla dwojga kochanków gwałtowną śmiercią (Ludwik XV zmarł na ospę) zaskakująco mało mówi się tu o kontrowersjach i ciemnych stronach związku. Maïwenn wystrzega się pokazywania przekroczeń w sferze erotycznej, będących podstawą fascynacji. Nie hamuje się za to w podkreślaniu miłości własnej. Reżyserka humanizuje madame du Barry, próbuje się skupić na jej odwadze, inteligencji, woli walki o majątek, ale z jakichś powodów jej ambicje sprawowania władzy zostają przemilczane. Niestosowność zachowań dworu polega głównie na strojeniu groteskowych min przez córki króla. Na tym tle nieoczekiwanie zyskuje zgrabnie mówiący po francusku Depp – wykłety bohater znów koronowany nad Sekwaną na idola popkultury.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

Szantażysta i oszust 3/6

Ultimatum (Retribution), reż. Nimród Antal, prod. USA, Niemcy, Francja, Hiszpania, 90 min

Zapracowany finansista Matt Turner wsiada z dwójką dzieci do samochodu, by po kilku minutach odebrać telefon od nieznanego mężczyzny: wóz wybuchnie, jeśli któryś z nich spróbuje wysiąść. Wiadomo: chodzi o okup, choć w tym przypadku niebagatelny. Do wzięcia jest 208 mln euro, które Matt odłożył,



oszukując swoich klientów na masową skalę. Lecz szantażyście nie wystarczy przejęcie fortuny. Chce jeszcze zrobić swoją ofiarę w kilka zamachów bombowych, które miały miejsce tego samego dnia. Jeśli wydaje się państwu, że znacie już ten film, to zapewne macie rację: „Ultimatum” to już trzeci – po niemieckim i koreańskim – remake

hiszpańskiego przeboju sprzed kilku lat. Brak oryginalności Nimród Antal nadrabia sprawnym wykorzystaniem klaustrofobicznej przestrzeni samochodu, umiejętnie filmowanymi pościgami na ulicach Berlina i naszkicowaną cieniutką kreską krytyką korporacyjnej chciwości. Pozbawione większych ambicji kino akcji, oparte na łatwych do przewidzenia schematach, ale zapewniające tę osobliwą, lekko perwersyjną frajdę, jaką sprawia oglądanie filmu ze swoistego podgatunku „thriller z **Liamem Neesonem**”. Irlandzki aktor dostaje tu zresztą szansę, by cokolwiek zagrać, bo wreszcie – przynajmniej do pewnego momentu – nie musi udawać niezniszczalnego herosa.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Męski honor 3/6

Przymierze (Guy Ritchie's The Covenant),
reż. Guy Ritchie, 123 min, Amazon Prime Video

Tytuł nowego filmu Guya Ritchiego odnosi się do umowy, na mocy której afgańscy współpracownicy sił USA stacjonujących w tym kraju po atakach na World Trade Center z 2001 r. mieli otrzymać amerykańskie wize. Jak pamiętamy, Amerykanie wyjeżdżali dwa lata temu z Afganistanu w chaosie, ewakuując tylko drobną część lokalnych pomocników, resztę skazując na krwawą zemstę talibów; wielu zostało zamordowanych, inni żyją w ukryciu. Film jest mocną krytyką postawy amerykańskiego państwa, jednak wyraża ją w typowo amerykański sposób (choć Ritchie, reżyser, współscenarzysta i producent dzieła jest Brytyjczykiem, a sam film powstawał w górskich rejonach Hiszpanii). Mamy więc zły system oraz prawego i sprawiedliwego szeryfa, który dręczony wyrzutami sumienia wyrusza na samotną misję. W tej roli **Jake Gyllenhaal** jako sierżant John Kinley, który swoje życie zawdzięcza heroicznej postawie tłumacza Ahmeda Abdullaha (**Dar Salim**) i zamierza spłacić dług. Guy Ritchie, reżyser znany z upodobania do zabaw formalnych i ironii, tym razem stawia na tonację serio i (para)realizm. „Przymierze” to kino wojenne w wydaniu kameralnym i niskobudżetowym, z elementami dramatu psychologicznego i kilkoma świetnymi scenami. Zrealizowane ze słusznym pobudek, ale schematyczne i do bólu męskie: mężczyźni skinieniem głowy, bez słów okazują sobie szacunek, a rolę kobiet jest dopingowanie mężów, by zrobili „co do nich należy”.

ANETA KYZIOŁ



Z widokiem na miasto 4/6

Prawnik z Lincolna 2 (The Lincoln Lawyer 2),
twórca serii: David E. Kelley, 10 odc., Netflix

Powieściowy cykl Michaela Connelly'ego o przyrodnim bracie bezkompromisowego policjanta Harry'ego Boscha (bohatera serii książek i serialu Amazon Prime Video), prawniku przemierzającym Los Angeles tytułowym

autem, ponad dekadę temu doczekał się ekranizacji z Matthew McConaugheyem w głównej roli. W serialu Davida E. Kelleya, specja od procedurali prawniczych i medycznych (choć nie tylko), Mickeya Hallera gra **Manuel Garcia-Rulfo** i twórcy podkreślają podwójne, amerykańsko-meksykańskie pochodzenie bohatera. A ułkonów w stronę wielokulturowości współczesnej Kalifornii jest tu więcej – w tym pracujący dla prawnika detektyw, były członek gangu motocyklowego, którego nazwisko bywa dla bohaterów wyzwaniem logopedycznym: Wojciechowski. Akcja każdego z dwóch sezonów toczy się wokół jednej sprawy sądowej, które jednak się zająbiają oraz nie pozostają bez wpływu na życie osobiste Mickeya: relacje z pierwszą byłą żoną (Neve Campbell), prokuratorką, z drugą byłą żoną (Becki Newton), prowadzącą jego kancelarię, czy z szoferką Izzy (Jazz Raycole), wożącą go tytułowym Lincolnem Navigatorem. W drugim sezonie prawnik z poświęceniem broni pięknej restauracji oskarżonej o zamordowanie dewelopera gentryfikującego okolice, choć od początku ma przecucie, że coś tu nie gra. Sympatyczna i lekka rozrywka na upalne wieczory. Z pięknymi widokami na miasto z tarasu luksusowego domu Mickeya w bonusie. AK



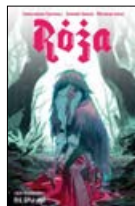
komiksy miesiąca

Pamięć i baśnie

Lektura komiksów **Paco Roki** przypomina przeglądanie starych zdjęć przywołujących odległe wspomnienia. W „Zmarszczkach” (przeł. **Tomasz Pindel**, **Kultura Gniewu**, 5/6) przeszłość wymyka się jednak bohaterowi z rąk: Emilio trafił do domu opieki z pierwszymi objawami choroby Alzheimera, z każdym dniem traci cząstkę siebie i swojej historii. A ponieważ nie chce trafić na „piętro” – oddział dla pacjentów w najcięższym stanie – musi wierzyć, że mgła zapomnienia nie pochłonie go zbyt szybko, i liczyć na pomoc swojego ekscentrycznego współlokatora. Roca mistrzowsko łączy nostalgię, humor i smutek, splatając je w opowieść o pamięci, potrzebie bliskości oraz kruchości ludzkiej egzystencji. „Zmarszczki” to jedna z jego wczesnych



prac (w Hiszpanii ukazały się w 2007 r.), lecz już zwiastuje późniejsze arcydzieła takie jak „Dom” czy „Koleje losu”. Klasyczne baśnie to zawsze wdzięczny materiał do przeróbek i trawestacji, zwłaszcza gdy stanowią jedynie punkt wyjścia do budowania nowego, zaskakującego świata. „Róża: Nie śpij już” (przeł. **Paulina Braiter**, **Nagle Comics**, 4/6), pierwszy tom nowej serii fantasy, odbija się od historii o Śpiącej Królewnie. Tyle że książkę, zamiast obudzić ukochaną pocałunkiem, wziął z nią (wciąż pogrążoną we śnie) ślub, a potem doprowadził królestwo do ruiny. Róża budzi się po stu latach, by przekonać się, że świat nie wygląda już baśniowo, za to zmienił się w miejsce, gdzie na każdym kroku czają się śmiertelne niebezpieczeństwa. Scenarzysta **Christopher Cantwell** może nie wspina się na wyżyny oryginalności, ale bardzo sprawnie recyklinguje baśniowo-fantastyczne schematy, a kształt nadają im świetne, surowe i wyraziste ilustracje **Germána Garcíi**.



Do baśniowych tropów z powodzeniem odwołuje się także „Ciemność” (przeł. **Maria Mosiewicz**, **Story House Egmont**, 4/6), historia zhańbionego wojownika Arzhura, który ratuje uwięzioną na zamku księżniczkę Islen, tylko po to, by przekonać się, że oboje padli ofiarami spisku potężnych i złowrogich sił. Na pierwszy rzut oka wygląda to tylko na powtórkę z rozrywki, lecz znakomity scenarzysta **Hubert** bardzo zgrabnie połączył mroczną fantazy z wątkami wyciągniętymi z dramatów szekspirowskich: od trzech wiedźm, które prowadzą głównego bohatera na ścieżkę zła, po dworskie spiski. Zaś pełen niuansów, utrzymany w zgaszonych barwach kształt nadał tej opowieści **Vincent Mallié**. Świat stworzony przez niego na kartach albumu jest odpychający i fascynujący jednocześnie. I choć „Ciemność” nie ma siły największych dzieł Huberta (scenarzysta zmarł w 2020 r., a album także we Francji ukazał się już po jego śmierci), to wciąż jest to rozrywka wysokiej jakości. JD



książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Dom stworzeń 5/6

Małgorzata Lebda, **Łakome**, Wydawnictwo Znak, Kraków 2023, s. 304

Proza Małgorzaty Lebdy wyrasta z jej poezji – wchodzimy w świat, który pojawił się w jej książkach poetyckich, m.in. w „Mateczniku” czy „Snach uckermärkerów”, za które otrzymała Nagrodę Literacką Gdynia. W „Łakomych” znajdziemy dom przy ubojni, z jej odgłosami i zapachami, który jest teraz świadkiem umierania babki. Są przy niej dwie wnuczki oraz dziadek i wszystkie zwierzęta: psy, koty, pszczoły, mrówki, a także rośliny. Bliskość poezji w tej prozie na początku stawia opór – niektóre zdania wydają się frazami wyjętymi z wiersza ze zbyt mocną puentą. Ale im dalej, tym bardziej możemy zanurzyć się w ten świat, który jest intensywny, cielesny i nasycony. Lebdzie udaje się „snuć chorobę jak opowieść”. Opisuje ją tak, że jest w niej życie, bo u Lebdy choroba jest życiem. Zostają w pamięci obrazy



zwierząt, które wchodzą do łóżka babki. Ona staje się tu postacią centralną. Jej wieś i dobytek – wszystko znalazło się pod wodą, przeżyła śmierć swoich dzieci, ma poczucie, że przez całe życie nie miała nic swojego. Tymczasem jest hojną królową wszelkich stworzeń. Opowieść napędza życie, czasem chwytą za gardło. Choroba ogarnia dom, „ciało domu przypomina ciało chorej”, dlatego dziadek chce go reperować. Ale on też jest zarażony. Proza Lebdy jest wyjątkowa, bo udało jej się stworzyć w tej książce mikrokosmos, w którym wszystko jest ze sobą połączone – chore i pełne życia zarazem. Różne mieliśmy opowieści o utracie – ta jest inna, bo odchodzenie jest tutaj permanentnym stanem istnienia i babka gra bez końca na „chłodnych żebrach tego domu”.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Roztocze na skróty 3/6

Jędrzej Pasierski, **Wodnik**, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 224

Stosujący niekonwencjonalne metody psycholog Szczepan Turski wyrusza z interwencją do Zwierzynca na Roztoczu. Zatrudniła go rodzina Gajusów, z którą ma zamieszkać, aby ustalić przyczyny napadów złości u ich synka Michała. Oddalona od cywilizacji okolica skrywa jednak w swoich gęstych lasach i stawach tajemnice, których nawet Turski wołałby nie badać. Swoje sekrety mają też Gajusowie oraz nieco

ekscytryczni mieszkańcy. Podejrzane są wreszcie okoliczności tragedii, do których tu doszło, w tym utonięcie starszego brata Michała, genialnego i ukochanego dziecka Gajusów. Czy na pewno był to tylko nieszczęśliwy wypadek? „Wodnik” ukazał się najpierw w formie słuchowiska z udziałem Andrzeja Chyry i Agnieszki Żulewicz, którzy przydadli postaciom nieco charakteru. W druku wypadają niestety błędziej. Historia niewątpliwie ma potencjał, ale ma też fabularne luki. Autor chwilami niepotrzebnie przyspiesza i sięga po sprawdzone chwytły, zamiast z mozolem lepić intrygę. Mrukliwi bohaterowie nagle stają się wylewni, psycholog bez kłopotów nawiązuje kontakt i z dzieckiem, i jego ojcem, ponoć wiecznie nieobecny i nieprzystępny dyrektorem parku narodowego. Inna rzecz, że metody Turskiego budzą etyczne wątpliwości. Do wybaczenia, jeśli przyjąć, że to *licentia poetica*. Ale wyprawy na skróty tej historii nie służą. Między skrótem a zwrotem akcji jest subtelna różnica i tym razem Jędrzej Pasierski, zresztą nagradzany i poczytany autor kryminałów, nieco ją naruszył.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Na tropie Potwora 5/6

Douglas Preston, Mario Spezi, **Potwór z Florencji. Śledztwo w sprawie seryjnego mordercy**, przeł. Kaja Guccio, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 414

Douglas Preston znany jest przede wszystkim jako autor sensacyjno-przygodowych bestsellerów, więc gdy od czasu do czasu bierze się za literaturę non-fiction, potrafi sprawić, że czyta się ją niczym wyborny kryminał. „Potwora z Florencji” napisał blisko 20 lat temu do spółki z dziennikarzem Mariem Spezim – początkowo na włoski rynek, lecz temat jest tak nośny, a sprawa tak intrygująca, że książka jest wznawiana do dziś. Także w Polsce już kiedyś się ukazała, teraz dostajemy ją w nowym przekładzie i uzupełnioną o świeże informacje. Choć od ostatniej zbrodni przypisywanej Potworowi, zabójcy atakującemu młodych ludzi, minęło blisko 40 lat, jego sprawa wciąż rozpala wyobraźnię Włochów. I nie tylko, skoro jego historię wykorzystał także Thomas Harris w jednej ze swoich powieści o Hannibalu Lecterze. Książka Prestona i Speziego, oparta nie tylko na wnikliwej analizie dokumentów i relacji prasowych, lecz także osobistych doświadczeniach jest pełnym drobiazgowi i bardzo plastycznym opisem dochodzenia w sprawie, a zarazem bardzo krytycznym spojrzeniem na włoski wymiar sprawiedliwości. Przez lata mnożyły się spiskowe teorie, różni podejrzani trafiali za kratki, prokuratorzy, policjanci i karabinierzy wchodzili sobie wzajemnie w drogę, myląc tropy, zacierając ślady i dokładając kolejne cegiełki do przebiegu jednego z najbardziej niezwykłych śledztw w dziejach europejskiej kryminalistyki. To również opowieść o moralnej odpowiedzialności prasy, o konflikcie na styku władzy i mediów, a nawet o cenie, jaką przychodzi zapłacić za zbyt zaangażowanie w sprawę. True crime najwyższej próby.

JAKUB DEMIAŃCZUK



salon gier

Wrota do przygody 5/6

Baldur's Gate 3, Larian Studios, GOG.com, Windows

Wypowiadane przez Piotra Fronczewskiego, narratora gry „Baldur's Gate” (1998 r.), przypomnienie: „Przed wyruszeniem w drogę należy zebrać drużynę” to najślynniejszy w Polsce cytat z gier wideo, zagnieżdżony w języku już tak głęboko, że nieobcy jest nawet tym, którzy o produkcji BioWare nigdy nie słyszeli. Wydana przed ćwierćwieczem gra była wielkim wydarzeniem w świecie, otworzyła przed gatunkiem RPG nowe horyzonty. Na naszym rynku jej znaczenie było nawet większe, bo znakomite polskie wydanie, przygotowane przez CD Projekt – z pełnym tłumaczeniem, plejadą aktorskich sław i mnóstwem atrakcyjnych



dotatków w pudełku – okazało się edytorskim ewenementem. To z kolei przełożyło się na tak dobrą sprzedaż, że BioWare początkowo uznał otrzymane dane rynkowe za błędne. Na zdobytej wtedy renomie CD Projekt zbudował swą potęgę. Bez tamtego sukcesu nie byłoby serii gier „Wiedźmin”.

Na „Baldur's Gate 3” czekaliśmy zatem z zapartym tchem i wielką nadzieją, bo prace nad kontynuacją legendy powierzono studiu Larian, które stworzyło najlepszą grę w konwencji „Baldur's Gate” w historii: „Divinity: Original Sin II” (2017 r.). Belgowie poddałi wyzwaniu „Baldur's Gate 3” to odtąd nowy punkt odniesienia wśród drużynowych gier fabularnych. Rewolucji formalnych nie ma, bo być nie mogło. Tak jak wszystkie gry w tej serii, trzecia odsłona bazuje na zasadach rozgrywki systemu Dungeons & Dragons, w tym przypadku jego piątej edycji. Bohater(ka) wraz z drużyną przemierza ten sam świat Faerunu, tyle że 120 lat po wydarzeniach z „Baldur's Gate II” – i z umieszczonym w mózgu pasożytem, którym zainfekował swych więźniów, wyglądającym niczym Cthulhu oprawca. Czy zdąży znaleźć remedium, zanim sam(a) ulegnie transformacji w jedną z tych odrażających mackogębnych istot? Diabeł tkwi w szczegółach, których jest w tej grze mrowie. Przedstawione uniwersum jest niezwykle bogate w treść, na każdym kroku czekają przygody, zagadki, ukryte skarby i sekrety do odkrycia. Z każdą napotkaną postacią można pogadać, co niekiedy otwiera nowe odnogi fabuły. Warto rozmawiać nawet ze zwierzętami, dlatego należy zawsze mieć przy sobie magiczne eliksiry pozwalające rozumieć ich język – lub znać odpowiednie zaklęcia. Udało mi się w ten sposób przyciągnąć psa, który czuwał przy zwłokach zamordowanego pana i wysłuchał narzekań wiewiórek, którym pękały z bólu łebki od fatalnego ich zdaniem śpiewu barda. W zależności od podjętych decyzji lub wyniku rzutu kością zdarzenia mogą się potoczyć odmiennymi kolejniami. Każdy z nas ma zatem szansę przeżyć na Wybrzeżu Mieczy swoją własną, wyjątkową przygodę.

OLAF SZEWCZYK

na płycie

Dach świata 4/6

Travis Scott, **Utopia**, Cactus Jack Records

Nowyy album Travisa Scotta – niegdyś protegowanego Kanye'ego Westa, a dziś czołowej postaci rapu – jest imponujący, ale też przynosi świadectwo pewnego oderwania od rzeczywistości. Nawet ci, którzy nie interesują się muzyką, słyszeli zapewne o wstrząsach sejsmicznych wywołanych przez koncert tego rapera i producenta na terenie Circus Maximus w Rzymie, gdzie promował swój album (po tym, jak nie udało mu się zagrać... pod piramidami w Gizie). Amerykanin jest na takim etapie kariery, że może wszystko – 73-minutowy album przynosi gościnne występy gwiazd, które samodzielnie wypełniają stadiony (Beyoncé, The Weeknd, Playboi Carti), rozbudowane, eklektyczne formy, aranżacje przywodzące na myśl okres symfonicznych poszukiwań w historii rocka przeniesiony w rapowe realia. Scott progresywno-rockowe gwiazdy (Gentle Giant) sampluje, odwołując się w liniach melodycznych utworów także do The Moody Blues czy Krzysztofa Komedy. Nagrany w najślynniejszych studiach nagraniowych (londyńskie Abbey Road, kalifornijskie Shangri-La, Miraval Studios na południu Francji) album idzie jednak za myślą Kanye'ego Westa i pozostaje eksperymentalną – na ile to możliwe w rapowym mainstreamie – produkcją realizowaną głównie na bazie sampli i brzmień elektronicznych. Ta prywatna utopia momentami trochę nuży, ale robi wrażenie.

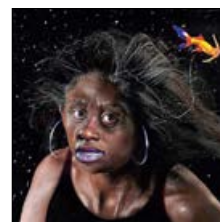


BARTEK CHACIŃSKI

Palenie mostów 5/6

Noname, **Sundial**, AWAL

Urodzoną w tym samym roku (1991) co Travis Scott raperkę z Chicago Fatimah Nyeemę Warner różni od autora „Utopii” wszystko. Od bardziej tradycyjnego podejścia do rapu, przez stawianie na żywe instrumentarium, aż po wysoki stopień społeczno-politycznego zaangażowania. „Sundial”, drugi album artystki, wydaje się antytezą gwiazdorskiego rapu: jazzujące, często korzystające z rytmiki bossa novy, nagrania te prowadzą Noname w stronę mocno lewicujących refleksji, z odniesieniami wprost do socjalizmu i antyimperializmu. Za igranie z establishmentem zasilającym przemysł zbrojeniowy dostaje się największym, włącznie z Jayem-Z, Beyoncé i Kendrickiem Lamarem. Utwory takie jak „Namesake” to świadectwo pewnej odwagi, ale też tego, że jako postać z pobocza sceny hipopowej Noname nie ma w tej chwili wiele do stracenia. Wśród gości (Billy Woods, Jimetta Rose) pojawia się kontrowersyjny, oskarżany wcześniej o antysemityzm Jay Electronica, którego krytyka prezydenta Zełenskiego świadczy o tym, że amerykańska lewica ma z wojną w Ukrainie problem podobny do tej europejskiej. Jednak główna bohaterka jako raperka robi niesamowite wrażenie niebywałą płynnością frazy, a soulowe i gospelowe naleciałości sprawiają, że płyty słucha się lekko i łatwo puścić polityczne kixy mimo uszu. BCH



Przypadki Kieślowskiego

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Krzysztofa Kieślowskiego wciąż kojarzymy z „Dekalogiem”, kto jednak słyszał o „Dekalogu, Jedenaście”? Zarys jego scenariusza odnaleziono w archiwum twórczości reżysera w Sokołowsku. Ponadto zrealizowany zostanie jeden z pomysłów Kieślowskiego z okresu studenckiego.

rena Strzałkowska, zastępczyni dyrektora studia filmowego TOR, w którym „Dekalog” powstawał, przysięga, że nie pamięta, aby coś takiego kiedykolwiek czytała. Nawet Krzysztof Piesiewicz, współautor cyklu, bezradnie rozkłada ręce, niewiele mając na ten temat do powiedzenia. W świeżo wydanej biografii Katarzyny Surmiak-Domańskiej „Kieślowski. Zbliżenie” i w dwóch wcześniejszych nagradzanych publikacjach autorstwa Stanisława Zawiślińskiego, poświęconych zmarłemu 27 lat temu artyście, brak jakiegokolwiek wzmianki o zamiarze kontynuacji słynnego serialu.

W zakładce „niezrealizowane projekty” na stronach www.kieslowski.com.pl, zawierającej zdigitalizowany, lecz nie kompletny zbiór 26 pomysłów na filmy, których twórca „Trzech kolorów” nie zdążył nakręcić, liczącego 10 stron maszynopisu, o roboczym tytule „Dekalog, Jedenaście”, też nie ma. Być może tekst pojawił się w archiwum już po cyfryzacji dokonanej dzięki wsparciu MKiDN dziewięć lat temu (ostatnia aktualizacja miała miejsce przed trzema laty). To w każdym razie tłumaczyłoby, dlaczego żaden badacz dotychczas się nim bliżej nie zainteresował.

Jedenaście w tytule zapowiada tajemnicę. Trudno orzec, czy autorom scenariusza (firmują go nazwiska Kieślowskiego i Piesiewicza) chodziło o nawiązanie do fundamentalnego sporu religijnego między katolikami a resztą chrześcijańskiego świata dotyczącego podziału i treści przykazań. Jak wiadomo, biblijny Dekalog nie jest ponumerowany. Nie ma jasno wyznaczonych ram, które przykazanie jest pierwsze, drugie itd. Sugeruje to jedynie chronologia Księgi Wyjścia. Aktualny sens i obowiązującą kolejność narzucił Kościół, a spór od tysięcy lat dotyczy przede wszystkim przykazania uznawanego kiedyś za drugie – wyciętego przez katolików, zakazującego oddawania czci rzeźbom i obrazom przedstawiającym Boga i sacrum.

Odnosząc nieznaną dotąd scenariusz Kieślowskiego i Piesiewicza do tej właśnie kwestii, można doszukać się w nim niezwykle ciekawych znaczeń, choć sama warstwa fabularna pozornie w tym nie pomaga. Historia wydaje się podsumowaniem wszystkiego, co znamy z poprzednich odcinków. Istotne jest to, że zostaje ona opowiedziana z perspektywy obcokrajowca, Niemca, 30-letniego Reinerja, absolwenta slawistyki i germanistyki,

pracownika naukowego prestiżowej uczelni, przyjeżdżającego do Polski, by przez rok prowadzić na Uniwersytecie Warszawskim zajęcia na germanistyce. Jego babką jest Polka, bohaterka ósmej części „Dekalogu”. Wiedziony rodzinnym sentymentem stara się poznać bliżej kraj pochodzenia swoich przodków. Wynajmuje mieszkanie na jednym ze stołecznych osiedli i przypadkowo staje się naocznym świadkiem prawie wszystkich najbardziej dramatycznych zwrotów akcji serialu.

Diana Dąbrowska, filmoznawczyni i dyrektorka artystyczna festiwalu Hommage à Kieślowski w Sokołowsku, która jako jedna z nielicznych miała okazję zapoznać się z „Dekalogiem, Jedenaście”, określa go mianem konia trojańskiego, mającego na celu wprowadzenie do projektu niemieckiego koproducenta. Faktem jest, że po rozpoczęciu zdjęć dość szybko się okazało, że nie uda się go łatwo ukończyć. Krzysztof Zanussi, szef studia filmowego TOR, usilnie zabiegał we włoskiej i francuskiej telewizji o dodatkowe pieniądze. Bezskutecznie. Operator Edward Kłosiński zasugerował, by poprosić o pomoc niemiecką stację ZDF. Okazało się, że warunkiem uzyskania dofinansowania są zmiany niezbędne, by niemiecki odbiorca poczuł się mocniej związany z projektem, najlepiej poprzez osobę narratora. I taką właśnie funkcję pełni Reiner. Zwraca się do zachodniej publiczności, wprost do kamery, wygłaszając chłodne komentarze na temat poczynionych przez siebie obserwacji dotyczących dziwnego, układającego się w quasi-religijny wzór zachowania Polaków.

– *Moim zdaniem „Dekalog, Jedenaście” nie posiada większych wartości artystycznych, a pomysł zdublowania tajemniczego mężczyzny, granego w serialu przez Artura Barcisia, obserwującego moralną szamotaninę bohaterów, nie wydaje się najszcześniejszy. To taki wytrych, by jeszcze raz spleść wszystkie wątki* – ocenia Dąbrowska, wyrokując, że w sumie może lepiej się stało, że ostatecznie „Dekalog” sfinansowała TVP, a „Jedenastka” jednak nie powstała.

Co do wartości odnajdywanych po latach tekstów zdania bywają różne. W tym wypadku cenne jest to, że w ogóle coś takiego po 11 latach istnienia archiwum w końcu ujrzano światło dzienne. Dziedzictwo Kieślowskiego budzi żywe zainteresowanie, szczególnie za granicą, gdzie „Dekalog” stanowi szeroko dyskutowany kanon współczesnego kina. Niezrealizowane scenariusze Kieślowskiego, przekazane prosto z domowego archiwum do Sokołowska przez Marię Kieślowską, żonę reżysera, mocno pobudzają wyobraźnię. Można spojrzeć na jego artystyczną działalność jak na dzieło otwarte, swego rodzaju grę intelektualną, inspirującą do spekulacji, co by było, gdyby.

Jakie mielibyśmy zdanie o rodakach, gdyby przykładowo w 1976 r. Kieślowskiemu udało się nakręcić film, nad którym pracował razem z Hanną Krall, o pijanych chłopach spod Tarnobrzega – jadących na pasterkę autobusem z 35 osobami w środku – którzy zabili troje znajomych z sąsiedniej wsi, pozorując wypadek? Sprawa okazała się, po długim śledztwie, morderstwem z premedytacją. Albo gdyby jakimś cudem dostał zielone światło na zrobienie reportażu o internowanych? W eksplikacji napisanej w stanie wojennym poświęconej „Ośrodkowi” Kieślowski daje jasno do zrozumienia, że interesuje go prawda. Co przez to rozumiał w czasach represji i polaryzacji społecznej jeszcze silniejszej niż obecna?

Według Zawislińskiego szkoda, że nie powstał pełnometrażowy dokument o wizycie papieża Jana Pawła II w Polsce. Kieślowski miał na to niezwykły pomysł. Chciał się skupić na reakcjach na twarzach pielgrzymujących wiernych. Sprzeciwił się temu biskup Alojzy Orszulik, a misja została powierzona Andrzejowi Trzos-Rastawieckiemu. Zawisliński: – *Jestem ciekaw, co by było,*

gdyby jednak Kieślowski ze swoją umiejętnością wnikliwego postrzegania rzeczywistości (dlatego znajomi nazywali go ornitologiem) ujawnił, jak on to widzi. Jaką przyjąłby perspektywę.

Dzieło Kieślowskiego m.in. dlatego nie poddaje się upływowi czasu, że prawie zawsze udawało mu się uchwycić to, co wykracza poza sam obraz. Trzymając się twardo konkretności, jego filmy pokazują, jaki jest kraj, jacy są jego mieszkańcy, co się kryje pod powierzchnią codzienności, rutyny. Wszyscy się w tym odnajdywali, bez względu na wyznawane poglądy. Kieślowski nikogo nie potępiał. Był samoświadomy, inteligentniejszy – jak twierdzą jego przyjaciele – od ludzi, wśród których musiał pracować. I bardzo z tego powodu cierpiał.

Dzięki archiwum wiadomo, że Kieślowski miał mnóstwo efektownych pomysłów. Próbował np. zrobić film o oficerach LWP obejmujących PGR-y na Mazurach; przeprowadzić szczerą, wielogodzinną rozmowę z Władysławem Gomułką (co prawdopodobnie zainspirowało później Teresę Torańską do wydania głosnej książki „Oni” – wywiadów z działaczami komunistycznymi). Interesował się grupką nastolatków hodujących jastrzębie, pasjonatów „pragnących posiadać coś, co nie służy niczemu”. Projekt nosi tytuł „Lekki lot” i przypomina „Kesa”, klasyczny dramat Kena Loacha, jedną z ulubionych fabuł Kieślowskiego. Z drugiej strony chodził wokół tematu „Milion” o człowieku, który wygrał w totka dużą sumę. Był ciekaw, co się z taką osobą później dzieje. Mikołaj Jazdon, dokumentalista i autor wywiadu rzeki z Krzysztofem Pieświczem „Kieślowski. Od Bez końca do końca”, uważa, że niektóre z tych pomysłów przywłaszczali sobie koledzy. Echo tego konkretnie scenariusza pobrzmiwa w nakręconym w 1977 r. „Milionerze” Sylwestra Szyski z Januszem Gajosem w roli głównej.

Kieślowski składał do Wytwórni Filmów Dokumentalnych i telewizji kilka projektów naraz. Realizował te, na które dostawał pozwolenie. W zależności od tego, jak się je liczy, w archiwum można znaleźć co najmniej 40 szkiców, fragmentów scenopisów, idei na film czy kolejnych wersji wybranych tematów. Wliczając niepowstałe szkolne etiudy, nie lubiane przez reżysera reklamy oraz tzw. filmy na zlecenie, które kręcił, żeby mieć z czego żyć, jest tego koło 80. Zdecydowana większość to dokumenty. Po jego śmierci część była rozwijana, przetwarzana, kontynuowana przez bliskich współpracowników, m.in. Krzysztofa Wierzbickiego („Horoskop”) czy Jerzego Stuhra („Duże zwierzę”).

Największa erupcja pomysłowości Kieślowskiego przypada zdaniem Jazdona na lata 60. Dostał wtedy zgodę m.in. na przeprowadzenie dokumentacji jednej z katastrof lotniczych na południu Polski. Szybko jednak produkcję zatrzymano. Później okazało się, że piloci mieli lecieć do Austrii i była to ucieczka. Cenzurze nie spodobał się też zamiar opowiedzenia o katastrofie w kopalni KGHM. W archiwum nie ma jednak wielu śladów interwencji służb. Zachowały się jedynie odręczne notatki Kieślowskiego wyrażające zgodę np. na 12 cięć fragmentów zakwestionowanych przez władzę w „Przypadku”.

Na osobną uwagę zasługuje „Zdjęcie tygodnia”, niedokończony dokument przerwany przez samego reżysera. Miał być poświęcony procesom politycznym po 13 grudnia 1981 r. Kieślowski spodziewał się surowych wyroków, lecz gdy wkroczył z kamerą na salę sądową, okazało się, że sędziowie łagodnie i wymierzali lżejsze kary. Żeby nie kłamać, sam się wycofał.

Co można wywnioskować z zachowanych zapisków Kieślowskiego? Na pewno to, że miał umiejętność przewidywania, precyzyjnego planowania filmów. Niektóre plany są sporządzone na papierze milimetrowym, jakby chodziło o inżynierski projekt ze szczegółowymi wyliczeniami, co, gdzie, jak będzie pokazane. Interesował się też samą materią kina i sztuki. Mało kto wie, ►



Bożenna Biskupska w swojej pracowni w Villi Rosa zwanej Różanką, gdzie na razie znajduje się archiwum Kieślowskiego.

Poniżej: jej córka Zuzanna Fogtt (w kinie Zdrowie), z którą wspólnie prowadzą fundację In Situ.

▶ że zgłosił z Andrzejem Titkowem chęć rejestracji castingu do „Rejsu” Marka Piwowskiego. Była na to zgoda telewizji, jednak na dzień lub dwa przed realizacją stanowcze „nie” usłyszał od Piwowskiego, który obawiał się, że jego improwizowany film zostanie w ten sposób spalony.

Ciekawostką sokołowskiego archiwum są niezrealizowane projekty reżysera z okresu studenckiego, wśród których znajdują się dwie animacje: „Jeleń” i „Laleczka”. I właśnie one wzbudzą teraz niemałą sensację, gdyż zapadła decyzja, że jeden z nich ma być sfilmowany. Zostanie to ogłoszone na tegorocznej 12. edycji festiwalu Hommage à Kieślowski, celebrującego 35. rocznicę powstania „Krótkiego filmu o miłości”. Inicjatorką przedsięwzięcia jest Diana Dąbrowska. Przeczytawszy półstronicowy szkic surrealistycznego „Jelenia” o interweniującym w urzędzie zwierzęciu zaniekpokojnym ściekami płynącymi w rzece, zachwyciła się jego aktualną, proekologiczną wymową i – za zgodą Marii Kieślowskiej i Zuzanny Fogtt – zaniósła Robertowi Banasiakowi, dyrektorowi Centrum Technologii Audiowizualnych (dawna Wytwórnia Filmowa we Wrocławiu, posiadająca warunki do produkcji animacji kukielkowych). Efektem wizyty był wybór reżyserki, której nazwisko zostanie ogłoszone na festiwalu (typuje się Izumi Yoshidę, absolwentkę łódzkiej Filmówki, wykładowczyni ASP w Łodzi, autorkę animacji „Most” o przyjaźni polsko-japońskich dzieci na Syberii).

Dolnośląskimi zasobami archiwum Kieślowskiego zajmuje się założona 19 lat temu prywatna Fundacja Sztuki Współczesnej In Situ, prowadzona przez rzeźbiarkę i performerkę Bożenną Biskupską oraz jej córkę architektkę Zuzannę Fogtt (obie były bohaterkami reportażu o Sokołowsku „Czarodziejskie mury”, opublikowanego w dziale Na Własne Oczy, POLITYKA 47/22), organizatorkę trzech dużych festiwali w Sokołowsku: muzyki eksperymentalnej Sanatorium Dźwięku, Sztuki Efemerycznej Konteksty oraz odbywającego się na przełomie sierpnia i września wspomnianego festiwalu Hommage à Kieślowski. Archiwum znajduje się na drugim piętrze XIX-wiecznej Villa Rosa, poniemieckiego pensjonatu zwanego przez mieszkańców uzdrowiska Różanką. Posegregowane i spakowane do dwóch drewnianych szaf,



wciśniętych tymczasowo do pozbawionej okien pakarni, czeka na swoją docelową siedzibę w zrujnowanym, gorującym nad okolicą potężnym, ceglanym, neogotyckim gmachu dawnego sanatorium przeciwgruźliczego Grunwald, gdzie w latach 50. leczył się ojciec reżysera. Tam ma powstać w niedalekiej przyszłości Instytut Kieślowskiego na wzór wielu tego typu międzynarodowych ośrodków poświęconych twórczości Bergmana czy Felliniego. Pytanie, czy w ogóle uda się go powołać – znaleźć kogoś, kto zgodziłby się taką instytucją kierować, biorąc pod uwagę, że ma być częścią większego projektu Laboratorium Kultury, zajmującego się warsztatami i prezentacją sztuki współczesnej, z naciskiem na eksperymentalną twórczość Zygmunta Rytki i Bożenny Biskupskiej.

Przeszkodą wydaje się również brak statutu i ciągnący się od ponad dekady remont gmaszyska sanatorium, będącego własnością rodzinnej fundacji In Situ, której na odbudowę nie stać. Ministerstwo umywa od tego ręce, gdyż inicjatywa jest całkowicie prywatna. Urzędy już dawno nie reagują na wnioski o dotacje i zaproszenia do Sokołowska, wychodząc z założenia, że właściciel zamku sam go musi odrestaurować. Zuzanna Fogtt to rozumie i obecnie gorączkowo szuka prywatnych przedsiębiorców gotowych zaryzykować.

– *Wiem, jak wyglądają porządne multimedialne muzea czy instytuty badawcze. A w Sokołowsku poza dobrymi chęciami widzę, niestety, zbyt długo amatorską rękę – tłumaczy swój sceptycyzm Zawisliński, który poświęcił Kieślowskiemu 25 lat swojego życia. – Parokrotnie próbowałem zainicjować powstanie dużej, wszechstronnej, najlepiej państwowej placówki badawczo-edukacyjno-popularnej poświęconej Kieślowskiemu, a przy okazji kinu moralnego niepokoju. Wyobrażałem ją sobie nie w Sokołowsku, gdzie jest miejsce na małą rzecz, bo nie ma tam niezbędnej infrastruktury, tylko w Łodzi albo w Warszawie, gdzie to zaplecze jest. Wszystkie trzy miejsca są związane z Kieślowskim. Nie wiadomo, czy funkcjonujące na wielu polach In Situ jest w stanie zagwarantować działalność takiego instytutu, który wymaga wszechstronnej, nie tylko filmoznawczej, opieki.*

Bez ekspozycji stałej i w ciągłej budowie nieuporządkowane i tylko częściowo skatalogowane archiwum w Sokołowsku daje pewien wgląd m.in. w to, nad czym reżyser pracował, co go interesowało, co dokumentował, a czego ostatecznie nie zrealizował. Tylko co dalej? Kieślowski był artystą rozpoznawalnym na całym świecie (sam „Dekalog” sprzedano do 70 krajów). Jeśli się przebił i jest marką jak Ryszard Kapuściński czy Stanisław Lem, trzeba kultywować to zainteresowanie najlepiej, jak się da. Żywym i wciąż nieodkrytym źródłem wiedzy jest ogrom wywiadów, jakich Kieślowski udzielił za granicą, są też jego notatki, dzienniki, zapiski, na co wielokrotnie zwracał uwagę Zawisliński. Kto, jak nie instytut, powinien je zebrać i opublikować? Nawet gdyby to miało zająć 10 lat, warto. Jeśli szukać większych niespodzianek i skarbów niż „Dekalog, Jedenaście”, to właśnie tam.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Kasę wydajesz, bony dostajesz!

Pobierz aplikację i płać mniej
w 800 sklepach, kawiarniach
i restauracjach w mieście
i na lotniskach.

- 🎯 Zwrot środków
za zakupy w formie
bonów 5 zł i 15 zł
- 🎯 Stałe rabaty na
ulubione produkty
- 🎯 niespodzianki dla
lojalnych klientów



Szczegóły na: programkameleon.pl

kameleon

jeden program, wiele korzyści



Sieć i czytaj

Niski poziom czytelnictwa? W sieci tego nie widać. Instagram z TikTokiem krzewią czytanie trochę na uboczu i od niechcienia. Za to skutecznie. Emocje okazywane na wizji sprzedają książki.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

500 stron romansu? Pyszcz. 800 stron fantastyki? Drobiazg. 45 stron szkolnej lektury? Ups... To streszczenie parosekundowego filmiku Poli, która na TikToku dzieli się książkową pasją z przeszło setką tysięcy obserwatorów. Ma 16 lat, a pod wpisami prawie 4 mln lajków.

Bo czytanie ma w sieci branie. „Zostań gwiazdą BookToka” – kusi sam TikTok, aplikacja nr 1 na świecie pod względem zasięgów i popularności, z miliardem aktywnych użytkowników. BookTok to jej czytelniczy zakątek, czyli publikowane w formie wideo materiały oznaczone takim hasztagiem, zwykle recenzje, cytaty, streszczenia, rankingi, dyskusje, a nawet omówienia literackich motywów. Jak ustna matura, ale bez egzaminatorów i nerwów, za to z potencjalnie wielką publicznością. Bookstagram to analogiczny, a nawet nieco starszy czytelniczy kąt Instagrama, który od paru lat wchodzi w skład imperium Meta Marka Zuckerberga.

To jednak TikTok stał się w ostatnich latach języczkiem u wagi, jego rozwiązania się kopiuje i on próbuje wyjść poza sieć. W przypadku rynku książki skutki są bardzo wymierne. Dlatego prócz bestsellerów „New York Timesa” są już w księgarniach „bestsellery TikToka”, a prócz prestiżowych literackich nagród – TikTok Book Awards. Półki z książkami *young adult*, czyli dla młodzieży, wyglądają niekiedy jak siatki filmików z TikToka. W Polsce też nie bez powodu są wydawane często z zachowaniem anglojęzycznych tytułów. To efekt globalizacji rynku. Albo tiktokizacji.

Klikane, sprzedane

Shannon DeVito z amerykańskiego wydawnictwa Barnes&Noble przyznała w rozmowie z „New York Timesem”, że TikTok sprzedaje dziś bez porównania lepiej niż wszystkie inne media społecznościowe razem wzięte – po publikacji

krótkiego filmiku książki czasem już zapomniane nagle przeżywają drugie życie, rozchodząc się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy co miesiąc. Zaoceaniczne realia są rzecz jasna inne niż nadwiślańskie, inny jest poziom czytelnictwa i rynek, ale promowanie książek hasłem „przebój TikToka!” i u nas nie należy do rzadkości.

Wychodzi na to, że forma ma znaczenie i w literaturze, i w sieci. Instagram ze swoimi statystycznymi ciut starszymi użytkownikami nadal słynie raczej ze zdjęć, a formaty wideo, czyli *reelsy* („rolki”, filmiki, które się odtwarzają w nieskończoność), to próba nawiązania do TikToka. Instagramerzy, w tym bookstagramerzy, to na ogół milenialsi, nazywani weteranami sieci fani estetycznych kadrów, znający jeszcze z autopsji analogową fotografię. Krótkim nagraniom z TikToka bliżej raczej do zwiastunów filmowych ze ścieżką dźwiękową, a ich twórcy częściej należą do generacji Z – te widownie różnią się, ale i w wielu miejscach zazębiają. „Młodzi ożywiają w sieci swoje ulubione tytuły i wywracają rynek książki do góry nogami, a wszystko to w niespełna minutę” – pisze Alison Flood na łamach „Guardiana”. I cytuje popularną opinię, że BookTok (Bookstagram zresztą też) „to ostatnia zdrowa przestrzeń w internecie”, przyjazna i służąca za azyl m.in. w czasach pandemicznej izolacji.

Kluby książki – wirtualne i nie – to rzeczywiście strefy relatywnie „wolne od nienawiści”. BookTok to wręcz strefa miłości. Jak stwierdza w rozmowie z „Guardianem” tiktokerka Faith Young (ok. 90 tys. obserwujących), najbardziej chodliwy (czyli klikalny) nadal jest romans fantasty: „Powiedz, że w książce wywiązuje się romans, a bohaterowie próbują się nawzajem pozabijać – i już, sprzedane”. Dominują więc tytuły z półki *young adult*, ale nie tylko; do nagrody TikTok Book Awards w kategorii „książka roku” nominowany jest np. „Młody Mungo” Douglasa Stuarta (bohater w istocie jest młody, ale sama treść powieści – poważna i przynębiająca), a w kategorii „autor lub autorka” – dr Suzie



Edge pisząca o historii medycyny. Ciekawie prezentuje się też kategoria „revival” (książki przywrócone do życia) – o tytule walczą m.in. „Duma i uprzedzenie” Jane Austen, „Nie opuszczaj mnie” Kazuo Ishiguro i „Rok 1984” George’a Orwella.

Plakał, jak czytał

Rynek książkowy już zauważył, jak potężna siła reklamowa drzemie w mediach społecznościowych. Tyle że nie są one już tak sterowalne jak dawniej. Wszelkie formy współpracy i reklamy należy jasno komunikować, kapryśne algorytmy psują szyki, a w Polsce UOKiK wziął się do obrony praw konsumenta w tej sferze. Zażalenie internetowych twórców jest przy tym tak duże, że na autorytet, zaufanie czy zasięgi i tak trzeba solidnie zapracować. Albo trafić z właściwym pomysłem we właściwy moment. BookTok wypłynął na szerokie wody m.in. dzięki publikowanym na gorąco „wrażeniom z lektury”. Dosłownie. Użytkownicy nagrywają własne reakcje na dopiero co przeczytane książki, śmieją się, krzywią, zalewają



ILUSTRACJA IZA KUCHARSKA

łzami, rzucają w nerwach książką w ką – trudno o krótszą, bardziej emocjonalną i jednoznaczną recenzję. Literacki fandom na TikToku w ogóle jest głośny i emocjonalny, bo mówi chórem, domagając się też szerszej reprezentacji, bohaterów o różnorodnej tożsamości płciowej, każdym kolorze skóry i rozmaitego pochodzenia.

„New York Times” w tekście pt. „Jak płacz na TikToku wpływa na sprzedaż książek” zauważa, że młodzi tiktokerzy sami są zdziwieni swoją nagłą władzą nad listami bestsellerów. Znany jest przykład dwóch sióstr, Mireille (dziś 17-letniej) i Elodie (15), które weszły z książkami na TikToka, bo rówieśnicy w szkole nie interesowali się czytaniem i nie było z kim o tym gadać. Sama Elodie, wówczas 13-letnia, wołała gry wideo do czasu, aż siostra wciągnęła ją w świat literackiej fikcji. Dziś ich wspólny profil @alifeofliterature śledzi prawie 290 tys. osób, a na festiwalach i spotkaniach literackich nastolatki uczą pisarzy, „jak wytresować smoka”, czyli TikToka.

Poszukiwanie w sieci podobnych do siebie entuzjastów liter – z braku takich osób

w pobliżu – to zresztą częsty motyw. Natalia Miśkowiec zaczęła szukać sześć lat temu. I wsiąkla. – *Moim założeniem od początku było pisanie o książkach prosto i przez pryzmat własnych emocji. Nie aspirowałam do pisania o literaturze pięknym językiem – opowiada. – Nie jestem polonistką ani purystką językową. Chciałam, żeby moje opinie brzmiały jak te, które możemy usłyszeć np. od koleżanki zafascynowanej nowo odkrytą powieścią. Żeby przemawiały przez nie emocje, a nie suche opisy dotyczące konstrukcji utworu. Stąd też nazwa „prostymi słowami”. Dodajmy: 41 tys. obserwatorów na Instagramie, 43 tys. na TikToku. Natalia ma 32 lata i właśnie uczy się montować filmiki. Gdyby miała wskazać trzy najważniejsze punkty na jej „czytelniczej osi czasu”, byłoby to pochłonięcie pierwszej części Harry’ego Pottera, pierwszej powieści Harlana Cobena i... odkrycie Bookstagrama.*

Który jest poza wszystkim pożeraczem czasu. I pożeracze książek mocno to odczuwają. – *Wielokrotnie marzę o rozciągnięciu doby* – mówi Karolina Łukawska

(„Książki dobre jak czekolada”, 27,5 tys. obserwatorów na Instagramie, 5 tys. na TikToku). I wylicza: – *Samo przeczytanie powieści zajmuje kilka godzin, a to początek pracy z książką. Do tego przygotowanie zdjęć, rolek, tiktoków, napisanie recenzji, nagranie stories z wrażeniami po lekturze i dodanie transkrypcji, wybranie* ▶

REKLAMA

LETNIA PROMOCJA
Kupując elementy legendarnej „Marii” (w wersji białej, kwiatowej lub w nowych pastelowych odcieniach) o wartości 2500 pln otrzymasz bonus 1000 pln!
www.rosenthal.pl

► *najciekawszych cytatów, a po publikacji odpowiadanie na setki komentarzy.* Karolina dziś ma 25 lat, w wieku 18 założyła bloga, rok później konto na Instagramie. Pierwsze książki wypożyczała na kartę biblioteczną babci – nie mogła mieć własnej, bo nie skończyła siedmiu lat. – *Bookstagram stał się tak ważną częścią mojego życia, że napisałam na jego temat pracę licencjacką, która została wyróżniona jako najlepsza praca licencjacka z zakresu marketingu internetowego* – opowiada. A dziś pisze o romansach – na przekór ogólnej podłości świata.

Jaranko i polecanko

Nie każdy się w tej wirtualnej konwencji odnajdzie, trzeba nieco finezji, żeby powstał atrakcyjny kadr, i jeszcze więcej przy montażu wideo, nawet jeśli trwa siedem sekund. No i humor bywa nieodzowny. TikTok, a jego śladem Instagram, często łączy dziś performans ze stand-upem. Szybkie wrażenia z lektury to pierwszy stopień wtajemniczenia, internauci idą krok dalej – próbują oddać atmosferę książek, tchnąć nieco życia w ulubione papierowe tomiszczka, przewracając kartki, przypominając, że czytanie mile oddziałuje na zmysły. W postach okraszanych hasłem „bookhoul” prezentują całe zestawy książek, które czytali, zamierzają czytać albo po prostu kolekcjonują („bookhoul” to żargon książkowego internetu). Odpakowują pudła przed kamerą (słynny „unboxing”), ale i miewają zastoje („tiktokowe wypalenie”). No i wzdychają do bohaterów. Dziś w Polsce obiektem westchnień jest Nathaniel Shey opisany w trylogii „Hell” Katarzyny Barlińskiej, według Wikipedii: „sportowiec, bokser, przytójny chłopak. Idol wielu polskich nastolatów” (pisownia oryginalna). Barlińska jest autorką „Pizgacza”, publikowanego najpierw na platformie Wattpad dla aspirujących twórców, podobnie jak seria z „Rodziną Monet” Weroniki Marczak. Obie autorki są hołubione na TikToku i zawsze łatwo je zlokalizować na targach książki – długie kolejki po autografy na pewno prowadzą do nich.

Na tle TikToka Instagram wypada poważniej, a prócz masy miejsc, w których czytanie się po prostu radośnie celebrowa, zaczynają się wyróżniać profile, które mają niemal krytycznoliterackie ambicje i zacięcie. To już nie tylko zdjęcia książek z hasłem „polecanko!” czy „jaranko!” z okazji wyczekiwanej premiery, ale całkiem rozbudowane opinie. Bookstagramerzy bywają tiktokerami (i na odwrót), miewają doświadczenia z blogosfery, wchodzą w podkasty i wychodzą... z sieci.

W realu bez kompleksów prowadzą spotkania literackie, festiwalowe itd.

Bookstagram profesjonalizował się, ale i rozdrobnił, łatwo tu znaleźć grono czytające to samo co my: kryminały, polskie powieści, komiksy, romanse. „Bookstagram to antidotum na przechwałki w social mediach” – pisze Janelle Brown dla portalu „Crime Reads” (kryminalna odnoga magazynu „Literary Hub”). I dodaje: „To jak oazy autentyczności na pustyni mediów społecznościowych. Posty z książkami w moim strumieniu przeplatają się ze zdjęciami fashionetek z torbami Gucci pod pachą na festiwalu Coachella i guru modnego stylu życia, którzy reklamują frytkownice. Niesłychany kontrast”.

Etap takiej niewinności Bookstagrama za sobą, choć tu nadal chodzi o książki i na tle wszelkiej maści influencerów bookstagramerzy budzą raczej sympatię. A właściwie bookstagramerki – na BookToku też zresztą przeważają kobiety (nastoletnie dziewczyny). W tym wypadku także rodzą się obawy, czy TikTok nie zechce jakoś tego fenomenu chytrze zmonetyzować; wchodził już w partnerstwa ze wspomnianym Barnes&Noble i szacownym Penguin Random House, który sam ma tutaj prawie milion obserwatorów.

Lubię to czy nie lubię

Zawsze też przy okazji padają pytania o jakość: tego, co się czyta (tu głównie BookTok), i tego, co się pisze (Bookstagram). Komu wolno mienić się recenzentem? A może w sieci działa gorszy sort zapaleńców bez kompetencji? Pisze o tym na portalu „Kultura u podstaw” Agnieszka Budnik, literaturoznawczyni, która pod hasłem „Raport z literatury” prowadzi m.in. podcast i konto na Instagramie: „Wizji literatury jest całe mnóstwo: jedni kochają się w nią wczuwać, szukając w postaciach pobratymców lub moralnych drogowskazów, inni czytają o miejscach i sprawach, do których mogą nigdy nie mieć dostępu, dla jeszcze innych literatura to sprawa życia i śmierci. I tych wyznawców Kościoła Literatury, jak sądzę, należy się najbardziej obawiać. Próby sforsowania murów fortecy podnoszą larum”. Social media to w jej ocenie te nowe siły, które rzekomo podmywają mury. Tekst powstał niejako w obronie Wydawnictwa Filtry, które weszło w tym roku na TikToka, a zbiorowa mądrość sieci orzekła, że „przecież nie wypada”. W innym tekście Budnik podpowiada, jak obchodzić się z tym, co znajdujemy w internecie: „jeśli tekst skupia się wyłącznie na emocjach odbiorcy, nie odnosząc się właściwie do wyjściowej lektury, jesteśmy

w świecie opinii. Gdy emocje są wypadkową analizy i interpretacji, wchodzimy na pole recenzji”. Jedno i drugie może być zresztą użyteczne.

Na tym tle inaczej prezentuje się Facebook ze swoją stosunkowo najstarszą publicznością. Tu dyskusje o literaturze – a także o rynku książki – toczą zwykle osoby bezpośrednio zaangażowane, wydawcy, twórcy, tłumacze, krytycy. Poboczny obserwator byłby zdziwiony, jakim wstrząsom i jak często ten literacki światek podlega. Ostatnie gorące spory wybuchły m.in. po serii publikacji magazynu Dwutygodnik.com o kondycji polskiej powieści (marna), polskiej krytyki literackiej (równie marna) czy prawie do krytyki książek autograficznych o problematyce zdrowia psychicznego (wolno, jeśli marne).

Maciej Jakubowiak, notabene autor Dwutygodnika, w „Tygodniku Powszechnym” pisze nie bez racji, że minęła era debat, a nastały czasy inb: „Nigdy dotąd w historii tyle osób nie mówiło tak wiele tak szybko. Nigdy dotąd ich opinie nie były tak ważne. I nigdy nie były tak popolite”. Dorota Masłowska w jednym z ostatnich wywiadów powiedziała z kolei, że „zmienił się system oceniania sztuki. W tej chwili opiniuje ją przeciętny człowiek, zniknęli krytycy, przecież dośłownie zmiotło ich z powierzchni ziemi. To jest nisza. I sztukę komentują zwykli ludzie, do czego oczywiście mają prawo, ale warto pamiętać, że komentując, opowiadają głównie o sobie, nie o sztuce. Myślę, że to jest zgubne. Bo ta słabej jakości, naiwna aprobata i dezaprobata dyktuje nam warunki, w których jesteśmy i do których powinniśmy iść. To nie wróży sztuce dobrze, bo potoczni odbiorcy chcą tego, co znają, i lubią to, co znają, i jeżeli robisz coś, co jest dziwne, eksperymentalne, niezrozumiałe, to... »nie lubię to«”.

Tiktokowe „pierwsze wrażenia” z lektur sprowadzają rzecz do kwestii „lubię/nie lubię”, choć tych młodych, cieszących się czytaniem bezpretensjonalnie, Masłowska pewnie akurat nie ma na myśli.

Na pocieszenie można dodać, że Anglosasi przeżywają te same dylematy. Jak pisał niedawno „The Economist”, dziś nie opląkuje się już odrzuconych poetów, ale krytyków-toporów, którzy oddzielaliby ziarno od plew dla dobra czytelnika: „Na stronach z recenzjami częścię napotkasz pisarzy oceniających twórczość innych pisarzy za pomocą takich słów jak »liryczne«, »genialne« i »odkrywcze«, a rzadziej »męczące«, »idiota« czy »kupa gnoju«”. Po której stronie umieścić wirtualny szloch?

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Ludzie do wynajęcia

Nie ma gotowych scenariuszy. Są tylko takie, które zbyt szybko zostały skierowane do produkcji – mówi Łukasz M. Maciejewski, współscenarzysta filmu „Ukryta sieć”, adaptacji bestsellerowej powieści Jakuba Szamałka.



Magdalena Kolesińska jako dziennikarka Julita Wójcicka, główna bohaterka filmu „Ukryta sieć”.

JAKUB DEMIAŃCZUK: – Śledzi pan strajk scenarzystów w Hollywood?

ŁUKASZ M. MACIEJEWSKI: – Śledzę i kibicuję, nie po raz pierwszy zresztą, bo obserwowałem też strajk w latach 2007–08. Sam jestem w Gildii Scenarzystów Polskich, więc tym bardziej popieram zrzeszanie się i taką formę nacisku, bo nie mamy innego wyjścia. Na szczęście do scenarzystów dołączyli aktorzy, więc dla producentów to jest większy problem. Wcześniej się odgrążali, że mają tyle wyprodukowanych filmów i seriali, że nie muszą się przejmować tym „szantażem”.

Wsparcie aktorów było niezbędne, bo scenarzystów traktuje się w branży po macoszemu?

Tak na wyobraźnię działa logika kapitalizmu: że jak coś dużo kosztuje, to jest ważne. Plan jest drogi. Gwiazdy są drogie. A scenariusz niekoniecznie. Scenarzyści, jak wszyscy, powinni być dobrze opłacani, ale to balast dla producentów, którzy szukają oszczędności na każdym kroku. Tną wynagrodzenia dla scenarzystów, bo wydaje im się, że napisać te kilkadziesiąt czy kilkaset stron to jest łatwa robota. A to nieprawda.

Jednym z problemów, z jakimi mierzą się hollywoodzcy twórcy, jest obawa o nadużycia związane ze sztuczną inteligencją. Czy jej rozwój to rzeczywiście zagrożenie dla zawodu scenarzysty?

Nie wiem, czy zagrożenie, ale na pewno wyzwanie. To nowa technologia i może

być wykorzystana na różne sposoby, dobre i złe. Ta obawa oczywiście nie bierze się znikąd: w Stanach Zjednoczonych część nadawców tzw. telewizji internetowej – darmowych kanałów satelitarnych lub kablowych – korzysta ze sztucznej inteligencji przy produkcji niektórych powtarzalnych formatów, np. telenoweli dokumentalnych (docu-soapów) lub programów o policjantach. I podobno w części tych produkcji rzeczywiście nie ma już żywych scenarzystów, co oznacza, że ci, którzy byli wcześniej, stracili pracę lub musieli się przenieść do innych mediów. Ta obawa może dotyczyć wielu zawodów. Może będzie tak, że sztuczna inteligencja odbierze nam najprostsze prace scenarzystowe, redakcyjne, designerskie czy ►

► w agencjach reklamowych. To nie oznacza, że mamy siedzieć i nic nie robić. Oczywiście nie możemy być jak ludzie, którzy w proteście przeciwko postępowi rozbijali maszyny parowe – a chęć powstrzymania rozwoju SI to jest taki sam odruch. Ale musimy wywierać wpływ na ustawodawcę – skoro już pozwala sztucznej inteligencji działać, to jej działanie nie może naruszać niczyich praw autorskich. Nie można doprowadzić do sytuacji, w której nie będziemy w stanie kontrolować choćby tego, co sztuczna inteligencja agreguje. Czyli np. amerykańskie studia filmowe posługują się scenariuszami, do których nie mają praw autorskich po to, żeby generować kolejne teksty. To są bardzo skomplikowane sprawy, bo sztuczna inteligencja nie jest publiczną domeną, tylko prywatną. Dlatego powinniśmy domagać się prawnych regulacji, a sami przygotować się na zmiany. Nie możemy po prostu mówić: „Nie będę tego używał. Najlepiej to zlikwidujemy”. Na to już jest za późno.

Środowisko filmowe w Polsce toczy coraz trudniejszą walkę o tantiemy wypłacane twórcom przez serwisy streamingowe. Zaangażowały się w nią zarówno Stowarzyszenie Filmowców Polskich, jak i gildie zawodowe. Jest szansa na osiągnięcie celu, czy to już zbyt poważny styk polityki i biznesu, żeby władza się ugłębia?

Do pewnego momentu byłem optymistą. Skoro jest dyrektywa Unii Europejskiej nakazująca wprowadzenie w prawie autorskim zmian umożliwiających wypłacanie tantiem przez serwisy VOD, to jesteśmy na dobrej drodze.

Ta dyrektywa została wprowadzona w 2019 r., termin implementacji minął ponad dwa lata temu.

Wiadomo, że rządy się spóźniają z działaniem. Ale przedłużanie wdrożenia dyrektywy wydawało mi się totalnie nielogiczne. W końcu to są pieniądze dla polskich obywateli, które zostaną tu wydane, a państwo będzie miało z tego VAT. Ale rzeczywiście lobbują na styku polityki i wielkich korporacji zadziałał. Zapisy o tantiemach zniknęły z projektu ustawy. My lobbujemy w tej sytuacji, ale tak samo robią to Netflix i inni streamerzy. I to znów jest kwestia ustawodawcy. Czy ma ochotę wprowadzić zmiany, czy nie, a na to nie mamy niestety wpływu. Możemy jedynie domagać się transparentności i ciągle wywierać presję, żeby ten temat stale był obecny w dyskusji. Zwłaszcza że już do nas spływają tantiemy z krajów, które odpowiednie ustawodawstwo wdrożyły.

„Ukryta sieć”, której współautorem scenariusza pan jest, to też w jakimś



Łukasz M. Maciejewski – (ur. 1980 r.) scenarzysta, autor dialogów. Współtwórca serialu „Król” oraz takich filmów jak „Czerwony pająk” (reż. Marcin Koszałka), „Braty” (reż. Marcin Filipowicz), a także „Najmro” i „Dzień Matki” (oba w reżyserii Mateusza Rakowicza). Za scenariusz „Najmro” dostał nagrodę na Festiwalu Debiutów Filmowych Młodzi i Film w Koszalinie. Nad adaptacją „Ukrytej sieci” pracował z reżyserem Piotrem Adamskim oraz autorem powieściowego pierwowzoru Jakubem Szamałkiem.

stopniu opowieść o zagrożeniu płynącym z niekontrolowanego dostępu do nowoczesnych technologii.

No tak, zrobiliśmy technothriller, gatunek, którego w Polsce się nie uprawia. I wiadomo, że filmy tego rodzaju zawsze będą rodzić pytania dotyczące technologii. Naszą ideą nie było jednak straszenie, raczej zadawanie pytań dotyczących tego, jak posługujemy się tą technologią, do jakich celów. I czy mamy świadomość, że to w sumie proste narzędzie, którego można używać do robienia dobrych i złych rzeczy. Przy tym wszystkim nie chcieliśmy wychodzić poza ramy fabularne narzucone przez książkę.

Kto przyszedł do pana z propozycją ekranizacji powieści Jakuba Szamałka?

Prawa do książek Jakuba Szamałka kupili Jerzy Kapuściński i Wojciech Kabarowski, którzy są producentami kreatywnymi tego filmu. My się z Jerzym znamy, pracujemy ze sobą, więc zaprosił mnie również do „Ukrytej sieci”. Ale książkę znałem już wcześniej, dość uważnie śledzę rynek wydawniczy, bo często pracuję przy adaptacjach literatury.

Scenariusz napisaliście wspólnie z reżyserem Piotrem Adamskim, który już swoim poprzednim filmem „Eastern” udowodnił, że świetnie czuje się w kinie gatunkowym.

To była bardzo dobra decyzja producentów, żeby zatrudnić reżysera, który zahacza o gatunki, ale swoją intuicją jest po stronie kina autorskiego. Myślę, że to właśnie przyciągnęło go do tego projektu: możliwość połączenia bardzo popularnej powieści sensacyjnej z autorską estetyką. Nie znaleźmy się wcześniej, choć oglądałem jego filmy: „Eastern” i krótkometrażowe „Otwarcie”. Bardzo mi się podobała ta współpraca. Piotrek jest intelektualistą. Człowiekiem, który bardzo mocno musi przepracować nie tylko akcję i fabułę, ale też jakąś głębszą koncepcję intelektualną, która stoi za filmem. Pomagał nam Kuba Szamałek, więc scenariusz powstawał w większej grupie i to również wydawało mi się bardzo sensowne, bo lubię pracować z innymi ludźmi, przekonując się do ich stylistyki, zmieniać swój sposób pracy. „Ukryta sieć” była dla nas wyzwaniem. Z jednej strony to film gatunkowy, więc mamy z góry daną pewną konwencję, znane reguły, jasno określone role. Z drugiej chcieliśmy traktować widzów serio, sprawić, żeby ten film i dla nich był jakimś wyzwaniem. Potrzeba było do tego reżysera takiego jak Piotrek, człowieka, który potrafi rozszerzyć te granice kina gatunkowego.

Chyba lubi pan blisko pracować z reżyserami, tak jak z Mateuszem Rakowiczem, z którym zrealizował „Najmro” i „Dzień Matki”. To daje poczucie większego wpływu na film?

Rzeczywiście, moja satysfakcja z pracy polega też właśnie na tym, a współpraca z reżyserem sprawia, że wkład scenarzysty jest mocniejszy. To jest moim zdaniem naturalny sposób powstawania filmu. To mit, że do scenarzysty przychodzi producent, zamawia scenariusz, potem znajduje reżysera i tak dalej. To tak nie działa. Tu dzieje się wszystko wszędzie naraz. Film się obsadza, w zasadzie zanim się zacznie pisać scenariusz. Z Mateuszem tak pracujemy, że gdy nie mamy dobrego pomysłu na jakąś postać, to myślimy o konkretnych aktorach lub aktorkach i za każdym razem się udaje. Lubię blisko współpracować nie tylko z reżyserem, lecz także z operatorem, obsadą. To wszystko sprawia, że scenariusz staje się lepszy. Bo nie ma gotowych scenariuszy. Są tylko takie, które zbyt szybko zostały skierowane do produkcji. Mało który producent może sobie pozwolić na to, by scenarzysta pisał sam, bez konsultacji z ekipą. Zresztą moim zdaniem filmy tak nie powinny powstawać. Scenarzyści zawsze są skazani na pracę w grupie. I im większa jest ta grupa na początku, tym większą mamy pewność, że nie tyle piszemy scenariusz,

ile robimy film. Bo ja nie lubię pisać scenariuszy: żmudne klepanie w klawiaturę jest wyczerpujące. Ale lubię robić filmy.

Zawsze pracuje pan z całą ekipą?

Nalegam na to. Jestem zapraszany na czytanie z aktorami, bo dzięki temu jesteśmy w stanie na miejscu rozwiązywać pierwsze problemy, zwłaszcza jeśli reżyser sam nie pisze scenariusza. To nie jest wyłącznie kwestia ułożenia dialogów. Pytania o dźwięk, obraz, kostiumy – to wszystko ma wpływ na ostateczną wersję scenariusza. Im więcej informacji dostanę, tym większa precyzja w realizowaniu artystycznej wizji. Czasami oglądam jakieś układki montażowe, żeby kontrolować, czy film nie traci dramaturgii. Więc może rzadko jestem obecnie na planie, ale w produkcji i postprodukcji filmu zawsze biorę udział.

Pamięta pan moment, w którym pomyślał pan, że chciałby pisać scenariusze? Czy to był raczej proces?

Powiedziałbym, że to kwestia dopasowania talentu do ambicji. Zawsze mi się wydawało, że będę się zajmował fotografią lub kinem. Myślałem o reżyserii albo studiach operatorskich. Lecz nie mam takich talentów socjotechnicznych, jakie posiadają reżyserzy albo operatorzy, zdolności kontrolowania pracy wielu osób. Na szczęście okazało się, że można się realizować w kinie, nie posiadając tych dyktatorskich zapędów i talentów. Jest przestrzeń dla osób, które są bardziej wycofane społecznie. Zawsze dobrze szło mi pisanie, więc to nie był jakiś kompromis. To nie jest tak, że jestem niezrealizowanym reżyserem czy operatorem. Po prostu okazało się, że moje hobby może być też moim zawodem i bardzo się z tego cieszę.

Pana scenariusze to przede wszystkim różne odmiany filmu gatunkowego. Czy nadszedł wreszcie w Polsce dobry czas dla takiego kina?

Nie było wyjścia. Kino autorskie, reżyserskie, które u nas przez lata dominowało, to tylko jedna z gałęzi filmu. A tych gałęzi powinno być więcej. Oczywiście pozostaje pytanie o jakość tych filmów gatunkowych, ale im więcej będziemy ich robić, tym większa szansa, że okażą się dobre. Cieszy mnie ta sytuacja. Serwisy streamingowe i fakt, że polskie produkcje są częścią globalnej kinematografii, więc konkurują nie tylko ze sobą, lecz również z filmami z innych krajów, wymusiły na nas uprawianie gatunku. Jeśli chcemy zdobywać widzów, musimy robić takie kino, musimy się tego nauczyć. Na szczęście szanse na to są coraz większe. Kiedyś obawiałem się, że będę skazany na arthouse'y. I oczywiście piszę też filmy arthouse'owe, ale musi być w nich coś specjalnego, żebyśmy chcieli się nimi zająć.

„Braty” Marcina Filipowicza to kino arthouse'owe, a jednak odwołujące się w jakimś sensie do popularnych wzorców.

Marcin przekonał mnie, że chce zrobić film o dorastaniu, a *coming of age* to jest pewien gatunek, który nam się kojarzy przede wszystkim z kinem amerykańskim. I to jest konwencja, która mi bardzo odpowiada, bo jest emocjonalna, pełna empatii. W tych mniejszych projektach szukam właśnie takiego podejścia. Jeśli nie definiuje nas konwencja czy gatunek, to jakie emocje ma wywoływać film? „Braty” to był też efekt mojego zmęczenia po pracy nad serialem „Król”, chciałem wejść w coś zupełnie innego. I ten projekt pojawił się w idealnym momencie, po wielkim serialu mały film, w którym jest kilku, a nie kilkuset aktorów. Lubię takie zmiany.

„Czerwony pajak” był fincherowskim thrillerem, „Najmro” – heist movie i jednocześnie komedią nostalgiczną, „Dzień Matki” – kinem akcji, „Ukryta sieć” to technothriller.

Teraz Adrian Panek realizuje kryminalne „Kolory zła”. Nie widać w tych wyborach kurczowego trzymania się jednego gatunku.

Raz, że mam szczęście do takich projektów, a dwa, to chętniej wybieram takie filmy, które się od siebie różnią. Takie zmiany są dla mnie bardzo ważne, bo zamknięcie się w jednym stylu opowiadania czy w jednej tematyce jest dla scenarzysty niebezpieczne. My jesteśmy ludźmi do wynajęcia i im szerszy mamy wachlarz możliwości, tym jest to rozsądniejsze z zawodowego punktu widzenia. Dla własnego dobra wolę robić różne rzeczy, bo po prostu łatwiej jest mi dopasować się nie tylko do osobowości reżysera czy reżyserki, lecz również do gatunku albo stylu filmu.

Jednym z filmów, do którego napisał pan scenariusz, a którego prawdopodobnie już nie zobaczymy, jest „Kantor. Nigdy już tu nie powrócę” niezjącego już Jana Hryniaka. Myślał pan o tym, jak potoczyłaby się pana kariera, gdyby ten film udało się skończyć w terminie?

To była ekstremalna sytuacja, bo jeśli film przepada w produkcji, to zazwyczaj dzieje się to znacznie wcześniej, a „Kantor” był w znacznej części już nakręcony. To zawsze budzi poczucie straty. I nie chodzi o czas, tylko o zainwestowane w film emocje. Lecz to jest część naszego krwioobiegu, że niektóre projekty się nie udają. Trudno, już do tego nie wrócimy. Nie ma co rozdzierać szat. To jest prawo tej dżungli, w której funkcjonujemy. I musimy przywyknąć do ciosów. Natomiast myślę, że kino gatunkowe i tak by się w moim życiu przydarzyło. Z zakłętego kręgu kultury wysokiej i bardzo wysokiej pewnie wolałbym w końcu wyjść, bo to nie jest do końca moja estetyka.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

REKLAMA

19. Festiwal
**Skrzyżowanie
Kultur**
15-17 WRZEŚNIA 2023
TEATR DRAMATYCZNY W WARSZAWIE
www.skrzyzowaniekultur.pl

Warszawa       



Poszerzanie świata

Polski CD Projekt po serialu animowanym poszerza uniwersum swojego „Cyberpunka 2077” o powieść, wydaną od razu także w wersji anglojęzycznej. Co się kryje za tą ekspansją?

OLAF SZEWCZYK

S chyłek XXI w., metropolia Night City na granicy Południowej i Północnej Kalifornii, czas zmierzchu naturalnej ewolucji człowieka – z ludzkością rywalizuje sztuczna inteligencja. Sześć nieznaną się, na pozór przypadkowych, osób, w dodatku niemających żadnego doświadczenia, ma dokonać zbrojnego napadu, który nawet dla zawodowców

stanowiłby poważne wyzwanie. Celem jest tajemniczy kontener przewożony przez konwój wojskowy. Zleceniodawca, który zaplanował ten skok i zwerbował ekipę, zapowiedział, że po przejęciu ładunku nigdy więcej się nie spotkają. Nic jednak nie dzieje się zgodnie z planem. A może prawdziwy plan od początku był inny? Może uczestnicy napadu nie zostali dobrani przypadkowo?

Na pewno nie przypadkiem propozycję napisania powieści, której akcja rozgrywa się w tym samym świecie, co wydarzenia z gry wideo „Cyberpunk 2077”, studio CD Projekt RED złożyło właśnie Rafałowi Kosikowi. To pisarz popularny nie tylko w Polsce, znany głównie z cyklu książek dla młodzieży „Felix, Net i Nika”, ale z dużą swobodą dostosowuje swój warsztat do różnorodnych odbiorców. Ma na koncie cenione książki dla dzieci (seria „Amelia i Kuba”) oraz dorosłych (m.in. nagradzane „Nautilus”, „Kameleon” i „Różaniec”), a uniwersum „Cyberpunka 2077” nie jest mu obce. Kosik współpracował przy scenariuszu serialu animowanego serialu „Cyberpunk: Edgerunners”, który pojawił się w ubiegłym roku w serwisie Netflix. Był więc najlepszym kandydatem do napisania powieści, w której z góry ustalono niemal wszystko poza samą akcją: sceneria – dystopijny, bezwzględny świat przyszłości, sztywno osadzony w realiach uniwersum wykreowanego przez innych autorów; transhumanistyczna rewolucja – kryzys tożsamości człowieka, modyfikowanego za pomocą cybernetycznych wszczepów; gorzki posmak życia w cieniu nieuchronnej porażki znany z powieści i filmów noir.

Wyjście w świat

„Cyberpunk 2077: Bez przypadku” to prawdopodobnie pierwsza w historii polskiej literatury powieść pisana przez autora w tak sztywnym gorsecie, pod tak ścisłym, nieustannym nadzorem osób kontrolujących zgodność opisywanych realiów z rzeczywistością gotowego już świata. Mimo tych ograniczeń Rafał Kosik był w stanie skonstruować zgrabną, wartką przygodę – z suspensem i z bohaterami, których losy zaciekawiają czytelnika.

– *Trochę się wahałem przed przyjęciem propozycji napisania tej powieści, głównie dlatego, że musiałem ją napisać w zastanym świecie, a ważną częścią pisania jest dla mnie właśnie światotwórstwo* – przyznaje autor. Przy pisaniu „Cyberpunk 2077: Bez przypadku” musiał się dostosować do ram konkretnego świata, nie dokonując w nim żadnych zmian. Dostał za to pełną swobodę w budowaniu samej historii. Argumentem za tym, żeby przyjąć propozycję, była też zbieżność wizji przyszłości sportretowanej w „Cyberpunku 2077” z zainteresowaniami Kosika oraz istotne ułatwienie: nie musiał uczyć się reguł funkcjonowania tego uniwersum od zera.

– *Od zawsze interesują mnie psychologiczne i socjologiczne aspekty coraz*

głębszego zanurzenia się w technologiach i coraz mocniejszego uzależnienia się od nich. W przypadku świata „Cyberpunk 2077” to połączenie staje się nierozrwalne i ludzie nie potrafią bez tego funkcjonować już nawet na poziomie biologicznym – mówi.

Kosik nie ukrywa, że przyjął propozycję CD Projektu RED, ponieważ była to też sposobność wejścia na kluczowe rynki światowe: amerykański i brytyjski, i to głównymi drzwiami. W USA „Cyberpunk 2077: Bez przypadku” wydał Orbit US, czyli Hachette – duże, dobre wydawnictwo specjalizujące się w wydawaniu fantastyki, mające w ofercie m.in. Andrzeja Sapkowskiego, Charlesa Strossa, Joego Abercrombie, Briana Aldissa, Trudi Canavan czy N.K. Jemisin. W Wielkiej Brytanii wydawcą jest też Hachette (Orbit UK). Książka trafiła na rynek brytyjski, amerykański i polski niemal jednocześnie (6–8 sierpnia). W Polsce tradycyjnie wydał ją Powergraph – niewielkie, ale ważne w świecie polskiej literatury wydawnictwo, które Rafał Kosik prowadzi wraz z żoną Katarzyną Sienkiewicz-Kosik, która jednocześnie jest redaktorką jego książek. Oprócz Kosika Powergraph wydaje m.in. Annę Kańtoch, Radka Raka, Roberta M. Wegnera i Wita Szostaka. Książki wydawnictwa były dotąd tłumaczone na ukraiński, czeski, węgierski, niemiecki, francuski, również rosyjski, ale z Rosją, mimo dużego sukcesu na tym rynku Wegnera, Powergraph ze względu na wojnę zerwał współpracę. Wejście na rynki anglojęzyczne to zarówno dla Rafała Kosika, jak i Powergraphu, ważny krok i wielkie nadzieje.

Cyberpunkowy Dumas

– To inny model współpracy niż zwykle się to praktykuje w Polsce – zauważa Rafał Kosik. – Amerykański model redakcji bardziej przypomina reżyserskie podejście do książki. Uwagi redakcyjne bardzo głęboko unikają w treść, zmieniają strukturę powieści, mogą zmieniać charakterystykę postaci itp. Ja jestem do tego trochę przyzwyczajony, ponieważ w podobny sposób pracujemy w Powergraphie.

Reguły współpracy z amerykańskim redaktorem, jeszcze bardziej ingerującym w proces twórczy, zawiesił Rafałowi Kosikowi poprzeczkę niekomfortowo wysoko. – Wyzwanie pojawiło się już na początku, bo Rafał zwykle nie pracuje z konspektami, a trzeba było taki stworzyć – wspomina Katarzyna Sienkiewicz-Kosik. – Po wysłaniu pierwszego prostego streszczenia usłyszeliśmy, że taką historię mógłby napisać i Aleksander

Dumas. Pomyślałam wtedy, że to wspomniała recenzja, bo oznacza, że ta historia jest uniwersalna. Dumas piszący powieść cyberpunkową!

Pierwszy krok okazał się jednak jednym z wielu i wcale nie najwyższym. Kosikowie, nagabywani o wrażenia z tej współpracy, używają uprzejmego eufemizmu, określając owo doświadczenie jako „fascynujące”. Autor przyznaje, że wprowadził niemal wszystkie żądane przez Amerykanów zmiany, uparł się jednak przy pierwotnie zaproponowanym zakończeniu, które w amerykańskim odbiorze było niedostatecznie jednoznaczne.

Nad zgodnością realiów powieści z uniwersum Cyberpunka 2077 czuwał już CD Projekt RED. I z tego powodu również dochodziło do ostrych cięć. Nadzór nad merytoryczną zgodnością wszystkich franczyz to zresztą główne wyzwanie przy tworzeniu wielomediálních popkulturowych światów budowanych wokół wielkiego przeboju, który ciągnie pozostałe media jak lokomotywa, ale też synergicznie zyskuje dzięki nim dodatkowy impet. Pod tym względem uniwersum „Cyberpunka 2077” podąża ścieżką, którą wcześniej wytyczyły m.in. „Gwiezdne wojny”, „Władca pierścieni”, przygody superbohaterów Marvela czy choćby cykl gier CD Projektu RED „Wiedźmin” – popularnych w dużej mierze dzięki powieściom i opowiadaniom Andrzeja Sapkowskiego, w których świecie zostały umieszczone. A dziś, dzięki popularności gier, zekranizowanych w formie serialu przez Netflix.

Gra CD Projektu RED, bazująca na już zastanym świecie stworzonym przez Mike’a Pondsmitha w grze fabularnej „Cyberpunk” (1988 r.), jest modelowym przykładem globalnego przeboju, wokół którego mają szansę zaistnieć inne franczyzowe produkty, gwarantujące nie tylko dodatkowy zysk, ale i lepszą promocję. Ta strategia sprawdziła się w przypadku serialu anime, który dzięki grze „Cyberpunk 2077” nie tylko zdobył widzów, ale i przysporzył jej popularności. Zapewne zadziała też w przypadku książki Rafała Kosika, która trafiła na rynek półtora miesiąca przed 26 września, kiedy to swoją premierę mają „Widma wolności”, oczekiwany dodatek do gry „Cyberpunk 2077”, z Idrisem Elbą jako agentem Federalnej Agencji Wywiadowczej.

Dla CD Projektu RED rozszerzenie portfolio cyberpunkowych franczyz o powieści (także graficzne, już dostępne w sprzedaży) to także ruch wizerunkowy, mogący wzmocnić przekonanie inwestorów,

że „Cyberpunk 2077” to mocna światowa marka, a polski producent potrafi profesjonalnie o nią zadbać. Dojście do tego momentu zajęło CD Projektowi RED prawie trzy lata. Katastrofalna premiera gry, która trafiła do sprzedaży w bardzo złym stanie technicznym, podkopła renomę firmy. Ostatnie lata minęły głównie na pracach naprawczych i przekonywaniu świata, że twórcy znakomitego „Wiedźmina 3” wciąż zdolni są tworzyć gry na najwyższym poziomie. Dziś „Cyberpunk 2077” jest wreszcie taką grą, jaką powinien być w dniu premiery.

Trudno jednak uniknąć podejrzania, że komunikaty, które CD Projekt RED od pewnego czasu wysyła w świat, skierowane są przede wszystkim do potencjalnych nabywców firmy, a nie samej gry. Plotki o tym, że studio może zmienić właściciela, krążą od dawna, a dziś ten wariant wydaje się bardziej prawdopodobny niż kiedykolwiek w przeszłości.

W co gra CD Projekt?

Pierwsze poważne wątpliwości co do rzeczywistych zamiarów CD Projektu RED wzbudziło upublicznienie w październiku ubiegłego roku planów na przyszłość. Firma zapowiedziała aż pięć dużych projektów, w tym nowe gry w światach „Wiedźmina” i „Cyberpunka 2077”. Za ich realizację miały w dużej mierze odpowiadać studia zewnętrzne. I tu pojawia się pytanie: jak firma, która nie była w stanie należycie kontrolować prac nad jedną dużą grą, i to wykonywanych przez własny zespół (premiera „Cyberpunka 2077” była opóźniana wielokrotnie, a i tak gra trafiła do sprzedaży zdecydowanie przedwcześnie) miałyby poradzić sobie z produkcją aż kilku gier naraz i to takich dużego kalibru, realizowanych w dużej mierze przez wynajęte lub kupione w tym celu inne studia. Trudno uniknąć podejrzania, że CD Projekt RED próbował tym anonsem przede wszystkim podbudować swój wizerunek, z myślą o ratowaniu kursu akcji i, być może, sprzedaży całego interesu.

Do myślenia dają też niedawne masowe zwolnienia w warszawskim studiu. Nie powinno się przecież dziesiątkować działu produkcji, który ma przed sobą tak ambitne wyzwania. Redukcja personelu jest za to zabiegami często stosowanym w fazie przygotowań do sprzedaży.

Niedawno, ku powszechnemu zaskoczeniu, zmienił właściciela wrocławski Techland, producent cenionych w świecie gier z serii „Dying Light”. Kupił go chiński Tencent. Nie jest jasne, jaką drogą podąży CD Project Red. ■

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Film Krzysztofa Stanowskiego o wymyślonej karierze Natalii Janoszek obejrzało na YouTube już blisko 7 mln widzów. Tym samym autor spełnił jej największe marzenie: wreszcie wystąpiła w hicie.

Koniec „You Can Dance” w TVP1. Tym samym pracę tracą naczelną chórystka telewizji publicznej Kasia Cichopek oraz „wizjoner tańca”, czyli Agustin Egurrola. Był taki dowcip: „– Towarzyszu Stalin, przyszedł wizjoner i mówi, że zna przyszłość. – Do łagru. Jakby znał, toby nie przychodził”.

WP z bólem informuje, że Martyna Wojciechowska jest załamana, bo paparazzi zrobili jej zdjęcia na plaży, a to był jej intymny czas. Ten sam portal bez skrępowań publikuje nagie zdjęcia celebrytek zrobione zza krzaków. Internet. W wolnym tłumaczeniu: bullshit department.

Doskonała wiadomość dla stacji Polsat News. Jej widownia zdominowana jest przez osoby starsze, emerytów, osoby z wykształceniem podstawowym i mieszkańców wsi. Jak uczą podręczniki: grupa docelowa najlepiej oddaje charakter marki.

W „Pytaniu na śniadanie” gościł rotmistrz kawalerii Adam Sujecki, który stwierdził, że aby dzieci były mężne, trzeba dać im konie, szable i oręż. „Bardzo jest to nie po drodze z moimi poglądami” – wyznał Tomasz Kammel. Tym samym ujawnił, że jakiegokolwiek ma.

Katarzyna Skrzynecka i Piotr Gąsowski wracają razem do telewizji. Para poprowadzi „Kabaretowe przeboje” w Zoom TV. Wybór nadawcy ewidentnie pokazuje, że potrafią się śmiać z siebie.

Tytuły krzyczą: „Paulina Smaszcz postanowiła odmienić swoje życie. Smaszcz obraża kobiety. Smaszcz była w związku. Smaszcz

podjęła wyzwanie. Smaszcz romantycznie pozuje. Smaszcz wbija szpilkę Kurzajewskiemu”. Paulina Smaszcz. Najbardziej utytułowany brak kariery w Polsce.

Marcin Hakiel, były małżonek Kasi Cichopek, wyznał swoim fanom, że wynajął prywatnego detektywa, aby zdemaskować niewierność partnerki. Kasia jest znana z gry w tandetnym serialu. On teraz też.

Sebastian Kościelnik, kierowca Fiata Seicento, który zderzył się z limuzyną Beaty Szydło, wystartuje w wyborach do Sejmu z listy KO. Polityka zawsze przypominała mafię. Żeby zrobić karierę, wystarczy stuknąć, kogo trzeba.

Jacek Knap, znany z serialu „Komisarz Alex”, wystąpił na konferencji ramówkowej TVP z tęczowym znacznikiem w marynarce. Mało tego, aktor wyznał, że od zawsze wspiera LGBT+. Jacek zadebiutował w serialu „O mnie się nie martw”. Tytuł już nieaktualny.



© ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Jarosław Jakimowicz rozpoczął krucjatę na Instagramie przeciwko TVP. Były dziennikarz, komentator i publicysta twierdzi, że zwolniło go lobby LGBT. Ładny opis sytuacji. To tak, jakby „Titanica” opisać: starszka opowiada o swych przygodach seksualnych grupie nurków.

Piotr Najsztub organizuje publiczną zrzutkę na prawnika, gdyż chce ukarać Piotra Adamczyka z „Wiadomości” TVP, za podawanie nieprawdziwych informacji na temat jego wypadku. Najsztub miał być widziany w czerwonym Seicento, gdy krzyczał: Teraz, teraz.

Były wokalista zespołu Afromental został jurorem w programie TVN pt. „Lego Masters”. Są podobno trzy poziomy bólu. Ból. Okropny ból. Nadeptanie na klocek lego. Podobno boli nie mniej niż oglądanie.

Marianna Schreiber poinformowała, że 17 sierpnia powstała jej partia Mam Dość, którą ona oficjalnie rozwiązała i z której wystąpiła, a jednak ona istnieje i Marianna, pomimo że była jej założycielką, to nie zna jej członków. Literacko ciekawe. Składnia Suskiego, ale logika Sasina.

W dniu, w którym ogłoszono, że Bogusław Wołoszański wystartuje w wyborach parlamentarnych z listy KO, TVP usunęła z anteny jego program „Sensacje XX wieku”. Pan Bogusław zawsze był dobry w pokazywaniu bolszewickich praktyk.

Management artystki Dody zwrócił się do mediów z prośbą o „zaprzestanie łączenia projektów zawodowych artystki Dody z panem Dariuszem Pachutem”, całkiem niedawno partnerem artystki Dody. Artystka Doda zapomina, że w życiu prywatnym też można być artystą lub chałturnikiem.

Po czterech miesiącach emisji program Oskara Szafarowicza „Hity z sieci” w TV Republika śledzi średnio 6,5 tys. widzów. Cudowne dziecko PiS i prawniczy lizus nie zawładnął widownią. Pawlik Morozow w jego wieku był już legendą.

Bogusław Wołoszański wystartuje do parlamentu z list KO w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie zmierzy się z samym Antonim Macierewiczem. Czyli „Sensacja XX wieku” zmierzy się z pozostałością wieku XIV.



Uziemienie

Chronisz to, co kochasz – powiedział kiedyś Jacques-Yves Cousteau, światowej sławy badacz mórz

i humanista – tłumacząc, w jaki sposób można zachęcić ludzi do troszczenia się o środowisko naturalne. Skroluję wiadomości w przeglądarce – pożary trawią Hawaje, upały wiszą nad Europą, powodzie rozlewają się w Norwegii i Słowenii. Natura stara się pokazać nam wymownie, że nie dbamy o homeostazę. W naszym związku nie ma miłości.

Media podają, na ile lat względnie spokojnego życia możemy liczyć: 50? 100? A ile czasu mają mieszkańcy globalnego Południa? Nieważkie cyfry przefruwają nam przez uszy. A gdyby opowiedzieć to inaczej? Andri Snær Magnason w zbiorze esejów „O czasie i wodzie” tłumaczy swojej córce, że może mieć sprawczość w życiu przez tyle lat, ile minie do momentu, kiedy umrze jej prawnuczka. Ma szansę przekazywać wiedzę trzem pokoleniom, wpływać na świat przez ponad dwa wieki. Czas, który jest mierzony ciałem, doświadczeniem, zaczyna stawać się realny i ważny.

Długo żyliśmy właśnie w takim czasie – mierzonym pamięcią o przodkach, wiedzą o naturze i jej rytmach, planowaniem, które bazowało na tym, żeby nie naruszyć harmonii. Dziś tamten czas jest postrzegany jako naiwny i anachroniczny. Niby wiemy, że to ostatnie chwile, żeby zatroszczyć się o planetę, o naturę – ale co to właściwie znaczy? W znakomitej większości nie odczuwamy z naturą na co dzień związku, nie czujemy się z nią tak blisko jak z partnerem/ką, rodzicami, dziećmi czy przyjaciółmi. Do nich czujemy miłość. Żeby chronić naturę, trzeba ją więc kochać podobną miłością, mierzyć zaangażowanie i czas jej poświęcany jednostkami bliskości.

Takim miarom bliżej do świata człowieka plemiennego niż dzisiejszego człowieka progresu i produktywności. Mówi się jednak, że nie ma powrotu do bardziej wspólnotowej i emocjonalnej mentalności, że takie inspiracje czerpane z rdzenności to naiwność, mrzonki. „Dziś są inne czasy”. Ale właściwie, dlaczego? Większość z nas w dzieciństwie prawdziwie kochała „zwierzątka” i „roślinki”. Pamiętam, że całe dnie spędzałam nad albumami z przyrodą, chodziłam po łąkach, lasach, zachwycając się tym, co widzę. Dorastając, stopniowo tracimy to połączenie z naturą, tę ciekawość i czułość do każdego robaczka. Jest ono wypierane przez twardą wiedzę o tym, jak przetrwać w cywilizacji. Ale tęsknimy za tym zachwytem i czułością. Kolejne pokolenia fascynują się Anią z Zielonego Wzgórza, bo ona odmówiła wyrzeczenia się dziecięcego zachwyty. Takie Anine olśnienie światem to odczuwanie, że we wszystko, także we mnie, wpisane jest piękno i sens.

W modnej dziś praktyce *mindfulness* chodzi o to, żeby poczuć się częścią rzeczywistości, od której coraz bardziej się odklejamy. Poczuj, jak pachnie powietrze, jaki kolor mają drzewa, żeby – dosłownie – uziemić się. Na co dzień zwykle latamy w abstrakcyjnych przestrzeniach kapitału. Możemy przeżyć życie, „nie dotykając ziemi ni razu” – niczym panienka z utworu Mickiewicza. Ta modna

„uważność” to nienowomy pomysł. Ma rdzenny rodowód.

Dziwimy się, że maoryskie plemię uczyniło rzekę Whanganui osobą prawną, społeczną – ale czy to rzeczywiście jest tak niezwykłe? A może nie? Przecież przyjęliśmy pojęcie „osoby”, żeby pokazać kto mieści się w kulturze. A nadając rzecze status osoby, tym samym nadajemy jej znaczenie w naszym społeczeństwie, mówimy, że nie mamy prawa jej krzywdzić bez konsekwencji, że się dla nas liczy. Miłość nie jest możliwa przy praktykowaniu dystansu. Musimy się zbliżyć do przykładowej rzeki – z naszymi słownikami, legislaturą, codziennością. O tym właśnie marzył Henry David Thoreau, kiedy napisał w swoim słynnym dzienniku, że wyprowadził się do lasu, żeby żyć świadomie. Nie trzeba traktować jego rad literalnie – ale zbliżenie się do natury jest konieczne, żeby rozumieć, że żyjemy i wokół nas jest podobne życie.

Czuję to za każdym razem, kiedy nurkuję, głaszczę mojego kota czy wtedy, kiedy obserwuję drzewo na moim podwórku. Czuję miłość. Niezależnie od tego, jakim słowem zastąpimy to, które napisałam – z języka religii, aktywizmu, filozofii, antropologii, nauki – chodzi właśnie o miłość. To właśnie ona jest nam potrzebna, żeby działać w obliczu kryzysu klimatycznego.

Wciąż trwają dziś – wbrew wszystkiemu – opowieści i wspólnoty, które żyją wedle zasady miłości do natury od wieków – Aborygeni, Maorysi, Majowie czy amazońscy Waorani. W Ekwadorze ma się odbyć referendum, w którym mieszkańcy odpowiedzą na pytanie: „czy można będzie wydobywać ropę i paliwa kopalne z lasu deszczowego Yasuni?”. Jeśli obywatele zagłosują #yestoyasuni teren znany w przemyśle naftowym jako „Block 43”, dom dla Waorani od pokoleń, zostanie objęty ochroną. Waorani mówią w spotach zachęcających do głosowania: „My nie żyjemy według cen, las nie działa jak supermarket, żyjemy z nim, tak jak nasi przodkowie”.

Nie słuchamy jednak najczęściej pierwszych narodów, żyją w rezerwach, traktowani podobnie jak zwierzęta czy rośliny – bez podmiotowości i miłości. A oni powtarzają – otwórzcie się, zaufajcie światu, a wasze ciała i umysły już będą wiedziały, co robić, poczują swoje miejsce. To otwarcie, połączenie ze światem określa się czasem jako *overview effect* – tak czuli się astronauta, kiedy zobaczyli ziemię z kosmosu. Poczucie małości względem natury. Wydaje mi się jednak, że nie chodzi wcale o małość, tylko o zauważenie odpowiednich proporcji. Jesteśmy wszyscy równie istotni.

Kiedy pojawia się obecność – z nią także poczucie powiązania, uczestnictwa, sprawczości. Nie chcemy, żeby świat, który tak mocno czujemy, był krzywdzony, niszczał. Dla tak odbieranego świata chcemy pracować, działać. Nie można nikomu nakazać troszczenia się o naturę – ten związek można jedynie poczuć, stworzyć samemu. A wtedy okaże się, że nasze rozumienie świata jest starsze niż kapitalizm, koncerty paliwowe i poczucie „krindżu”. Jest rdzenne.

KAROLINA SULEJ

Zaraźliwe referendum



Uwaga, ogłaszamy nasze referendum. Oto pytania i od razu ostrzegamy, że pracujemy nad kolejnymi! Szykujcie długopisy, można odpowiadać „tak” lub „nie”. Gryzmolenie obscenicznych rysunków i palenie kartki są niedozwolone. Zbyt długie zastanawianie się odpada, to nie psychotest do rozwiązywania na plaży. Nie obgryzamy ołówka, tylko zakładamy galowe wdzianko, stajemy na baczność i przy akompaniamencie hymnu odpowiadamy zgodnie z sumieniem i linią partii: czy chcemy, by komary cięły nas niemiłosiernie, kiedy śpimy? Czy ludzie młazszczących popcornem w kinie należy wyprowadzać w kajdankach i zaklejać im usta? Czy lubisz kotki (tutaj akurat jest tylko jedno okienko, mianowicie „tak”), czy kochasz naszego prezesa niezłomnego oraz czy chcesz, aby sobie to całe referendum wsadził w...

Stop! Dość tej pogardy, mowy nienawiści i niepotrzebnych nerwów. Złość piękności szkodzi, miłe panie, po co te złośliwości? Opanowujemy się więc i wydajemy oświadczenie. Bo teraz modnie jest pisać oświadczenia, a dotyczą one wszystkiego, od wypowiedzi na Twitterze po rozwód, ślub, nowe buty lub defraudację rozsądku. Otóż uroczycie oświadczamy, a zostało to konsultowane z prawnikiem, rolnikiem i sąsiadem z parteru, że mamy dość. Są chwile w życiu felietonistek, kiedy rzeczywistość bezczelnie kradnie tematy, przyćmiewa absurdem, strzela fajerwerkami surrealizmu i sypie tekstami, które w postaci memów rozbiłyby bank klikalności. O czym mamy pisać, skoro „z góry” padają pytania do głosowania w referendum, które brzmią niczym żart studentów pierwszego roku socjologii? To nie są warunki, żeby ze smakiem zagłębiać się w rozważania nad subtelnościami starego i nowego tłumaczenia książki „Światłość w sierpniu” Williama Faulknera (pozdrawiamy tłumacza Piotra Tarczyńskiego).

Tym bardziej że nasze dusze działaczek wyrrywają się, by z pytaniami inspirowanymi tymi, które mają zostać nam podsunięte pod nos w narodowym referendum, wyjść poza granice Polski. Kupiliśmy już długopisy, wydrukowałyśmy karty z czterema zagadnieniami i w październiku zamierzamy je namolnie podsuwać mieszkańcom Europy. Niech się wypowiedzą, czy chcieliby, żeby polskie harwestery zaprawione w wycinaniu łysych placków w parkach narodowych i goleniu Puszczy Białowieskiej wgrzyły się w resztki leśnych ostępów w krajach Europy Zachodniej, a w szczególności w otulinę Brukseli w postaci lasu sonińskiego. Tak czy nie? Czy życzą sobie, by do gabinetów ginekologicznych wszystkich państw Unii Europejskiej wpadały służby złożone z polskich funkcjonariuszy z misją złapania na gorącym uczynku lekarza dokonującego aborcji oraz ćwiczenia pacjentek w kasłaniu na zawołanie i skokach z zakrwawioną podpaską. Tak czy nie? Czy popierają kult kota, jak ten z filmu o Bondzie pt. „From Russia with love” w wykonaniu żadnego władzy

Ernsta Stavro Blofelda, przy jednoczesnym łechtaniu ego myśliwych i właścicieli tzw. ferm futrzarskich, na których zwierzęta dobija się pałkami, jeśli nie chcą odejść z tego świata za pomocą metod tradycyjnych, takich jak dioda. Tak czy nie? I czwarte, czy zgadzasz się, by polscy stróże moralności udzielali ci korepetycji na temat tego, z kim masz uprawiać seks, a jeśli zamierzasz to zrobić z osobą tej samej płci, to nie możesz, bo to zboczenie i twoi rodzice są do bani, skoro cię tego nie oduczyl. Tak czy nie? Errata: opcja „nie” została w tym punkcie usunięta.

Żarty na bok, chociaż moda na parodie pytań inspirowanych polskimi i węgierskimi tematami referendalnymi podbija Polskę i ma szansę wejść do klasyki stand-upów. Ale nic nie przebije rzeczywistości, zwłaszcza teraz, gdy znamy już treść punktów, które podsuną nam do głosowania w październiku. Strasznie „obcymi” wykupującymi polskie przedsiębiorstwa to, biorąc pod uwagę sprzedaż Lotosu, dowcip sam w sobie. Straszno-śmieszne jest też plucie na imigrantów, zważywszy, że najwięcej zaprosił ich obecny rząd, wydając tym ludziom wizy uprawniające do pracy, m.in. przy projektach Orłenu (odsłamy do cyfr, mówią same za siebie). A pytanie o granice z Białorusią po prostu zapiera dech, wzięwszy pod uwagę takie składowe sytuacje, jak kryzys humanitarny, kosztowny a nieskuteczny płot, niszczenie naturalnego bogactwa Puszczy Białowieskiej i łamanie praw człowieka. W tej narracji nie chodzi jednak o fakty, tylko o to, by grać emocje w czasie kampanii wyborczej i dzielić ludzi na MY (prawi i sprawiedliwi) i ONI (lewackie potwory z bagien).

Sondaże nie pozwalają myśleć optymistycznie o przyszłości, chociaż nie brakuje śmiałków, którzy deklarują walkę o lepszą rzeczywistość – pisarz Jacek Dehnel czy warszawska radna Agata Diduszko-Zyglewska to nowe nazwiska na listach wyborczych Lewicy. Oby można było słuchać ich przemówień z mównicy na Wiejskiej. Już sama zachęta: „Zróbmy jesień temu średniowieczu” (Dehnel), wpuszcza do serioznej przedwyborczej młockarni kroplę poczucia humoru z tą szczyptą literackiej aluzji. Nie pozostaje nam nic innego, niż oświadczyć uroczycie, że poszukamy resztek nadziei, która pozwoli nam znów uwierzyć w polską demokrację. Postaramy się też przez najbliższe miesiące uzbroić w cierpliwość i nie dać się prowokować pomysłami na podbicie bębena nacjonalizmu.

W doskonałej książce „Faszyzm, który nadchodzi” Przemysław Witkowski pisze o źródłach i początkach dyktatury, pokazując, w jaki sposób dyskurs przemocy stopniowo przenika codzienne życie. Autor analizuje też efekty powolnego sączenia pogardy, technik wykluczania. Pytania proponowane w referendum są tym, czego powinniśmy się bać.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK



Sokół w gazecie

W pobliskim miasteczku odbywa się festiwal filmowy. (Spróbujcie latem znaleźć miasteczko, w którym nie odbywa się żaden festiwal). Filmy wyświetlają w namiocie koło szkoły. Program jest bogaty, ale dni jeszcze zbyt jasne na kino. Długo nie potrafimy nic wybrać. Pewnego ranka oglądamy „Sokoła maltańskiego”.

Jeżeli w kilka osób pójdziecie na „Sokoła maltańskiego”, to pewnie się okaże, że młodszy nigdy tego nie widzieli, a starsi zdążyli już zapomnieć. Wszystkim udziela się napięcie. A jeśli nie, to zawsze można patrzeć w ekran jak w obraz. Oglądać film jak martwą naturę. Podziwiać światło na biurku Sama Spade'a i tym podobne.

A światło dwoi się i troi. Przechodzi przez szklane drzwi. Rzuca ukośne cienie (prawie jak na rycinie Gustava Doré). Czepia się krawędzi kałamarza. Śledzi arytmometr. Wydobywa zeznania z temperówki. Wreszcie dzwoni o szklankę z lodem i namierza telefon.

Jest rok 1941. Aparaty telefoniczne mają kształt wieszaków na pieczątki lub miniaturowych dzwonnic. Kino wariuje na ich punkcie. Wyglądają świetnie i znakomicie nakręcają dramaturgię. („Halo? Przy telefonie. Nie żyje? Gdzie? Będę za kwadrans”). Dają też pretekst do zbliżeń na twarze aktorów i przedstawienia ich czarno-białych emocji. („Halo? Kto? Proszę się nie rozłączać! – Jej oczy robią się okrągłe z przerażenia. – Halo! Halo! Halo!”).

Słuchawki są jeszcze wykonane z bakelitu. Bakelit jest czarny i matowy, światło zostawia na nim rozmazane odciski palców. I w gruncie rzeczy o to chodzi w kinie lat 40. O kontrast powierzchni gładkich i matowych. Mat i błysk. Bakelit i stal. Złoto i ołów. (Cwani ci hollywoodzcy alchemicy!). W malarstwie podobny efekt potrafiło uzyskać kilku Hiszpanów. Pewnie znalazłby się Holender lub Flamand biegły w podobnych sztuczkiach. Ale to już temat dla historyków sztuki.

Sokół pojawia się najpierw w rękach niejakiego kapitana Jacobiego. (Biedny kapitan kończy życie w swojej pierwszej i ostatniej scenie). Na ekranie wciąż panuje późne *art déco*. Wśród wystylizowanych cieni, luster i blatów ten najważniejszy pakunek wygląda niepozornie. W scenariuszu czytamy: „paczka owinięta w papier i przewiązana cienkim sznurkiem, owalna, nieco większa od piłki futbolowej”. Na ekranie widzimy włochaty sznurek i pogniecioną chińską gazetę. Humphrey Bogart przecina węzły. Sprawdza zawartość. Na chwilę traci zimną krew. Potem zawija figurkę z powrotem. Działa w pośpiechu i najwyraźniej bez wprawy. Teraz paczka wygląda jak potargany pies pasterski lub końcówka mopa. Ma to pewne kinematograficzne zastosowanie. Akcja filmu płacze się i supła. Droгоценna przesyłka szybko przechodzi z rąk do rąk. Teraz jest

większa i widzowi łatwiej śledzić jej wędrówki po ekranie.

W finale najgorszy schwarczarakter – nazwiskiem, co logiczne, Gutman – używa złotego nożyka.

Wreszcie ujawniają się wewnętrzne warstwy. Rozsypują się strużki wełny drzewnej. Widzimy niechlujne gniazdo, w którym siedzi czarna statuetka. Wielkie tam rzeczy! Sokół jak sokół. Prawdziwym arcydziełem była paczka.

Kilka tygodni temu czytałem w POLITYCE krzepiący artykuł Edwina Bendyka. Autor pisał o współpracy sztucznej inteligencji i prawdziwych ludzi. Wśród budujących przykładów wskazał działalność Chada Nelsona z San Francisco, autora filmu animowanego o leśnych stworach: „Nelson wygenerował wszystkie postaci za pomocą systemu DALL-E 2 udostępnionego przez firmę OpenAI. Umożliwia ono tworzenie ilustracji na podstawie słownych instrukcji, np. »uroczy pasiasty potwór z małymi rogami wyglądający zza omszałego wzgórza w mglistym lesie, podświetlony«”. Pointa tekstu brzmiała optymistycznie: „Technika nie zastąpiła twórcy, zwiększyła jednak skokowo jego możliwości”.

Rozumiem, że sztuczna inteligencja potrafi wygenerować dowolny rekwizyt i dowolną postać. Może namalować paczkę lepszą niż w „Sokole” i martwą naturę piękniejszą niż w Prado. (Jeżeli jeszcze nie potrafi, to zaraz się nauczy). Szczęśliwiec Chad Nelson nie potrzebuje już braci Warner z ich pieniędzmi. Nie musi się też oglądać na animatorów, lalkarzy, ekipę oświetleniową ani scenografów.

Ale czy „technika nie zastąpiła twórcy”? Naprawdę? Czyli jedynym twórcą był autor słownych instrukcji? A co z osobą, która dawniej rysowała lub lepiła te „urocze pasiaste potwory z małymi rogami” (lub cokolwiek innego)? Ona nie była twórczynią? A co z bezimiennym pakowaczem lub zawijaczką sokoła maltańskiego? Co z aranżerem chińskich gazet, kompozytorką supełków, dyrygentem wełny drzewnej? Co z nim? Co z nią? Co z nimi? Co z nami?

Najwyraźniej postęp oznacza triumf werbalizacji. Jakby nic twórczego nie mogło się już wydarzyć pomiędzy słowem („owalna, nieco większa od piłki”) a żywym ciałem paczki. Co teraz będzie z pomagierami cudzej wyobraźni? Z ilustratorami, autorkami okładek, ze wszystkimi pośrednikami zatrudnionymi w przestrzeni między opisem i obrazem? No cóż. Pewnie na początek usłyszą, że ich zajęcia nie były wystarczająco twórcze.

Marcin Wicha (ur. 1972 r.) – grafik i autor książek, m.in. „Kierunek zwiedzania”, „Rzeczy, których nie wyrzucitem”, za którą nagrodzono go Paszportem POLITYKI i Nike oraz najnowszą „Nic drobniej nie będzie”.

Najnowsze FORUM w sprzedaży od 25 sierpnia!



W NUMERZE:

- Czarne chmury nad skautami
- Tresery czatbotów
- Wilczyce z kolonii karnej
- Alaska, czyli klątwa dzicy
- Zaczynij w Bośni, kończ w Hercegowinie
- Ostatni poganie Europy
- Porwane dzieci Trzeciego Świata
- Katolicyzm bez Kościoła?
- Cisi sojusznicy talibów
- 666 piekielnych pokus

[DO I OD REDAKCJI]

Późne słońce

Autorem opisywanego w 33. numerze APOLITYKI przez Agatę Passent tomu poezji „Późne słońce” jest Marcin Orliński, a nie – jak podano – Mariusz Orliński. Za pomyłkę bardzo przepraszamy.

REDAKCJA

Ikona Rublowa



Z zaciekawieniem przeczytałem artykuł Pawła Reszki „Cerkwi co cerkiewne” (POLITYKA 33). Z wykształcenia jestem historykiem sztuki i konserwatorem zabytków, pracuję na stanowisku kierownika muzealnej pracowni konserwatorskiej, dlatego nie dziwię się moskiewskim muzealnikom, że zabiegali o stabilne i bezpieczne warunki ekspozycji ikony oraz pozostawienie jej w muzeum. Nie chcę jednak odnosić się do problemu zawartego w tytule artykułu. Natomiast jako historyk sztuki chciałbym pogłębić wątek samej kompozycji „Trójcy”. Powstało na ten temat wiele publikacji, głównie rozpraw teologicznych i red. Reszka także o tym wzmiankuje. Ja natomiast jestem autorem artykułu „»Trójca« Andrieja Rublowa – alternatywna percepcja ikony”, gdzie analizuję kompozycję ikony, głównie w kategoriach psychologii percepcji (posługując się także warsztatem historyka sztuki).

Jak twierdził Jerzy Nowosielski, głównym motywem każdej ikony jest twarz i to ona jest zasadniczym elementem przedstawień ikon (reszta to dodatki). Paul Evdokimov stwierdził, że każda ikona jest schematycznym punktem promieniowania obecności, która nie jest zlokalizowana – ikona jedynie świadczy o niej, tak jakby się ją kontemlowało twarzą w twarz. Jest to bardzo istotne stwierdzenie i odnosi się ono także do ikony Rublowa. Otóż w swoim artykule udowadniam (nawet naocznie), że kompozycja „Trójcy” oparta jest na schemacie twarzy, która nie jest zlokalizowana, gdyż została precyzyjnie zakamuflowana przez Rublowa. Odwołuję się także do psychologii głębi Carla Gustava Junga, gdyż tekst został zamieszczony w periodyku „ALBO albo” (wydawnictwo Eneteia, nr 4/2000), nawiązującym do dorobku Junga. „Trójca” zawiera archetyp twarzy, który działa podprogowo, a sama ikona, jak twierdzą, może dokonywać cudów – w sensie integracji świadomej i nieświadomej sfery umysłu widza. Ikona przy wnikliwym wyczytaniu się w jej kompozycję, dosłownie odsłania swoje prawdziwe oblicze.

PIOTR P. ROGÓLSKI, MUZEUM
IM. JACKA MALCZEWSKIEGO W RADOMIU

W 33. numerze POLITYKI w artykule „Książkobójstwo” Tomasz Targański opisywał historie palenia bibliotek, umyślnych dewastacji i rozkradania archiwów.

Jestem emerytowanym geodetą i z paleniem ksiąg (rękopisów!), które według Bułhakowa nie płoną) spotkałem się, w czasie gdy byłem kierownikiem Pracowni Terenowej w Lubaniu Okręgowego Przedsiębiorstwa Geodezyjnego i Kartograficznego we Wrocławiu. Była to połowa lat 80. ostatniego wieku ubiegłego tysiąclecia. W ramach zadań powierzonych przez Główny Urząd Geodezji i Kartografii pracownie, takie jak nasza i mające siedziby w byłych miastach powiatowych, prowadziły ewidencję gruntów i budynków na terenie swojej działalności odpowiadającej w przybliżeniu terenowi zlikwidowanego powiatu. We wspomnianym czasie otrzymaliśmy pismo jeleniogórskiego geodety wojewódzkiego nakazujące kierownikom Pracowni fizyczne zlikwidowanie wszelkich pozostałych jeszcze poniemieckich dokumentów katastralnych, podpowiadając „spalenie ich w lokalnej kotłowni”. Była to pewnie próba zamknięcia drogi roszczeń ze strony fali emigrantów śląskich i opolskich. Dokumentacja katastralna (kaster pruski) składała się z części graficznej (mapy) i części opisowej (matrykuły i księgi parcel). Datowana była rokiem założenia 1864 i była na bieżąco aktualizowana



do 1944. Po 1945 r. była tylko balastem szaf, a w roku 1964 została zastąpiona pomiarem stanu władania, co miało być synonimem „ewidencji gruntów i budynków”.

Nie wiem, jaki los w innych pracowniach spotkał te niewinne księgi, zapisywane przez 80 lat przez pokolenia

urzędników kaligraficznym piśmem; gdy po latach wspominałem tę akcję koledze, będącemu wówczas geodetą wojewódzkim, nic nie pamięta! A ja nie odczuwam wstydu za jeszcze jedno niepostuśnienie.

KRZYSZTOF KROCHMALSKI

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzeżli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sołska,
Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław

Z-cy REDAKTORA NAJLEŃSZE

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

SEKRETARZ REDAKCJI

Artur Podgórski
Agnieszka Mazurczyk (asystent),
tel. 22 451-60-39;
Malwina Dziedzic (redaktor działu Opinie)

REDAKTOR WYDANIA

Olga Jędrzejczak tel. 22 451-60-22

Wydania specjalne:

Leszek Będkowski tel. 22 451-60-15
Jolanta Zarembina tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE

RECEPCJA tel./faks 22 451-60-37/38

DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTARZY

Mariusz Janicki (kier.),
Anna Dąbrowska, Rafał Kalukin,
Adam Krzemieński, Paweł Reszka,
Ewa Siedlecka, Adam Szostkiewicz,
Wiesław Władysław, Jacek Zakowski

DZIAŁ KRAJOWY

Jacek Kowalczyk (kier.),
Martyna Bunda (z-ca kier.),
Ewa Wilk (koment.),
Zbigniew Borek, Joanna Cieśla,
Juliusz Cwieliuch, Edyta Gietka,
Katarzyna Kaczorowska,

Marcin Kołodziejczyk, Violetta Krasnowska,

Marta Mazuś, Joanna Podgórska,
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,
Agnieszka Sowa

DZIAŁ EKONOMICZNY

Paweł Tarnowski (kier.),
Joanna Sołska (z-ca kier.),
Adam Grzeszak, Cezary Kowanda,
Marcin Piątek

DZIAŁ ZAGRANICZNY

Witold Pawłowski (kier.),
Łukasz Wójcik (z-ca kier.),
Marek Ostrowski (koment.),
Artur Domostawski, Jagienka Wilczak,
Jędrzej Winiecki

współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm),
Tomasz Zaleski (Waszyngton)

DZIAŁ KULTURY

Bartek Chaciński (kier.),
Aneta Kyzioł (z-ca kier.),
Jakub Demiańczuk,
Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński,
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarzman,
Janusz Wróblewski

DZIAŁ NAUKA/PROJEKT PULSAR.PL

Karol Jalochoowski (kier.),
Katarzyna Czarnecka (z-ca kier.),
Marcin Rotkiewicz,
Edwin Bendyk (koment.),
Agnieszka Krzemieńska, Paweł Walewski

DZIAŁ HISTORYCZNY

Marian Turski (kier.), Tomasz Targański

STALI FELIETONIŚCI

Jan Hartman, Sławomir Mizerski,
Daniel Passent, Stanisław Tym

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH

Zofia Lesniewska (kier.), tel. 22 451-61-93

DZIAŁ DOKUMENTACJI

Iwona Kochanowska (kier.),
tel. 22 451-61-44, tel./faks 22 451-61-37

PION CYFROWY

Joanna Chmielecka (dyr.)
POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (szef serwisu),
Zbigniew Pendel (z-ca),
Aleksandra Zelazińska (z-ca, media
społecznościowe), tel. 22 451-87-88,
Norbert Frątczak, Anna Kowalska,
Agata Szczerbiak, Agnieszka Zagner

WYDANIA CYFROWE Anna Dobrowolska (red. prow.)

GRAFIKA I TECHNIKA

DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucho (kier.)
DZIAŁ FOTO Wojciech Leliński (kier.)
KOREKTA Zofia Kozik (kier.)

ADMINISTRACJA, FINANSE

RECEPCJA tel. 22 451-60-89,
Jadwiga Kucharczyk (dyr.),
Halina Cibor (gl. księgową)

PION WYDAWNICZY

Piotr Zmelonek (dyr.), tel. 22 451-61-85
Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

DYSTRYBUCJA

Marcin Paśnicki (kier.), tel. 22 451-61-92

PROMOCJA Dominika Nowak-Kajtowska,

tel. 22 451-62-02

DZIAŁ IT Piotr Filipowicz (kier.)

BIURO REKLAMY

www.sklep.polityka.pl
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi
odpowiedzialność w granicach wskazanych
w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-75-80,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych
i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna
i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie artykułów
opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki: Maciej Domagała,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagała@polityka.pl

DRUK Quad8

www.izbaprasylp

www.sklep.polityka.pl

Infolinia: tel. 67 210 86 30,

e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Grabowska,

tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRINTED IN POLAND



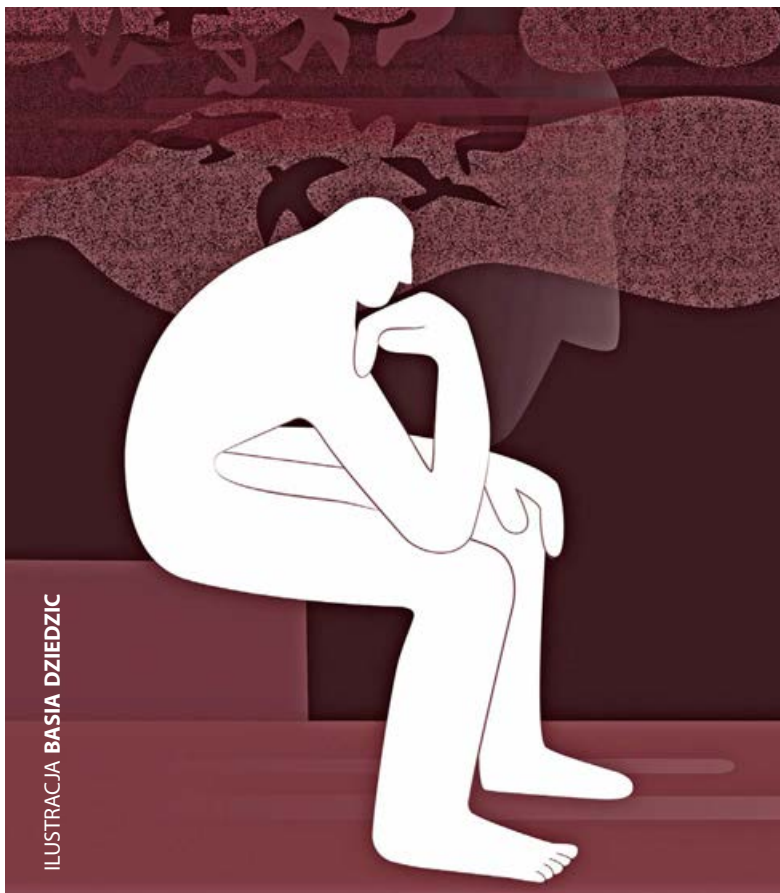
RELACJE **Jestem, proszę pana, na zakręcie**

Nie da się ukryć, że na początku męski krąg jest dla wielu mężczyzn jak podróż po Marsie. Ale ci, którzy zdecydują się otworzyć, wspominają go jako jedno z przełomowych wydarzeń w swoim życiu.

Najczęściej trafiają do kręgów w momencie życiowego zakrętu. Kiedy rozpada się relacja z kobietą, dzieci przestają ich słuchać, a w pracy, która dotąd była na pierwszym miejscu, pojawiają się konflikty. Gdy strategia samotnego wilka, realizowana przez współczesnych mężczyzn, którą można określić jednym zdaniem: „sam sobie ze wszystkim poradzę”, przestała się sprawdzać. Co widać m.in., gdy zajrzemy do statystyk długości życia mężczyzn lub w liczby samobójstw. Zdarza się, że o kręgu wspomni przyjaciel, przyprowadzi ciekawość albo nuda. W czasach, gdy z każdej strony słychać o „kryzysie męskości”, męski krąg to jedna z coraz liczniejszych możliwości osobistego rozwoju, lekcja budowania dobrych relacji, uczenia się wyrażania uczuć i empatyzowania z uczuciami innych.

Tradycja nowożytnych męskich kręgów związana jest z Indianami Ameryki Północnej. W USA i na zachodzie Europy ich powstawanie ma związek z pojawieniem się męskich ruchów społecznych, pełnych sprzeczności inicjatyw – od profeministów przez grupy o duchowym charakterze aż po obrońców praw mężczyzn i ojców. W Polsce do niedawna spotkania w ramach męskich kręgów były zjawiskiem niszowym. Trudno powiedzieć, ile jest takich inicjatyw. Na facebookowym profilu „Męski Szlak”, który zajmuje się promocją takich spotkań, jest ich kilkanaście, w rzeczywistości – dużo więcej. Czasem mężczyźni spotykają się razem z kobietami. Inne kręgi służą przede wszystkim do rozwoju lub wsparcia. Są też kręgi tematyczne, np. ojcowskie. U podstaw każdego z nich leży to samo pragnienie: doświadczenie zdrowej, głębokiej i wspierającej relacji z innymi mężczyznami.

Formuła sprowadza się do tego, że każdy z uczestników ma przestrzeń do wniesienia wątku, który jest aktualnie dla niego ważny lub go interesuje. Następnie wszyscy przyglądają się tematowi z różnych perspektyw, na bazie różnych doświadczeń życiowych. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że to nic nadzwyczajnego, jednak jest wiele elementów, które odróżniają męski krąg od zwykłych spotkań. Najważniejszy to przyjazna przestrzeń dla wyrażenia emocji, np. lęku przed przyznaniem się do strachu. Powodów tego strachu może być wiele, ale wszystkie krążą wokół pytania: czy dam radę, kiedy ze wszystkim muszę sobie radzić sam? W kręgu można, przy akceptacji innych mężczyzn, doświadczyć swoich emocji i przełamać ten niepisany, społeczny nakaz wypierania i tłumienia tego,



ILUSTRACJA BASIA DZIEDZIC

co przeżywamy. A dotyczy to zarówno kobiet, jak i mężczyzn, ale to właśnie mężczyzn współczesny świat wyraźniej zmusza do trzymania w tajemnicy tego, co mają w środku. Po dłuższym czasie to tłumienie obraca się przeciw nim, czego manifestacją są schorzenia psychosomatyczne lub akty (auto)agresji.



Marcin Grudzień – psychoterapeuta, trener i badacz męskości. Współpracuje z Fundacją Masculinum oraz Pracownią Bliskich Relacji, prowadzi warsztaty i szkolenia dla mężczyzn.

W kręgach chodzi o to, aby usłyszeć drugą osobę w sposób, jakiego brakuje w codziennym pośpiechu: bezinteresownie, głęboko, po ludzku. Mężczyźni, słuchając innych mężczyzn, zaczynają rozumieć, że nie są sami i odmienni ze swoimi problemami i uczuciami. Pomocne bywa używanie tzw. gadającego przedmiotu – patyka, muszli, czegośkolwiek – ten, kto trzyma ów przedmiot w rękę, ma prawo mówić, podczas gdy inni obdarzają go uwagą. Nikt nikogo nie pospiesza i nie przerywa.

W męskim kręgu bardzo ważny jest też kontakt fizyczny. Chodzi o to, by objąć się i przytulić, bez wstydu, poczucia zagrożenia czy wyśmiania, i bez kontekstu seksualnego. Uczymy się kontaktu wzrokowego, który nie jest konfrontacyjny, tylko sprawia, że będziemy bliżej siebie. Wielu uczestników kręgów wcześniej z różnych powodów czuło się w męskim gronie niepewnie. Mimo że radzili sobie świetnie zawodowo, wśród mężczyzn nie czuli się swobodnie.

Tymczasem wszystkie badania dotyczące dobrostanu i satysfakcji życiowej podkreślają, że w życiu człowieka bliskie relacje są absolutnie konieczne. I dotyczy to również świata mężczyzn.

Dokąd tupta nocą jeź?

WIRAL

Przedwyborcze wzmożenie czuć już wyraźnie w polskim internecie. Partie ujawniają powoli nazwiska kandydatów, PiS tymczasem dzień po dniu ogłasza pytania, które padną w referendum 15 października (do prezentacji list wyborczych tak się nie garnie). To trzymanie wyborców w niepewności i stopniowanie napięcia sprzyjało rozmaitym spekulacjom, a internetowe żarty z referendum dobrze rymują się z tym, co mówią o nim eksperci: to drwina z plebiscytu i nikt tu nawet nie udaje, że zasięga opinii Polek i Polaków na jakikolwiek istotny temat czy szuka rozwiązania realnego problemu. A skoro tak, to równie dobrze można spytać o cokolwiek. Po co się ograniczać? Internetowy magazyn „ASZdziennik”, słynący z nieprawdziwych doniesień, tak absurdalnych, że paradoksalnie wiarygodnych, publikuje tekst pt. „Jarosław Kaczyński zdradził nam wszystkie 37 pytań z referendum [LISTA]”. I trzeba przyznać, że są równie sugestywne jak te cztery, które PiS faktycznie ogłosił. Przykładowo: „Czy nie wydaje ci się, że Tuskwowi jakoś tak źle z oczu patrzy?”, „Czy jesteś przeciwko wrogom?”, „Czy jesteś za zmianą Odry w fosę?”, „Czy jesteś za zakazem informowania o rozwodach, zdradach i skandalach obyczajowych osób wierzących?”. I wreszcie: „Czy jesteś za przeznaczaniem 75 proc. budżetu Polski na projekt sklonowania Jana Pawła II?”.

Zapytani z kolei przez fanpage Donald.pl na Facebooku, o co by zapytali w referendum, Polacy często podpowiadali



zadanie opisowe: „Dokąd tupta nocą jeź?”. To nawiązanie do piosenki wyemitowanej w programie „Domowe Przedszkole” 30 lat temu, która dziś stała się memem. Nawet Lasy Państwowe zatytułowały w ten sposób w sieci swój materiał edukacyjny o jeżach. I objaśniają: jeże wędrują nocami, bo szukają pożywienia. Choć w polskich realiach – to już dopowiada zbiorowa mądrość internetowa – mogłyby się przedzej natknąć na zbłąkany pocisk czy zapalnik do rakiety. Zresztą referendalne pytanie o to, „czy pomożemy władzy szukać rakiet po lasach”, też w obywatelskich propozycjach padło. Gierkowe „pomożecie?” nasuwa się już samo.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Za dużo rizzu

SŁOWO

Jeśli sex appeal jest bronią kobiecą – jak śpiewał kiedyś Eugeniusz Bodo w kobiecym przebraniu – a mężczyźni tylko chcieliby go mieć, to zawsze mogą mieć rizz. To jest właśnie ta magiczna cecha, która przyciąga również u mężczyzn. „Mieć rizz” to jak „mieć branie”, a samo „rizz” w języku angielskim wzięło się od słowa *charisma*. Po polsku „charyzma”, więc sens i kierunek są jasne. Spopularyzował tę skróconą formę popularny influencer (i raper) **Kai Cenat**, który w jednym ze swoich filmów poprowadził nawet satyryczną Rizz Academy, czyli Akademię Rizzu – zajęcia, podczas których nie tyle uczy, jak mieć branie, ile raczej parodiuje takie formy warsztatów.

Sam rizz w ostatnich sezonach ekscytuje wszystkich bez względu na płeć, częściej jednak odnoszony bywa do mężczyzn. Jak



w twitterowym dialogu: „– Wyglądam trochę jak avg seryjny morderca. – Pewnie dlatego masz rizz u kobiet” („avg” to przeciętny, ang. average). Albo w dumnym komentarzu „mój rizz” pod filmem z japońskiego metra, w którym chłopak próbuje zrobić zdjęcie dziewczynie, a ta podchodzi do niego, zabiera komórkę i robi im wspólne zdjęcie. Czy wreszcie w spostrzeżeniu, że „kot ma lepszy rizz niż większość facetów”. Z drugiej strony bez trudu znajdziemy kobiecą perspektywę: „Ale mam rizz w tym motocyklowym wdzianku XD, byliśmy na stacji i podjechał chłopak na kawasaki chb w moim wieku, to się patrzyłam, i jak podniósł szybkę od kasku, to okazało się, że też się na mnie patrzył i jak szedł płacić, to wpadł w drzwi, bo się zagapił”.

Tymczasem Kai Cenat wezwał niedawno społeczność swoich fanów do wyjścia na nowojorski Union Square. I wyszli, pokrzykując, demolując stację metra, skacząc po samochodach i rzucając puszkami w policję. Cenata aresztowano – wraz z 65 innymi osobami, w większości nieletnimi – pod zarzutem wszczynania burd. Wszystko jak widać szkodzi w nadmiarze, nawet rizz.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Często mówiłem „Touch it!”, wskazując na miecz tachi. Kiedy słuchały A-ha, ja się robiłem touchy.

Peja, Powiedz, 2023 r.

Touchy – ang. wrażliwy (także tytuł piosenki grupy A-ha)



Eliptyczna ławka w Brnie.

D I Z A J N

Ławki nie od czapy

Meble miejskie, jak wszystko, co pojawia się w przestrzeni publicznej, to temat polityczny i przedmiot burzliwych debat w internecie. I nie chodzi tylko o słynne pisowskie „patriotyczne ławki”.

Wydaje się, że meble miejskie nie powstają tylko po to, żebyśmy mieli na czym przysiąść czy o co oprzeć rower. Powstają po to, byśmy, badając nasze z nimi relacje, opisywali i recenzowali zmieniający się świat. Nieprzypadkowo tak wiele ławek zniknęło z krajobrazu naszych osiedli w latach 90. i dekadę później. Plan był taki, żeby w nowym ładzie społecznym ludzie powstrzymali się od nieestetycznych praktyk typu przysypianie po piwku na słońcu, a młodzieży nie zapraszali do palenia na widoku. A według lewicowej krytyki na współczesne miejskie ławki projektanci często nakładają odgórne wymogi... niewygodę. Ma to być element strategii, zgodnie z którą powinniśmy w myśl logiki kapitalizmu pracować albo konsumować, odpoczywać zaś na tyle krótko, by do głowy nam nie przyszła rewolucja.

Patrząc na fotografię eliptycznej, długiej aż na 120 metrów ławki zmontowanej niedawno w morawskim Brnie, której autorami są projektanci z czeskiego studia mmcité, specjalizujący się w meblowaniu przestrzeni publicznej, zastanawiam się, jak się zaadaptowała, co użytkowników urzekło, a co wyprowadziło z równowagi. Projekt nie należy do skromnych: oto wijące się, widoczne z daleka siedzisko, element rewitalizacji placu Moravské w mieście liczącym niespełna 400 tys. mieszkańców.

Elipta okrąży arenę dla wodnych spektakli, koncertów, rozmaitych akcji spontanicznych i zorganizowanych. W swoim projektowym credo autorzy wyrażają nadzieję, że miejsce będzie grało rolę prawdziwej

„piazza”, podkreślając przy okazji, że proces wytwarzania ławki wstęgi zajął „ponad 2600 godzin”, a więc nie był to *fast design*. Hasło „piazza” odsyła do wyobrażeń o tym, czym może stać się latem przyjazne miasto również w kulturach, gdzie nie ma obyczaju wieczornej *passaggiaty*, czyli niespiesznego spaceru w eleganckim ubraniu, kiedy powietrze się ochładza, my nie spływamy już potem i po godzinach dręczącego żaru mówimy ludzkim językiem. Wraz z ocieplaniem się klimatu i rozwijającym się i u nas trendem osvajania przestrzeni miejskiej *passaggiatta* może wydarzyć się wszędzie. A koncepcja ławki, altany, pergoli, leżaka to dla pracowni i firm projektowych pole do popisu, punkt honoru lub bodziec do podejmowania kolejnych wyzwań.

Na stronie serwisu dazeen.com można obejrzyć wiele mniej lub bardziej udanych, czasem zabawnych i prowokacyjnych, niekiedy zbyt konceptualnych realizacji, które prowokują do zadania sobie pytania, jak zmieniają się nasze potrzeby i wyobrażenia o czasie wolnym. W artykule o meblach miejskich, które można było obejrzyć kilka lat temu podczas londyńskiego Festiwalu Designu, rzucą się w oczy sporych rozmiarów ławka w kształcie psa rasy chart. Jej autorzy chcieli uhonorować tego czworonoga, który cierpliwie towarzyszy ludziom w ich codzienności oraz podkreślić jego pozytywną rolę.

Charta zainstalowano na dziedzińcu jednego z miejskich kościołów. Czy to ciekawy obiekt? Może budzić rozczerzenie, impuls pogłaskania i skubania, ale dziś, z perspektywy czterech lat stanu globalnego alertu, można by zauważyć, nieco protekcjonalnie, że czasy wytwarzania jednorazowych ekstrawaganckich produktów mamy za sobą.

Odpowiedzią na wyzwania współczesności jest za to radykalnie inny projekt miejskiej ławki – ze stali, wyrób firmy Vestre, autorstwa Szwedki Emmy Olbers, nagradzanej za uwzględnianie zasady poszanowania środowiska naturalnego i zrównoważonego rozwoju. W produkcji ławki nie użyto paliw kopalnych, a materiał dostarczyła huta SSAB, w której wysokie temperatury uzyskuje się nie dzięki spalaniu węgla, ale zielonego wodoru.



Lidia Pańków

– dziennikarka, reporterka, autorka książki „Błoki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego” (Wyd. Czarne), asystentka społeczna osób uchodźczych.

Różnią się o włos

Najmodniejsza fryzura lata, czyli włoski bob, wygląda prawie tak samo jak najmodniejsza fryzura wiosny, czyli francuski bob, ale wiadomo, jak to jest z tym „prawie”.

Włosy ścięte do linii brody, w kształcie odwróconej litery V – tak tłumaczy stylistka włosów Clayton Hawkins na łamach amerykańskiego „In Style”, czym jest najmodniejsza fryzura tych upalnych dni, Italian bob. Po angielsku bob, po polsku „paź”, jest zdaniem fachowców od nożyczek, brzytw i lokówek cięciem najbardziej uniwersalnym, bo pasującym większości ludzi. Hawkins jednak zastrzega, że ten bob najbardziej lubi sztywne i lekko falujące włosy.

Popularność tego typu strzyżenia (oraz modelowania – na okrągłej szczotce, co poleca fachowiec) potwierdzać mają zdjęcia gwiazd, od Zendai i **Kai Gerber**,



Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.



MODA

przez Monicę Bellucci, aż po aktorkę z serialu „Biały Lotos” Simonę Tabasco. Te dwie ostatnie to, a jakże, Włoski, można więc pokusić się o stwierdzenie, że to, co mają na głowie, jest przejawem patriotyzmu. Zresztą skoro to hasło już padło, warto nasze, polskie piórka trochę postroszyć i wspomnieć, że cięcie „na pazia” wylansował ponad sto lat temu nasz rodak Antoni Cierplikowski, znany także jako Antoine de Paris.

Włosy skrócone na długość do połowy policzka albo sięgające tuż za ucho podpatrzył na obrazach przedstawiających francuską bohaterkę narodową Jeanne D’Arc. To cięcie nazywane jest French bob, czyli francuski paź, i jest po prostu krótsze od swojego włoskiego kuzyna o kilka centymetrów. Ale o ten typ fryzury już nie prosimy. Jeśli wierzyć modowym periodykom i mikrotrendom na TikToku, French bob miał swoje warholowskie piętnaście minut wiosną i musi teraz czekać na kolejny kwadrans. Bo o ile sława przemija jak spadająca gwiazda, o tyle trendy fryzjerskie mają orbitę zgoła inną i wracają w sobie tylko znanych interwałach.

Tu może warto dodać, że Andy Warhol, którego znakiem rozpoznawczym były nie tylko powiedzonka, ale i blond szopa, nosił perukę. Notabene nabożny stosunek artysty do włosów można podpatrzeć w jego awangardowym filmie „Haircut” z 1963 r. O tym, że wizyta u fryzjera może spowodować naprawdę niezłe zamieszanie, donosił też swego czasu pisarz Francis Scott Fitzgerald w opowiadaniu „Berenika ścina włosy” (polskie tłumaczenie pomija informację, że bohaterka ścina je na pazia). Pochodząca z prowincji dziewczyna zalicza towarzyski sukces, bo obiecuje zalotnikom, że zobaczą, jak skraca u fryzjera włosy – w latach 20. zeszłego stulecia był to wszak gest rewolucyjny.

Wracając jednak do boba – nigdy z mody na dobre nie wyszedł, po prostu popularne są jego różne warianty. A kto sądzi, że cięcia na pazia po francusku i po włosku są identyczne, powinien włączyć komedię „Diabeł ubiera się u Prady” i wysłuchać tyrady na temat koloru modrego, wyśmienicie podanej przez Mirandę Priestley (w tej roli Meryl Streep). W skrócie: niebieski niebieskiemu nierówny i ten, kto nie dostrzega niuansów, jest po prostu niedouczonym arogantem.

Z pomocą w podskoleniu się z historii fryzur przychodzi paryskie Musée des Arts Décoratifs, gdzie do 17 września czynna jest wystawa „Des cheveux et des poils” („Włosy i owłosienie”). Spacerując wśród 600 eksponatów, można dowiedzieć się, jak przez ostatnie kilkadziesiąt lat stylizowali się modnie, co libertyni wplatali do swoich peruk lub jak pachniał puder do włosów, który miał niwelować nieprzyjemne zapachy wydzielane przez niemytą skórę głowy. Nie jest to jedynie przegląd ciekawostek – kuratorzy zadbali o odpowiednie podparcie kulturowo-socjologiczne, tłumacząc, w jaki sposób to, co rośnie na głowie i na ciele, związane jest z tożsamością i przynależnością społeczną noszącego. Wystawa jest też dobrą okazją do refleksji nad czasem – kiedyś trendy potrafiły trwać lata, jeśli nie dekady, dziś ich żywot niczym gilotyna może zakończyć wiral, hashtag lub inne nowinki. Jedynie, co się nie zmieniło, to tempo odrastania włosów, skutecznie ograniczające co bardziej zamasytyste ruchy fryzjerskich nożyczek. ■

Ziarnko do ziarnka

Może to przygotowanie do nieodległej, upalnej przyszłości, w każdym razie kraje, które mają pustynie, starają się ściągnąć na nie jak najwięcej turystów. I znajdują chętnych. Jak Dubaj, który na swój odcinek pustyni Ar-Rabal-Chali wabi atrakcjami dla biedniejszych i bogatszych.

Musi być z tego niezły interes, skoro turystycznym mocarstwem chce zostać sucha jak wiór Arabia Saudyjska. W Dubaju pustynię eksploruje się w kilku wariantach, rozrywkowym i masowym, w dużych grupach i z atrakcjami schlebiającymi najszerszym gustom. Jest więc szalenie jazda terenówkami na przełaj. Chodzi o to, by podskakiwać na wydmach największej piaskownicy na świecie. Mogą być quady i przypominające je pojazdy typu buggy. Silniki ryczą, miękki piasek pryska spod opon. Potem zostaje chwila na wyciszenie, czyli kółeczko na jednogarnym wielbłądzie oraz okazja do zrobienia zdjęć: selfie z wielbłądzim pyskiem i zachodem słońca. Dalej: stylizowana na tradycyjną kolacja i pokaz tańca brzucha.

Tak bawi się tłum lubiący jarmarki. W Dubaju już dawno się połapano, że da się zarabiać na mniej zamożnych klientach, stąd władze emiratu liczą na rozwój hoteli niższych kategorii czy wręcz hosteli. Jednak Dubaj słynie z ostentacyjnego luksusu i absolutnie się go nie wyrzeka, przeciwnie, nadal chlubi się tym, że właśnie tam przesuwane są granice skrajnej wygody. Goście lśniącego nowością i blichtrzem hotelu Atlantis The Royal – pewnie za chwilę zobaczymy go w którejś z hollywoodzkich superprodukcji – mają np. do dyspozycji poduszkowe menu, czyli próbki poduszek, by móc zamówić tę idealną dla siebie. Osoba z kierownictwa objaśnia, jak to działa: – *Normalnie miałbyś tylko listę poduszek. U nas w każdym pokoju znajdziesz pudełeczko z miniaturowymi poduszczkami. Każdej możesz dotknąć, sprawdzić jej kształt, twardość, fakturę i zapach. Dzięki temu wiesz, co wybierasz, i potem od razu dostajesz dokładnie to, co zamówiłeś. A przecież tak często*



Jędrzej Winięcki

– politolog, dziennikarz działu zagranicznego POLITYKI, pisze o Europie, Azji i trendach globalnych. Miłośnik dzikiej przyrody. Od zawsze obserwuje ptaki.

zdarza się, że gość wybiera nieoptymalną poduszkę z listy i marnuje noc.

Ci, co na co dzień borykają się z selekcją poduszek, mają budżet nieco inny niż zwykli śmiertelnicy i proporcjonalne do niego oczekiwania. Dla nich dubajska pustynia może zacząć się w pięciogwiazdkowym obozowisku Al Maha, z klimatyzowanymi namiotami, basenami i cenami zwalającymi z nóg, startującymi od równowartości polskiej płacy minimalnej. Od osoby. Za noc.

Jeśli zamożni i średniacy (według zachodnioeuropejskich czy amerykańskich standardów) na pustynię chcą tylko zajrzeć, mają do wyboru kameralne safari z jego podwariantami, rannym i wieczornym, bo w ciągu dnia jest gorąco nie do wytrzymania. Np. safari organizowane przez należąca do członka rodziny królewskiej firmę Platinum Heritage ma tradycyjno-kolonialny sznyt, oczywiście z obowiązkowymi wielbłądami, ale i z beduińskim jedzeniem, wolniutką jazdą pyrkającym Land Roverem z lat 50. – książę zgromadził ich kilkadziesiąt – i spotkaniem z sokolnikiem. Na Bliskim Wschodzie układane do polowań ptaki drapieżne i sowy są obsesją. Wyposaża się je w tak czułe nadajniki GPS, że sokolnik potrafi powiedzieć, z jaką prędkością jego podopieczny wystrzelił po kawałek mięsa rzucony podczas pokazu.

Leniwa wycieczka pozwala, by się pustyni choć na chwilę z bliska przyjrzeć i posłuchać o żyjących tam roślinach i zwierzętach. Bo jakieś życie, mimo surowego krajobrazu, się toczy, coś kryje się w piachu, rośnie albo przynajmniej próbuje. Człapią zwłaszcza oryksy arabskie, skrzyżowanie ośleń poczciwości z elegancją rogatej antylopy. Mają historię podobną do żubrów, w naturze je wymordowano. Populację odbudowano, sięgając po oryksy trzymane w niewoli. Podobno furorę robią wyjazdy na pustynię nocą, z ogniskiem, podglądaniem przyrody aktywnej po zmroku i patrzeniem w niebo, także z przewodnikiem, który coś o firmamencie opowie. Niewykluczone, że popularność nocnych eskapad jest także objawem skrętu sekularyzującego się Zachodu ku astrologii, ostatnio tak bardzo fascynowano się nią w latach 70. Swoje zrobiła pandemia, Europa odkrywa okultyzm i ezoterykę, a co czwarty obywatel USA przyznaje w sondażach, że wierzy we wpływ, jaki na jego życie mają układy planet i gwiazd. Na pustyni widać je jak na dłoni, prawie na pewno nie będzie chmur. ■





Dżdżownice i gargamele

Koniec lata to najlepszy sezon na pomidory. A życie jest za krótkie, żeby jeść tylko jedną ich odmianę.

Sierpień to mój ulubiony miesiąc. Słońce grzeje z podwójną mocą, jakby chciało odwlec zbliżającą się jesień. To czas obfitości i lenistwa. Stragany uginają się od sezonowych warzyw: cukinii, bakłażanów, pierwszych dyni i leśnych grzybów. Wszystko, o czym może zamarzyć roślinożerca. Przede wszystkim jednak końcówka lata to najlepszy sezon na pomidory. Mam taką zasadę, że życie jest za krótkie, by jeść tylko jedną odmianę pomidorów. Wszyscy wypatrujemy okrągłutkich malinowych, ale są jeszcze te krzywe, wielkie i kolorowe, bawole serca, pomidory gargamel, wielkie sakiewki przypominające kształtem paprykę.

Pomidory to nie tylko najlepsza pomidorowa od mamy, kanapki i sałatki. Pasują do każdego dania. Polskie odmiany są słodko-kwaskowate, a te wygrzane na słońcu czasem całkiem słodkie. Pasują do sosów, ale i same mogą być świetnym dodatkiem do makaronu, bo nie trzeba ich gotować. Na świeżo i surowo smakują jak pełnia lata, wręcz wybornie. Smak pomidora można podkręcić szczyptą cukru, a nawet cynamonem! Świetnie pasuje, ale nie chodzi o to, by przygotować danie orientalne, tylko o dosłowną szczyptę przyprawy, która podbije smak tego pięknego owocu.

Pasta al pomodoro crudo to makaron z surowymi pomidorami. Coś idealnego na ostatnie dni urlopu czy pożegnanie lata. Pici to z kolei nazwa makaronu. Pochodzi z Toskanii. Kształtem przypomina grube i rubaszne dżdżownice. To jeden z najprostszych kształtów makaronu, który z powodzeniem można przygotować w domu bez maszynki. Zdecydowana większość włoskich makaronów to prosta mieszanka wody i semoliny, czyli grubo mielonej mąki z włoskiej pszenicy durum. Ma ciepły odcień i w dotyku przypomina drobny piasek. Makarony z semoliny i wody można suszyć i długo przechowywać w kuchni.



Alicja Rokicka

– autorka bloga *Wegan Nerd* i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Dobrze wyrobione ciasto jest sprężyste, przypomina plastelinę. Pici to makaron, który można przygotować również z dziećmi, bo zwykle mają doświadczenie w lepieniu pulchnych, brzuchatych dżdżownic. Jak się okazuje, to wyjątkowa i czasem potrzebna umiejętność. Szczególnie w kuchni.

Pici al pomodoro crudo:

| | |
|-------------------------------------|---------------------------------|
| 300 g semoliny | 1 ząbek czosnku (niekoniecznie) |
| 150 g letniej wody | szczypta cynamonu |
| 1 łyżeczka soli | sól, pieprz, 3 łyżki oliwy |
| 5 pomidorów | smakowej |
| duża garść listków bazylii | |
| 1 łyżka posiekanej natki pietruszki | |

Sposób przygotowania:

- Do dużej miski odmierz semolinę i zrób dołek. W mniejszej odmierz dokładnie wodę. Dodaj sól i wymieszaj. Powoli dolewaj wodę do semoliny, zagarniając mąkę dłonią i mieszając ją z wodą. Przenieś wszystko na blat i zagniataj ciasto. Rób to żwawo, używając siły. Nie dodawaj więcej wody niż jest w przepisie. Ciasto na początku może wydać się twarde, ale zrobi się bardziej miękkie i sprężyste. Wyrabiaj minimum 15 minut. Uformuj kulkę i zawiń w folię lub zamknij w woreczku strunowym. Zostaw na 30 minut.
- Następnie podziel ciasto na dwie części. Z każdej roluj długi walec o grubości 2 cm, obiema dłońmi, od wewnątrz do zewnątrz, lekko rozciągając walec na boki, tak by był równy. Podziel wałki na 1-centymetrowe kopytka. Każde lekko turlaj po blacie jedną ręką, a następnie rozciągnij, rolując obiema dłońmi, by powstał makaron przypominający dżdżownicę. Makarony mogą mieć różne długości, ale najważniejsze, żeby były w miarę tej samej grubości (by równo się ugotowały).
- Zagotuj dużo wody. Posól ją. Wsyp pici i gotuj 7 minut. Odlej filiżankę wody spod gotowania makaronu. Pomidory pokrój w 2-centymetrową kostkę. Przenieś do miski. Dodaj drobno posiekane listki bazylii i pietruszki. Ewentualnie rozgnieciony i posiekany ząbek czosnku. Całość posól, mocno popieprz, dodaj szczyptę cynamonu i polej oliwą.
- Odcedzony makaron przenieś do garnka. Dodaj pomidory. Podlej lekko wodą z gotowania makaronu i wymieszaj.

Oliwa smakowa:

300 ml oliwy z pierwszego tłoczenia
3 ząbki czosnku lub papryczka chili

Sposób przygotowania:

- Ząbki czosnku obierz. Podobnie, jak papryczka nie mogą być obite.
- Przenieś je do małej buteleczki i zalej oliwą. Oliwa musi przykrywać czosnek.
- Zostaw na 48 godzin i używaj.

Tak kuriozalne sformułowanie, jak to umieszczone na okładce „Sieci”, w rozmowie nie pada, ale tytuł w sumie celnie pokazuje, jak prezydent nie-wszystkich-Polaków postrzega opozycję: „Gdy słucham tego, co ostatnimi czasy mówią politycy obecnej opozycji, a zwłaszcza jeden z nich, to myślę, że może dobrze, by ta misja [obserwacyjna OBWE] była. (...) to próba przygotowania polskiego społeczeństwa na to, że jeśli oni przegrają, to będą twierdzili, iż wybory zostały sfałszowane. Może więc paradoksalnie ta misja spowodowałaby, że nie uda im się zmanipulować opinii o polskich wyborach. To są dwie różne rzeczy: realny wynik i komunikat, który oni będą chcieli wysłać w świat”. Taki komunikat wysyła prezydent, licząc chyba, że „Sieci” mało kto czyta na Zachodzie.

Wojciech Kuczok konstatuje („Przeгляд”): „Klasykny lęk paranoika, że niejacy Oni wiedzą o nas wszystko, nie jest już wcale groźbą urojoną, jak dowodzą kolejne pisowskie skandale od Pegasusa po Niedzielskiego”.

Grzkie kpiny Kataryny („Plus Minus”): „Nowa pani minister [zdrowia] ma niewątpliwie kilka zalet. Nie wygląda, jakby miała własne ambicje, więc pewnie nie będzie próbowała nic robić, jest zupełnie nieznana, więc nie będzie się do czego przyczepić, no i jest kobietą, więc jak już się zaczną przyczepiać, każdą krytykę pod jej adresem będzie można nazywać »damskim boksem«. I tak do wyborów”. Jak w kabarecie: „Będąc młodą lekarką, przyszedł do mnie premier i zaproponował posadę, to wzięłam...”.

Jacek Nizinkiewicz („Rzeczpospolita”): „Referendum stało się maczugą wyborczą PiS na Tuska i opozycję. Trudno sobie wyobrazić, żeby było ważne, jeśli Polacy przy urnach nie będą chcieli wziąć w nim udziału. To partyjna gra inżynierów kampanijnych władzy. Ale swoje zadanie spełnia. Nie ma ważniejszego tematu

w dyskusji niż referendum, mimo że to temat wykreowany ad hoc i jego celem jest zbałamucenie społeczeństwa. Czy społeczeństwo da się zbałamucić PiS, to już inna sprawa. Pytanie, czy opozycja będzie potrafiła rozbroić temat i narzucić inne tematy kampanii”. Pytać łatwo.

O wyzwaniach opozycji na teraz i na nieodległą przyszłość pisze także Małgorzata Solecka w „Tygodniku Powszechnym”: „Po wyborach zaś problemem – po ewentualnym zdobyciu większości sejmowej – może być czysto techniczne podzielenie się resortami czy też ustalenie podstawowych kwestii programowych. Dotąd, choć opozycja od dawna szykuje się na wspólne rządy, nie powstał żaden dokument, który określałby choćby minimum programowe nowego gabinetu. Ugrupowania opozycyjne nie są zgodne nawet w takiej kwestii, jak postępować z »przejętymi« czy stworzonymi od zera przez PiS instytucjami, jak Trybunał Konstytucyjny, Krajowa Rada Sądownictwa, Rada Mediów Narodowych czy komisja ds. wpływów rosyjskich, jeśli powstanie”. Gdzie kucharek sześć...

„Musimy pilnować wyborów. Szczególnie przed opozycją” – okładkowa interpretacja słów prezydenta Dudy z wywiadu dla „Sieci”.

Autor książki „Kulisy PiS” Kamil Dziubka mówi „Newsweekowi”, co wyniósł z rozmów z ludźmi PiS: „Na pewno trochę inaczej widzę samego Kaczyńskiego. Mam wrażenie, że im jest starszy, tym bardziej jest podatny na emocje. Przez lata dominował przekaz, że to wielki strateg polityczny, który patrzy trzy-cztery kroki do przodu. Rozmowy z ludźmi, którzy pracowali z nim przy kampaniach od 2015 r., potwierdzają, że Kaczyński jest człowiekiem często działającym chaotycznie, obgryzającym z nerwów paznokcie, podatnym na podszepty wielu osób. (...) Myślałem, że jest bardziej sympatyczny, ale po rozmowach wydało mi się, że to człowiek zimny, wyrachowany, mający problemy z relacjami międzyludzkimi i tylko jeden cel – być liderem PiS, choć nigdy tego wprost nie powie”. Nie musi – on to mówi czyniami.

W „Przeглядzie” Jan Widacki sypie piach w tryby rządowych samozachwyttów w kwestii zbrojenia: „Ekonomiści też nieśmiało zwracają uwagę, że zbrojąc się dziś na potęgę, stajemy się bezbronni na przyszłość. Sprzęt zakupiony za miliardy dolarów będziemy spłacać przez dziesięciolecia. Zanim go spłacimy, będzie już w dużej mierze przestarzały. Skąd wtedy wziąć pieniądze na nowe zakupy? W międzyczasie staniemy się potęgą gospodarczą?”. Nie, to klasyczne „po nas choćby potop”.

Prof. Stanisław Mazur, rektor Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, w rozmowie z „GW”: „w 2022 r. wysokość subwencji, którą dostały z budżetu państwa polskie uczelnie, pokryła koszty ich funkcjonowania w 66 proc. To zadziwiający paradoks, zważywszy na narrację rządu o tym, jakim to jesteśmy państwem socjalnym i solidarnym, dla którego to, co publiczne, jest ważne”. Skąd wziąć resztę? – pyta dziennikarka. „Trzeba zarobić, zaoszczędzić albo się zadłużyć, by przetrwać. Albo zbudować dobre relacje z ministrem edukacji i nauki – i wtedy jest łatwiej”. To ostatnie chyba się rektorowi nie uda.

KOZA



© JAN KOZA

Władza zrodzona z urazy



Już
w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projekt-pulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”

**DOTACJA
DLA
CIEBIE**

VIESMANN



MOJA POMPA CIEPŁA

Zagwarantuj sobie niskie rachunki i zacznij oszczędzać,
wybierając sprawdzone i bezpieczne ogrzewanie pompą ciepła.



**Wybierz sprawdzonego
producenta** z ponad
100-letnim doświadczeniem.



Zyskaj dofinansowanie do 21 000 zł
na zakup i montaż pompy ciepła w nowym
domu z programu „Moje Ciepło”.



**Przejdź na komfortowe
i ekonomiczne** ogrzewanie
Twojego domu pompą ciepła.



Zmodernizuj system grzewczy i wymień
„kopciucha” na pompę ciepła z dofinansowaniem
do 50 900 zł z programu „Czyste Powietrze”.

Bezpłatna wycena. Zadzwoń* lub napisz do nas
na stronie – to proste i niezobowiązujące!

*z telefonów stacjonarnych – opłata za połączenie 0,29 PLN/min. netto,
z telefonów komórkowych – opłata wg taryfikatorów telefonii komórkowych



459 599 499



mojapompa.pl